

W NUMERZE: Ostatnia część dyskusji historyków o Polsce w dwudziestolecu międzywojennym ■ Czy budowniczowie elektrowni w Rogowcu zdążą przed pierwszym węglem? ■ Opowieść o dziecku, które było maskotką batalionu ■ Przegląd książek społeczno-politycznych ■ Propozycje teatru na Tagance ■ Jak biznesmeni pomagają sobie w załatwieniu interesów ■ Jak nazywali się polscy lotnicy, którzy zginęli pod Walewicami? ■ „Ikony” — nowa powieść Wacława Bilińskiego ■ Felietony ■ Recenzje

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódz



NR 49 (1095) ROK XXI

3 GRUDNIA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: W. Parys

TOMASZ SOLDENHOFF

ZDAŻYĆ przed pierwszym WĘGLEM

Budowę widać już z belchatowskich rogatek. Ponad lasami wyrosły sylwetki dźwigów; największe z nich to Lindeny, których przed rokiem nie było jeszcze w tym krajobrazie. Nie było również dwu górzących nad lasem słupów. To pylony, wieże transportowe przyszłej elektrowni. Ten widok raduje, choć o opóźnieniach na budowie krążą już legendy.

Czytam w gazecie:

„Malkontenci powiadają, że termin uzyskania pierwszych efektów z tej inwestycji trzeba odłożyć w czasie. Nie możemy dopuścić do narastania deficytu mocy energetycznych. „Belchatów” jest wkalkulowany w strategię rozwoju kraju i winien zgodnie z założeniami dać pierwszy prąd w roku 1980...”

KONTO MINUS
CZYLI KŁOPOTY OD PROGU

Rogowiec. Jestem u generalnego wykonawcy — belchatowskiego Przedsiębiorstwa Budowy Elektrowni „ENERGOBLOK”. Inż. E. Janson — główny specjalista do spraw generalnego wykonawstwa rozmawia z przedstawicielami bratniego, konińskiego „Energobloku”, które to przedsiębiorstwo przejęło budowę szeregu obiektów na tak zwanym zapleczu inwestora.

— Konin: — Trzeci raz już z Konina na darmo gonimy. Albo jest narada, albo nas się nie zawiadomia, albo naradę się odwołuje i też nie ma nas kto zawiadomić...

Inż. Janson: — Gdyby był teleks...

Konin: — Podobno wypadają z planu tego roku hale F-2 i F-2A? Czy inwestor nie zabezpieczył konstrukcji?

Inż. Janson: — O ile wiem, inwe-

stor robił wszystko, żeby konstrukcje były. Miał je wykonać „Energomontaż”, ale się wywinął z tej umowy. Przede wszystkim brakuje elementów do zawieszenia obudowy. Proponuję jednak, by temat hali F-2 nie wylądował jeszcze z planu 1978 roku. Część elementów będzie można wymontować z hali F-2A. Tej i tak nie dąłoby się w terminie skończyć, można więc niektóre elementy przenieść do hali F-2. W ten sposób uda się skończyć w terminie chociaż tę jedną.

Konin: — Moglibyśmy już teraz wejść na teren budowy, otoczenie na to pozwala. Pod jednym warunkiem: że „Instal” weźmie na siebie malowanie konstrukcji. On ma swoją grupę antykorozyjną. Mogł zresztą już zacząć to robić...

Inż. Janson telefonuje do „Instal”. Bez skutku.

Janson: — Mamy dzisiaj o czter-

stawie sprawę przekazania Koninowi frontu robót na hali F-2. Ustalimy też od razu termin dostarczenia przez inwestora brakujących elementów obudowy.

Następny problem: stacja paliw... Konin: — Zbiorniki są już zamontowane, można by skończyć całą robotę i stację przekazać w terminie. Tylko, że inspektor od instalacji chce robić pomiary szczelności. Trzy miesiące zbiorniki leżały na powierzchni, nie można ich było wtedy sprawdzać...?

Janson: — Teraz robi próby szczelności? Zbiorniki miały przecież atesty! Zresztą napełnić je można, ale gdzie potem wypuścić wodę? W piasek?...

Odcinki, o których mowa, leżą dość daleko od serca elektrowni. Miejsca, gdzie się buduje pierwszy blok, skąd za dwa lata ma popłynąć prąd. Przyczyny opóźnień są jednak typowe. To braki w zaopatrzeniu w materiały i ściśle z nimi związane kłopoty z transportem.

Osobną grupę przyczyn tworzą nieporozumienia między kooperantami na placu budowy. Belchatowski Okręg Przemysłowy buduje około czterdziestu przedsiębiorstw, reprezentujących kilkanaście zjednoczeń. Jak skoordynować pracę wszystkich tych wykonawców, by kolizji i przestojów było jak najmniej? A w razie jeśli ktoś marudzi, odstaje, łapie zadyszke — jak go ponaglać?

Niemalogo czasu trzeba by spędzić na podróży po Polsce, aby dotrzeć

Dalszy ciąg na str. 3

Z TAŚMY MAGNETOFONOWEJ

JAKA NIEPODLEGŁOŚĆ?

Dwukrotnie już w „Odgłosach” publikowaliśmy omówienia redakcyjnej dyskusji historyków o walce narodu polskiego o niepodległość. Mowa była o rozwoju myśli niepodległościowej w XIX wieku i na początku XX, o koncepcjach niepodległości, jakie kształtowały się w różnych ugrupowaniach politycznych, wyrażających ideologię poszczególnych klas społecznych.

Wybuch I wojny światowej, będący rezultatem zmian w układzie europejskich sił politycznych, spowodował, że marzenia i dążenia stały się realne. W listopadzie 1918 roku niepodległość Polski stała się faktem. Rozpoczął się proces odbudowy państwa polskiego.

Jak burżuazyjne państwo polskie wykorzystało wielką szansę narodu polskiego, jaką była niepodległość? Jak w czasie wojny zmienił się układ sił społecznych i politycznych w okupowanej przez hitlerowców Polsce? Oto zasadnicze pytania, nad którymi dyskutowali historycy w składzie:

- profesor dr habil. — Stefan BANASIAK
- docent dr habil. Alina BARSZCZEWSKA
- profesor dr habil. Andrzej F. GRABSKI
- docent dr Waldemar MICHOWICZ

W. MICHOWICZ: — W dotychczasowych rozważaniach mówiliśmy o różnych koncepcjach walki o niepodległość. Mówiliśmy o szlachcie, liberalnej burżuazji, patriotycznej inteligencji, plebsie. W czasie pierwszej wojny światowej ciężar walki o niepodległość wzięły na siebie klasy pracujące — robotnicy i chłopci, współdziałając z patriotyczną inteligencją. I to była jakościowa zmiana, jaka się wówczas dokonała.

A. BARSZCZEWSKA: — Proces ten zaczął się w czasie rewolucji 1905 roku.

A. F. GRABSKI: — Stąd i program rządu lubelskiego, a był to program jak na owe czasy niesłychanie radykalny. Zakładał przeciw reformę rolną, upaństwowienie wielkiej własności bez odszkodowania. Wprawdzie szybko wycofano się z tych postulatów, ale ważny jest fakt, że taki program wówczas powstał. Był to bowiem program, który usiłował naruszać ówczesne struktury społeczne.

A. BARSZCZEWSKA: — W programie tym interesy klasy robotniczej uwzględniono w sposób ograniczony. Pod tym względem nie był to znów taki bardzo rewolucyjny program. Uwzględnił on trzy postulaty: ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia społeczne i reaktywowanie inspekcji pracy. Nie było to zbyt wiele.

A. F. GRABSKI: — Ale tym niemniej była to próba naruszenia ówczesnej struktury własnościowej. Wynikała ona z nacisku mas społecznych, z konieczności liczenia się z nastrojami i społecznymi dążeniami klas pracujących. Jednocześnie przeciw z rządem Ignacego Daszyńskiego powstają liczne rady delegatów. Fala rewolucji ogarnia już środkową Europę — Niemcy, Węgry.

W. MICHOWICZ: — W kilku o-

środkach władzy przewagę zdobyły siły lewicowe. Na przykład w Galicji, w Komisji Likwidacyjnej dużą rolę odgrywali przedstawiciele ugrupowań ludowych i robotniczych, podobnie było na Śląsku Cieszyńskim, w Poznańskim.

W Paryżu natomiast Komitet Narodowy Polski starał się, aby rząd w Polsce dostał się w ręce Narodowej Demokracji. Siły patriotyczno-burżuazyjne sięgnęły po Józefa Piłsudskiego, który wówczas miał uznanie u różnych ugrupowań społecznych.

A. F. GRABSKI: — Zaczęła się walka o przyszły, społeczny i polityczny kształt Polski.

A. BARSZCZEWSKA: — Państwo polskie formowało się na obszarze nie wyodrębnionym granicami. Nigdzie nie było określonych do końca granic: Był to fenomen, który miał wpływ na przebieg kształtowania się niepodległej Polski.

W. MICHOWICZ: — Problem granic Polski był w 1918 roku niezwykle skomplikowany. Były dwa kierunki rozumowania w tej kwestii. Pierwszy — koncepcja państwa obejmującego tereny, na których — jak to sformułował W. T. Wilson — mieszkała ludność niewątpliwie polska. I drugi — koncepcja Polski stęderowanej z Litwą, Białorusią i Ukrainą. Na jakich zasadach miała funkcjonować ta federacja, tego właściwie nikt do końca nie był w stanie określić.

A. F. GRABSKI: — Ta druga koncepcja nie brała pod uwagę opinii i dążeń narodów litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, a tylko historyczne sympatie Polski.

W. MICHOWICZ: — Oraz opinie nielicznych spolonizowanych grup na Litwie, Białorusi czy na Ukrainie. Próba realizacji takiej koncepcji doprowadziła do wojny polsko-rosyjskiej z 1920 roku.

A. BARSZCZEWSKA: — Pierwszą koncepcję reprezentował obóz Narodowej Demokracji. Państwo polskie teoretycznie miało obejmować ziemie zamieszkałe przez ludność polską, miało być scentralizowane i jednonarodowe. Ale jednocześnie

Dalszy ciąg na str. 8-9

KRONIKA KULTURALNA

KOMU DZIECKO?

Od 20 do 28 listopada trwały w Łodzi XII DNI KSIĄŻKI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ, zainaugurowane otwarciem wystawy pn. „60-lecie niepodległej Polski” (w Domu Technika). Zorganizowano na niej kilkanaście wydarzeń z okazji jubileuszu wydawnictwa z zbiorów Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego. Szczególnie dużo miejsca poświęcono prezentacji dorobku „Książki i Wiedzy” — największego naszego wydawcy w zakresie literatury społeczno-politycznej, obchodzącego właśnie swoje 60-lecie.

Wystawie towarzyszył pokaz międzywojennych kronik filmowych oraz kiermasz książek.

23 łódzkich dziennikarzy — pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego zostało wyróżnionych odznaczeniami państwowymi i dyplomami za 19 lat pracy. Wśród laureatów: Włodzisław Węgrzyn, Jerzy Krawczyk, Andrzej Sokołowski, Janusz Bielecki, Andrzej Sokołowski, Andrzej Sokołowski, Andrzej Sokołowski.

Odznaczonym i wyróżnionym koleżankom serdecznie gratulujemy!

Rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs na radiowy reportaż literacki zorganizowany przez Rozgłośnie PR w Łodzi. Nagrodzona Redakcja Programów Literackich PR i ZG Zw. Zaw. PPOiS oraz ZG Stowarzyszenia Włókniarzy Polskich — dla uczczenia 70 rocznicy powstania Związku Zawodowego Włókniarzy. Pierwsza nagroda została przyznana Henrykowi Polakowi i Krzysztofowi Turowskiemu z Rozgłośni w Łodzi za reportaż „Stworzenie do roboty”.

Uroczystym koncertem w Teatrze im. Stefana Jaracza otwarto w wolędźwie XVIII Ogólnopolski Konkurs Piosenek Radzieckiej. Na koncert przyjechała delegacja włókniarzy radzieckich z sekretarzem KC Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Tekstilnego i Lekkiego — Marią Niewzgodną.

Przed koncertem redaktor naczelny tygodnika „Kraj Rad” — Oleg Stroganow wreczył w imieniu azenki „Nowosti” i swojego pióra nagrodę dla Studia Piosenki przy ZL TPPR — za propagowanie wiedzy o ZSRR. Dyplom za propagowanie kultury radzieckiej otrzymał sekretarz KL PZPR — Z. Falicki, sekretarz ZL TPPR — Z. Antoszewski, doc. R. Ambrozjak z PWSM oraz działacz TPPR — J. Pyczyński-Pilarek, S. Rysiak i P. Fajlik. W części artystycznej wystąpił aktorzy Teatru im. Jaracza oraz laureaci poprzednich konkursów i festiwałów w Zieleni Górze.

Stała scena teatralna otwarto w Skierniewicach. Inauguracja stała się premierą sztuki Grigorija Gorina „Prawdomówny”. W hamburskiej galerii Henning — specjalizującej się od lat w popularyzowaniu polskiej

klamca” dedykowana przez zespół Teatru Ziemi Łódzkiej założyła Fabryki Urządzeń Odlewniczych „FUMOS”.
Podpisano również porozumienie o współpracy między PTZL a Społeczna Rada Dyrektorów przy prezydencie m. Skierniewicze.

60-lecie pracy scenicznej obchodził Janusz Mazanek — aktor Teatru Powszechnego w Łodzi. Uroczystości jubileuszowe odbyły się 18 listopada br. po przedstawieniu premierowym sztuki Aleksandra Fredry „Damy i huzary”.
Aktu dekoracji aktora Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski dokonał i sekretarz KL PZPR — Bolesław Koperski.

W dniach od 16 do 18 odbywały się w Łodzi „Dni dramaturgii i teatru bułgarskiego w Polsce”. Na scenie Teatru Nowego wystąpił trzykrotnie Teatr Dramatyczny im. Sawy Ogianowa z Ruse. Natomiast w Teatrze im. Jaracza pokazano światową premierę bułgarskiej sztuki współczesnej — „Rozwód” zrealizowana przez bułgarskich twórców: N. Jordanowa — autora i reżysera, T. Stojanowa — scenografa i K. Tazewa — kompozytora.

Jubileusz 50-lecia pracy naukowej i 70 rocznice urodzin obchodził znany archeolog dyrektor łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego — prof. dr Konrad Jażdżewski. Z tej okazji odbyła się międzynarodowa sesja naukowa: archeologiczno-konserwatorska. Podczas uroczystości jubileuszowych prof. dr K. Jażdżewski został uhonorowany Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz medalem 90-lecia warszawskiego Państwowego Muzeum Etnograficznego.

Czwierdzieliście istnienia obchodził w dniu 30 listopada br. Łódzki Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Na uroczystości jubileuszowe złożyła referat na temat historii, tradycji i osiągnięć ŁO SHS oraz otworzyła wystawę: „Inwentaryzacja detali architektonicznych łódzkich zabytków” a także „150-lecie radzieckiego”.

Pielny zbiór książek i albumów liczący przeszło 700 pozycji ofiarował bibliotece łódzkiego Muzeum Sztuki Stanisław Domański z Łodzi. Wśród wielu cennych wydawnictw przekazanych przez ofiarodawcę należą wymienić 15-tomowa „Encyklopedia of World Art”, serię albumów wydawanych pod patronatem UNESCO oraz monografię artystów włoskich.

W hamburskiej galerii Henning — specjalizującej się od lat w popularyzowaniu polskiej

sztuki — wystawił swe prace: grafiki i rysunki znany artysta, profesor w PWSSP w Łodzi — Leszek Różga. Była to już druga wystawa tego artysty w Republice Federalnej Niemiec.

Najnowsze wystawy plastyczne: w Galerii Sztuki BWA prezentacja „Salonu Młodych — 1978” (malarstwo, grafika), w Galerii Baluckiej — wystawa pn. „Tryptyk osobisty”, „Tlum — ulica” Jana Świkity, w Salonie Sztuki Współczesnej —malarstwo Teresy Szumiągaj, w Salonie Fotograficznym LTF — wystawa „Nepal, kraj i jego ludzie” Miłostawa Petruszki.

Listopad ubiegły pod znakiem wielu imprez organizowanych przez środowiska naukowe i twórcze dla uczczenia 60-lecia niepodległości. Rocznicę tej powstania Uniwersytet Łódzki — wespół z OPRF — jeden ze swoich Uniwersyteckich Wieczorów Filmowych zorganizował w kinie „Stylowy”.
Natomiast „Stowarzyszenie „Dom Środowisk Twórczych” przy współudziale Oddziału Łódzkiego ZLP i Instytutu Filologii Polskiej UL zorganizowało 30 listopada wieczór literacki, w którym słowo wstępne na temat tradycji literackiej i literaturze wygłosił prof. dr Zdzisław Skwarczyński, dr Jerzy Poradecki mowę o „Poetyce walki i wyzwolenia”, zaś Ewa Mirowska i Jerzy Przybylski zaprezentowali program poetycko-muzyczny.

Aktywność organizacyjną Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych” nie słabnie. Z ostatnich leśno imprez warto wymienić: Wieczór Wspomnień poświęcony artystom sceny łódzkiej, zmarłym w latach 1977-78, pn. „Cieniom sceny łódzkiej” zorganizowany przy współudziale Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, Wieczór Literacko-Teatralny z udziałem Edwarda Redlińskiego i Jana Wojciecha Krzyżaczaka, który przedstawił monodram „Kifile elefon” w wykonaniu I. Nasrōd na Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu — wg powieści „Konopielka” oraz 3-dniowy pokaz sztuki eksperymentalnej pn. „Działalność nie zidentyfikowana” z udziałem artystów polskich, holenderskich, belgijskich, czeskosłowackich i jugosłowiańskich.

Wojewódzkie Targi Sztuki zorganizowano po raz pierwszy w Piotrkowie. Mieszkańcy oraz instytucje wojewódzkie i piotrkowskie mieli okazję kupić wiele interesujących obrazów, grafik, tkanin, eksponatów biżuterii i szkła artystycznego.

W dniach od 11 do 14 listopada odbywał się na zamku w Uniejowie przegląd teatrów amatorskich działających w klubach pracy i książki województw: miejskiego łódzkiego,

sieradzkiego, skierniewickiego i biotrkowskiego. Występowały tzw. teatry przy kawie i teatryki lałkowe. W sumie wystąpiło 30 zespołów. Impreze zorganizowało Przedsiębiorstwo U-ropowszczenia Prasy i Książki RSW „Prasa — Książka — Ruch” w Łodzi.

Kolejny zabytek uratowano od zniszczenia. Jest nim były dworek rodziny Drużbackich we wsi Zameczek koło Opoczna — w stylu klasycyzmu, pochodzący z XVII wieku. Dwór ten stanowił m.in. schronienie dla powstańców 1863 roku i bazy dla legendarnego majora Hubala-Dobrzańskiego. W dworku powstana: filia muzeum opoczyńskiego oraz pracownia ceramiczno-plastyczna nawiązująca do tradycji ziemi opoczyńskiej.

Z łódzkich teatrów: „Zwłoke” Dürrrenmatta wznowił niedawno w nowej odsłonie — Teatr Nowy, 15 grudnia na Małej Scenie tego teatru odbędzie się premiera „Dругiego dania” S. Mroźka... PTL „Pinokio” zapoczątkował współpracę z teatrem lalek w dalekim, syberyjskim Tiumentiu. Jerzy Michalak wyreżyseruje tam niebawem „Cyberlady” Stanisława Lema... Po kilkunastu dniach występowało w Łodzi — na deskach Teatru Estrady — piosenkarz Mieczysław Świeciński...
Od 28 listopada do 3 grudnia występował w Łodzi zespół krakowskiego teatru „STU” z „Operetką” W. Gombrowicza — w inscenizacji K. Jasińskiego. Natomiast w dniach 18—19 grudnia gościł w Łodzi Scena Plastyczna KUL ze spektaklem „Wilgoć” w reż. L. Małdzika.

W Łodzi koncertował dwukrotnie światowej sławy skrzypek amerykański polskiego pochodzenia — Bronisław Gimpel. Artysta zaprezentował koncert skrzypcowy d-moll Henryka Wieniawskiego. Towarzystwo mu orkiestra Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcją Zdzisława Szostaka.

14 listopada koncertem w sali szkoły muzycznej orzyl ul. Sosnowej zainaugurowała działalność orkiestra kameralna Teatru Wielkiego pod batutą Zbigniewa Friemana. W koncercie wzięli udział soliści Teatru Wielkiego — Teresa May-Czyżowska i Włodzisław Załewski.

W bloku nr 312 osiedla Władz-Wschód (ul. Górciego 23) otwarto Harcerski Dom Kultury, zorganizowany staraniem RSM „Bawelna” i Chorągwi Łódzkiej ZHP. Jest to pierwsza na tym osiedlu placówka ukierunkowana na działalność harcerską.

Już po raz siódmy TPE i Uniwersytet Łódzki wespół z Pałacem Młodzieży organizują spotkanie z literaturą wesołą — dla młodzieży liceów. Cykl wykładów otworzyło wystąpienie prof. dr hab. Teresy Cieślikowskiej, która mówiła o konstrukcji narratora w prozie współczesnej.

Na peryferiach Łodzi, przy ul. Drużynowej 15 mieści się Dom Małego Dziecka — jedna tego typu placówka opiekuńcza w naszym mieście, o której chciałabym napisać chociażby z okazji obchodzonego właśnie roku pamięci Janusza Korczaka. W tym domu żyje i wychowuje się 123 dzieci w wieku od 8 do 5 lat, niechciani i niepotrzebni, których ciężar wychowania wzięto na swoje barki Państwo.
Oto czteromiesięczna Ania, Brudnia, zaswieczona, niedożywiona. Domu Małego Dziecka trafiła w wyniku interwencji lokatorów. Jej piętnastoletnia matka była już po drugi w ciąży. Ciężko usunęto. Obecnie, czyni się starania o umieszczenie niepełnej w państwowym domu dziecka. Siewierdzone niedorozwój umysłowy ale i środowisko, w którym się wychowywała nie było budujące. Alkohol piła od dzieciństwa. Ktoś tu pisał matkę Ani — nie wiadomo. Dwuletnią Kasię przyprowadziła rodzona matka, gdyż właśnie wychodziła za mąż. Pozbycie się dziecka było warunkiem małżeństwa. Zagłodzone i zawieszane dziecko nie wychodziło na powietrze, ponieważ matka wyszła się nieślubnej córki. Dziecko nie mówiło.
Róża ma już sześć lat, czeka na miejsce w przedszkolu. W szkole to dziecko głębiej upośledzone. Ma wzrost trzylatki, prawie nie mówi. Jej matka usiłowała pozbyć się płodu.
Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Za dziećmi obywateli karty adekwatne do ich stanu, porzucone dzieckiem nie ma żadnych, co najwyżej ślęganie w celu uzyskania odplatności, często czeska symbolicznej.

Zwiedziam jasno wyplanie, przysto, pełne zabawek pokoje. Czysto ubrane, umyte i nakarmione dzieci wychowują się w trzech grupach różniących pod względem wieku. Niemowlęta, rakę (dzieci rektuszujące) i dzieci nie (dzieci od dwóch do trzech lat) mają rozkład zajęć ściśle dostosowany do potrzeb. Regularne porządkowanie, snu i zabawy — to miejsce ważne dla ich prawidłowego rozwoju. Jest jeszcze oddział kwarantanny, dla dzieci z miast, które ze względów epidemiologicznych muszą być chwilowo izolowane. W ten sposób udaje się uniknąć zwiększonej zachorowalności, co zawsze jest groźne w dużym skupisku dzieci.
Nad całą tą gromadką czuwa oddany sprawie personel: dwóch lekarzy pediatrów, laryngolog, dermatolog, kilkanaście pielęgniarek i opiekunek dziecięcych, dwadzięścioro pedagogów, psycholog, asystent socjalny. Pięćdziesiąt tysięcy na wszystko. Budżet Domu Małego Dziecka wynosił 3 miliony zł rocznie. Dziennie stawka żywieniowa 24 zł. Koszt utrzymania dziecka kształtuje się w wysokości 2400 zł miesięcznie. Starczy na dobre jedzenie, słodycze, ubranie i zabawki.

Dzieci mają tu wszystko oprócz... miłości matki. Najlepiej, najbardziej oddany personel nie jest w stanie przeciwdziałać chorobie metafizycznej: wiedzii, pomiędzy mówieniem a rodzicielką. Dlatego mimo największej troski dzieci rozwijają się gorzej. Z opóźnieniami zaczynają siadać, chodzić. Dotyczy to także funkcji intelektualnych i rozwoju uczuci. Największy zaburzeń związanych jest z mową. Dzieci mówią niewyraźnie lub nie mówią wcale. Jeśli mają szczęście i trafiła do rodziny bardzo szybko nadrabiają zaległość. Pięć achillesową Domu Małego

Dziecka jest permanentny brak ręk do pracy. Mimo pozornie licznej personeli jest to o wiele za mało. Każda matka wie ile zabiegów wymaga niemowlę: przewinac, kąpać, wyrzucić noś, wyzdusić uszy, objąć paskożkę itd. itd. Tu praca jest wielokrotnie większa i chociaż odparła pranie i przygotowanie posiłków to jednak na pieszczoły nie starcza czasu. A każde dziecko trzeba by ponosić, przytulić, mówić do niego. Dla pielęgniarek jest to praca nietykalna. W szpitalu pacjent przynieś się kwiaty, okazie wdzięczność. Tu personiel niezdolny bywa odrzucić inwektywami. Przydzie matka alkoholizująca i ma pretensje, tylko raz się zdarzyło, że dziewczynki dwudziestoletni skrzyżeni rodzice, odbierając swoje bliźnięta pozostawione urzędnikowi na biurku w wydziale kwaternumowym jednego z łódzkich urzędów. Opiekunki dziecięce wola pracować w szlochach. Dzieci zabrane, wychowane, a mądra zabiegają i dostatkowo wynagradzają dobrą opieką. Uczennice szkoły opiekunek dziecięcych przechodzą na praktyki i już nie wracają. Szukają łatwiejszej pracy. Nikt nie chce pracować w godzinach nadliczbowych, mimo że są stu procentowo płatne. Kobiecy po prostu nie wytrzymują nadmiernego obciążenia fizycznego i psychicznego.

Dom Małego Dziecka przycisną, adaptowany z dawnego zlobka nie zaspokaja wszystkich potrzeb personelu. Dużo w nim zakamarków, korytarzyków, za mało przestronnych, dużych sal. A tu milicja przywozi dziecko, matka przywozi i zostawia, dużo dzieci czeka na miejsca z wyroków sądu.

W Domu Małego Dziecka trzech wychowawców dorastają do trzech lat idą w świat. Tragedia dotyczy obu stron. Matki przywożą wają już jeszcze uczucie zagrożenia. Ciocie plażą. Brutalnie zrywa się wszystkie więzi uczulowe. Była mchlnia administracji. Gros małych wychowanków odchodzi do państwowych domów dziecka prowadzonych przez inspektoraty oświaty, dzieci upośledzone — do zakładów specjalnych. Niełatwo wracają do matek, które właśnie opuściły mury więzienia czy szpitala psychiatrycznego. Nie wiele procent to nieślubne dzieci studentek z akademii. Zabierają je na ogół po ukończeniu studiów, chociaż i tu różnie bywa. Małe Agatki matka nie zabrała, bo jakże się pokazała w rodziców na wsi z czarną czołką z włosami fil i fil. Niełatwo dzieci trafiła do rodzinnych domów dziecka. W naszym mieście jest ich kilka. Ich działalność ocenia się bardzo pozytywnie. W jednym wypadku trafiła nawet dziecko kalekie, które dzięki staraniom swoich opiekunów zaczęło chodzić.

Oddzielony problem jest sprawa adopcji. W ostatnich latach około 25 dzieci rocznie zostały adoptowane, podczas gdy w poprzednich latach do rodzin trafiło 50-60 dzieci rocznie. W czym tkwi przyczyna, zastanawia się personel Domu Małego Dziecka, któremu ta sprawa leży najbardziej na sercu. Na terenie miasta działają ośrodki adopcyjne, są, wcale nie do tych celów powołane, a wiadomo, także, że kolekcja rodziców czeka na dzieci. Adopcji to wielka szansa dla tych dzieci. Prawdziwy dom — czyli na cale życie.

ELŻBIETA KAJZER
(imiona dzieci zostały zmienione).

SESJA NAUKOWA W WAM

24 listopada br. odbyła się w Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dw. prof. dr med. Bolesława Szareckiego (pod patronatem komendy. Radny Naukowej i Komitetu Uczelnianego) sesja naukowa poświęcona 35 rocznicy powstania służby zdrowia Ludowego Wojska Polskiego.
Organizatorem sesji był Zakład Historii Medycyny WAM

Oddział Łódzkiego Towarzystwa Historii Medycyny. W sesji uczestniczył m.in. szef służby zdrowia WP gen. bryg. prof. dr hab. n. med. Jerzy Bofczak, który wywodził referat na temat osiągnięć służby zdrowia LWP w lat 35-lecie. Rektor WAM pik doc. dr hab. nauk med. Tadeusz Brzeziński przedstawił prace batalionu sanitarnego I DP w bitwie pod Lenino. Obrady sesji odbywały się w dwóch sekcjach, na których wygłoszono 18 referatów omawiających dzieło historii wojskowej służby zdrowia iak również współczesne problemy medycyny wojskowej.

Lista do Redakcji

„BALLADA O DWORCU TRAMWAJOWYM“

Upzejmie informujemy, że artykuł „Ballada o dworcu tramwajowym” zamieszczony w nr 46 „Odgłosów” z 12 listopada br. został niekwalifikująco przeanalizowany przez kierownictwo przedsiębiorstwa. W celu udzielenia wyczerpującej odpowiedzi zachodzi konieczność nawiązania do okresu wcześniejszego, tj. do okresu budowy petli tramwajowej.
Obiekt przy ul. Północnej wybudowano w 1951/52 r. jako stację krańcową tramwajowych linii podmiejskich. Przy budowie nie uszczelniono si bledów projektowych i konstrukcyjnych, gdyż nie zapewniono odpowiedniego zaplecza dla służby ruchu, torów i mechaników linowych. Z tego względu zachodziła konieczność późniejszych adaptacji. W ten sposób jest nierenetowna i prowadząca wówczas kiosk Handlowa Spółdzielnia Inwalidów zlikwidowała sprzedaż innych artykułów ealkowiade. Obecnie w tym kierunku mieści się punkt doradczych napraw słusarskich tramwajów.
Jesteśmy jednak gotowi udostępnić ten lokal osobie, bądź instytucji, która podjęłaby się działalności handlowej (oczywiście z wyjątkiem piwa). Należy zaznaczyć, że w budowane kioski są niefunkcjonalne i nie spełniały wymagań handlu.
Zachodnia część poczekalni zajmowana jest przez służbę ruchu, dział sprzedaży biletów i oczekujących pasażerów. W wydzielonym pomieszczeniu dyspozytora zorganizowano część socjalna dla służby ruchu umożliwiającej mycie rak. spożywanie posiłku i chwilowy odpoczynek.
Jak słusznie zaznaczył A. Makowiecki stan torów linii podmiejskich był nie najlepszy. Jednakże w ostatnim okresie nastąpiła poprawa. Dzieki wykonaniu remontu zapobiegawczego torów na linii Łódź — Ozorków możliwe było zrealizowanie postulatów dotyczących zwiększenia częstotliwości. Od 13 listopada 1978 r. została zwiększona częstotliwość kursowania tramwajów linii „46” w godzinach przedpołudniowych i wieczornych z 50 do 25 minut. W ten sposób tramwaje do



Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępy redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARVY (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktorka techniczna).
Stale współpracują: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAZEJEWSKI, TADEUSZ CHROCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORLWOSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAN SKI-GIŁANC, JERZY URBANKIEWICZ.

do wszystkich źródeł opóźnień na rogowieckiej budowie. Pierwsze kroki na pewno skierować by trzeba do Radomska... Budowa odczuwa chroniczny niedostatek konstrukcji stalowych. Na rok 1978 zbilansowano dla całej elektrowni około 28 tysięcy ton tych konstrukcji. Wiele z nich było deficytowych. Wielu w ogóle nie wytworzono do tej pory w Polsce. Radomszczańskimi „Mostostal” przejął produkcję nietypowych: wielkich i ciężkich konstrukcji. Na rok 1978 Radomsko dostało do produkcji 16 tysięcy ton. Ale do końca roku wyprodukują z tego jedynie 10 tysięcy, 18 tysięcy ton różnorodnych konstrukcji idzie więc „poślizgiem” na rok 1979. Nie lepiej jest ze stala, konstrukcyjną i zbrojeniową. Jej dostawy sięgają 30—40 procent zamówień.

Temat następny: transport... Nie nadążają za potrzebami dostawy klasyfikowanego kruszywa spod Wrocławia i Zielonej Góry. Tor 306, którym przychodzi w wagonach kruszywo, jest wciąż nie dokończony. Zresztą wszystkie tory umożliwiają dostawy jedynie na teren zaplecza. Stosuje się więc transport lamany. Z bocznic dowożą materiały na budowę samochodu — jedyny niezawodny w tej sytuacji — na budowie środek transportu wewnętrznego. Transport, który — jak to ktoś trafnie zauważył — w tej nowoczesnej zaprojektowanej, nowoczesnie wyposażonej i budowanej najnowocześniejszym sprzętem elektrowni jest wciąż na etapie króla Cwieczka...

Powód zahamowań w układaniu torów? — opóźniona realizacja programu robót ziemnych. Przyczyna opóźnień prac w ziemi? — brak dostatecznej ilości środków transportu. W ten oto sposób łańcuch przyczyn się zamyka.

Trudno jest zaś dzisiaj skupić wszystkie siły na budowie torów, skoro w międzyczasie wyniknęło szereg prac ważniejszych, potworzyły się nowe fronty robót, zaś „oczkiem w głowie” inwestora staje się budowa obiektu głównego i pierwszego bloku. Cała budowa płaci teraz za opóźnienia tych, którzy jako jedni z najpierwszych znaleźli się na niej: przedsiębiorstw budownictwa kolejowego.

Mówi główny specjalista do spraw generalnego wykonawstwa: — Tak, mamy pewne opóźnienie w stosunku do planowanej rytmiki. Są jednak realne szanse, że pierwszy blok zostanie uruchomiony w 1980 roku.

KONTO PLUS. CZYLI CO JUŻ ZROBIONO

I to, co się aktualnie kończy, bądź znacznie lada dzień. Z prac ważniejszych według stanu na połowę listopada:

— zakończono fundamenty pod I i częściowo II blok energetyczny.
— rozpoczęto montaż stalowej konstrukcji budynku głównego, w tym konstrukcji nośnej kotła bloku nr 1.

— zakończono wykonywanie płaszczki pylonu nr 1.
— zakończono fundament pod maszynownię bloku nr 1; zaczęto przygotowania do montażu konstrukcji maszynowni.

— zaawansowane są prace ziemne przy budowie fundamentów kolejnych bloków elektrowni.
— przekazano front robót pod montaż drugiego Lindena...

— Zakładamy — mówi inż. E. Janson — że do końca roku zakończy się montaż konstrukcji budynku głównego i kotła dla bloku nr 1 bez maszynowni. Na początek przyszłego roku ruszy montaż obudowy konstrukcji budynku głównego.

To w sercu przyszłej elektrowni „Rogowiec”. A co na innych frontach budowy?

— Zakończono fundament komina nr 1, na plac wejściowy „Piecobudowa”, aby rozpocząć montaż płaszczki, — w chłodni nr 1 gliwickie „Chłodnie Kominowe” zaczęły montaż płaszczki.

— w chłodni nr 2 wykonano pierścien główny pod ślizg płaszczki, — pod chłodnią nr 3 buduje się fundamenty.

— rozpoczęto wykładanie folią dna zbiornika retencyjnego „Biały Łuk”, — w odległości 5 km od placu budowy elektrowni rozpoczęto budowę rozdzielni wysokiego napięcia; tu będzie przyjmowany prąd plynący z nowej elektrowni, po czym rozdzielany do sieci państwowej.

— Jeszcze w tym roku przedłużą się tory kolejowe do budynku głównego.
— Wszystkie ustalenia — mówi inż. Janson — idą w kierunku maksymalizacji robót na bloku nr 1 i minimalizacji prac na obiektach pomocniczych. Po roku 1980 sytuacja zostanie odwrócona.

W PRZYSZŁYM SERCU ELEKTROWNI

Nikt nie powątpiewa, że blok nr 1 — to „minimum rozruchowe” inwestycji — jest punktem najważniejszym. Nie znaczy to jednak

wcale, iż budowniczym życia ściśle się tu różni...

Wędrując w labiryncie estakad, baraków, dróg i wykopów przypominam sobie barwne plany i rysunki, które widziałem na ścianach biura „Energobloku”. Tu, gdzie, po prawej czyli południowej stronie mają stać komin. Zakończono fundament pod pierwszy z nich. Między drutami sterzącymi z fundamentu zatknęto zieloną wiechę...

Dziesięć metrów betonu wkopanego w ziemię nie liczy się jednak do tych trzystu metrów, które mieć będzie komin. Ten mierzący 7 metrów średnicy obiekt pochłonie 21 tysięcy metrów sześciennych betonu, ponad 1700 ton zbrojeniowej stali... Tymczasem grupa robotników pod nadzorem inż. Konstantego Zielenewskiego z „Energobloku” ciągnie już fundamenty pod kopuchy — przewody odprowadzające spalinę z komina. Choć komina nie ma jeszcze i pieca nie ma, a co dopiero mówić o samych spalinach...

Jest piątek, 17 listopada 1978 r. Zgodnie z zapowiedziami, które la-

ci z „Energobloku” mówią o swojej pracy:

— Robimy to co pod ziemią i czego — jak stanie elektrownia — nie będzie widać. Ale na naszej pracy — dodają — wspierać się będzie cała reszta.

To, co jest najbardziej widoczne — stalowe konstrukcje budynku głównego, konstrukcje nośne bloków oraz części parowo-wodnej jedenaśtu kotłów wnoszą inżynierowie i robotnicy z „Energomontażu”. Na budowie serca elektrowni „Energomontaż” wykonuje czterdzieli procent wszystkich prac. Pomaga mu w tym 146-metrowy żuraw Linden, z którego wierzchołka nie widać nawet belchatowskiego bloka.

W tym samym czasie, kiedy przedłuża się estakady, a pod estakadami buduje fundamenty, gdy wznosi się jednocześnie konstrukcje kotła bloku nr 1, inni monterzy stawiają drugiego Lindena. Pomoże on przy montażu bloku nr 1.

Na sąsiednich estakadach staną inne dźwigi. Przygotowuje się już

— Wszliśmy na budowę spóźnieni, bo spóźnione były prace ziemne.

— Budowa fundamentów pod pierwszy blok trwała za długo. Brakowało kruszywa, stali, betonu. Estakady są sprawą tak oczywistą, że nie powinno ich brakować tego, co na budowie jest najważniejsze.

— Powinno się inne rzeczy zaniechać, a do nas dawać stal, beton i transport.

— Część konstrukcji z Radomska była wadliwa. Trzeba je było prostować na placu budowy.

— Zupełnie nieprzygotowane jest zaplecze budowy...

Ludzie nie mają się gdzie umyć, zjeść przyzwyczajają, zapomniano też o szaletach. Wiadomo, na tej priorytetowej budowie superpriorytetem jest produkcja. Jedyna pocięcha, że szybko posuwa się budowa pylonów. W zimowych miesiącach dadzą jakieś schronienie... Wina za te zaniedbania obciąża się na budowie generalnego wykonawcy. I jego podwykonawców.

ZDAŻYĆ PRZED PIERWSZYM WĘGLEM

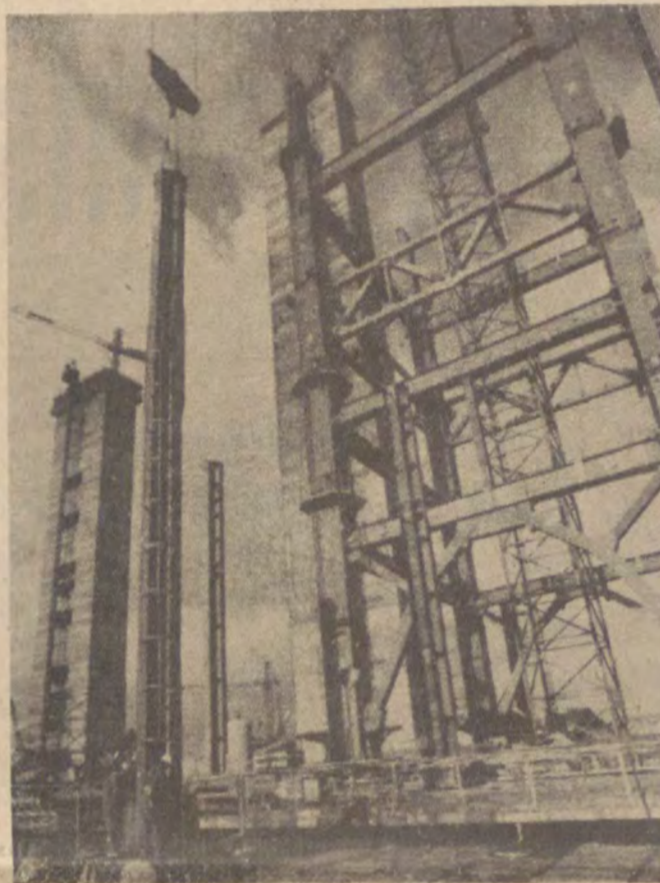


Foto: W. Parys

tem zeszłego roku usłyszałem z ust inż. Adama Wysockiego — zastępcy kierownika Budowy Obiektów Ogólnoelektrowniowych, „Piecobudowa” powinna wejść na plac budowy w grudniu... 1977 roku. Ale dziś nie ma jej jeszcze na placu, choć fundament stoi gotowy. Na co czeka?

— W poniedziałek „Piecobudowa” ma przystąpić do szalowania ślizgu komina. Sądzą, że w ciągu roku postawi pierwszy komin... Inż. Zielenewski stara się rozwiązać moje wątpliwości. A o przyczynie nieobecności „Piecobudowy” dowiem się później.

CZŁOWIEK, KTÓRY KIERUJE

budowę najważniejszego fragmentu — obiektu głównego elektrowni, ma za sobą z górą czterdzieści lat pracy w tym fachu. W trzydziestych latach wznosił na Bielanach osiedla robotnicze. Po wojnie odbudowywał stolicę. Gmach Rady Państwa, huta Warszawa, Zakłady Radiowe im. Kasprzaka, stadion X-lecia — oto niektóre „jego” obiekty. Nie licząc tych poza Warszawą...

Stoimy na estakadzie nr 3/4 zwanej tu „autostradą Nowackiego”. W pobliżu pracuje żuraw imieniem „Bernard”, ochrzczoney tak na cześć inżyniera Bernarda Szyszka. Estakady umożliwiają bezkolizyjną pracę przy fundamentach i na wysokości.

— To dobra rzecz, nie było jej w Turoszowie — chwali inżynier, weteran sztandarowych budów.

Estakady sięgają na razie mniej więcej do połowy przyszłego budynku głównego. Będą tak długie, jak cały — liczący 740 metrów — budynek. Znajdziej się w nim dwaście bloków energetycznych po 360 megawatów każdy. Koparki wybijają wykopy pod bloki nr 9 i 10. Kiedy zaczynano budowę estakad, topiły się w błocie.

Opóźnienie? Inżynier Szyszko mówi wprost:

— Są kłopoty z betonem. Jego produkcję przejęło od nas Pomorskie Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni. No i betoniarnia „nawala”. Uważam, że betoniarnia powinna wrócić do nas — do „Energobloku”.

O pozostałych partnerach inż. Szyszko mówi bardzo dobrze. To Przedsiębiorstwo Montażu Elektrowni i Urządzeń Przemysłowych „Energomontaż—Północ” z Warszawy i bytomska „Piecobudowa”,

specjalnie zagęszczone podłoże. Zwodzi się elementy konstrukcji. Niemiecki szynowy Peiner — największy członek „żurawiej rodziny” i największy tego typu w polskim budownictwie — będzie ustawił zewnętrzna ścianę budynku głównego, blok nr 1 i elektrofiltry. Nie oglądają jeszcze w kraju kolekcje dźwigów uzupełnią dwa żurawie typu BK-1000. Pomogą one w montażu filtrów i budynku głównego, postawią maszynownię i galerię nawęglania.

Na estakadach robi się więc coraz tłoczniej. Już teraz jest mało miejsca. Gdzie te wszystkie niezbędne konstrukcje składować i przygotować do montażu? Sztynne tworzenie „działek” dla poszczególnych wykonawców też jest niemożliwe.

Słychać więc narzekania na sąsiadów. Na przykład inżynier Ryszard Nejman z „Energomontażu” twierdzi, że „Piecobudowa” robi na estakadzie 3/4 bałagan. I rzeczywiście, choć tylko z punktu widzenia inż. Nejmana, który kieruje montażem drugiego Lindena i jasne, że chciałby mieć na estakadzie więcej wolnego miejsca...

Jego zdaniem tarasujące ruch na estakadzie elementy nie są na razie „Piecobudowie” potrzebne. Można by więc je usunąć z drogi. Tym bardziej że transport skomplikowanych i kosztownych elementów Lindena tego wymaga. Ci z „Piecobudowy”, którzy w najbliższym sąsiedztwie wnoszą drugi pylon, mają na ten temat inne zdanie. Im te elementy są niezbędne. Efekt jest taki, że Lindena montuje się powoli, z wielkim trudem. Na szczęście, naprawdę potrzebny będzie dopiero za dwa tygodnie.

Inż. Nejman: — „Być albo nie być” tej budowy to właśnie estakada nr 3/4. A jej tragedią jest transport. Jak w strefie montażu przenosić największe i najcięższe elementy? Dziesięciometrowy element stupa waży 50 ton. Taki ciężar dyktuje określone warunki. Jak ich dotrzymać?.. Gdyby na estakadzie był tor — jak być miał — przewoziłobyśmy konstrukcje wagonami. Na pomostach musiałby panować porządek. I nie byłoby może tych opóźnień, które pod znakiem zapytania stawiają pierwszy prąd w 1980 roku.

Notując też inne głosy krytyczne. Rzucają one światło na przyczyny prawie dziesięciomiesięcznego opóźnienia.

NARADA

Spotykam ich niemal w komplecie na kolejnej naradzie koordynacyjnej. Są z „Termkoru”, „Energinzu”, „Energomontażu”, „Piecobudowy”, „Chłodni Kominowych” i kilkunastu innych firm. Władze generalnego wykonawcy reprezentują: dyrektor inż. Blasik i inż. Janson.

Trzy problemy zdominują naradę. Jakie bywają „zgrzyty” między kooperantami — już trochę wiem. Dwa nowe — przynajmniej dla mnie — problemy na budowie elektrowni, to brak wody i — choć to zabrzmia paradoksalnie — niedostatek energii. Ogólnopolska akcja oszczędzania kilowatów nie ominęła również miejsca, które w niedalekiej przyszłości będzie ich dostarczać najwięcej.

Głosy z dyskusji: — „CHŁODNIE KOMINOWE”: — Bałagan jest z elektrycznością. Stale są wyłączenia, spadki napięcia. Pięć dni byłym ostatnio na budowie bez prądu i wody.

„PIECOBUDOWA”: — Z powodu braku wody „uciekły” mi już z planu dwa miliony złotych... Przy tych dostawach energii i wody mogę zrobić 60—70 proc tego, co powinienem. O wyłączeniach i przecięciach nikt nas nie informuje.

Serce budowy było dotychczas zasilane pojedynczo, od strony północnej. Energię przestaje jednak wystrzacać. Zdarzają się też awarie. Inwestor proponuje więc otwarcie frontu robót dla „Elektrobudowy”, która od strony południowej doprowadzi na główny plac drugą linię energii.

Przekazanie frontu możliwe jednak będzie dopiero po wycięciu kawałka lasu. Zebrani nie wiedzą, czy inwestor zatwierdzi sprawę formalnie. Obecny na sali przedstawiciel dyrekcji Lasów Państwowych stwierdza:

— W 1978 roku nie widzę możliwości wylesienia.

Nie przyszedł na naradę nikt z zakładu energetycznego. Część pretensji idzie więc w próżnię. Sprawa energii zostaje jednak wpisana do protokołu. Do załatwienia.

Inżynier z „Pomorskiego” stwierdza kategorycznie, że nie jest w stanie pracować dalej bez wody na głównym placu budowy. Od doprowadzenia dodatkowej linii uzależnia wykonanie podstawy pod konstrukcję stalowe. Proponuje utworzyć na estakadzie prowizoryczną linię. Walka toczy się o wodę, ale —

przysłuchując się dyskusji — mimowolnie myślę o warunkach sanitarnych, jakie stworzono ludziom na centralnym placu budowy. Do gotowej dokumentacji trzeba będzie wprowadzić korekty. Bez wspólnej decyzji inwestora i generalnego wykonawcy jest to niemożliwe. Pozostaje więc na razie wozić wodę beczkowozami.

PLAC BUDOWY ELEKTROWNI

szacuje się na około piętnaście kilometrów kwadratowych. Ale powierzchnia ta się powiększa. Dość zwarty jeszcze mur sosnowego lasu otaczający elektrownię systematycznie się cofa. Mimo to miejsca na drogach i placach budowy nie jest za wiele. Dzielać się zadaniami i obowiązkami, kooperanci dzielą między siebie autonomiczne tereny budowy. O ile — oczywiście — można dzielić. Gospodarzy jest paru. Stąd czasem już nie wiadomo, co do kogo należy. Gospodarze przypominają sobie o obowiązkach.

— Wam został już przekazany front robót na kanale technologicznym — do przedstawiciela bytomskiej „Piecobudowy” zwraca się dyr. Blasik — Nie widać jednak, byście wchodzili na budowę.

— Nie mamy dojazdów, poza tym jednym od czola — pada odpowiedź — Wokoło same wertepy!

Prawda. Sam byłem, widziałem, ugrzązłem nawet nogami w błocie. Co by się działo z ciężkimi wywrotkami?

Inżynier z „Elbloku” zapewnia: — Teren wypoziomujemy, dojazd zapewnimy.

Z kolei „Piecobudowa” prosi dyrekcję, by na przedsiębiorstwie budownictwa kolejowego wymogła dokończenie toru na bocznicę.

— Roboty jest na pięć godzin — twierdzi inżynier — Musimy wagony z kruchym materiałem wstawiać na zaplecze, gdzie rozładuje je dźwig, a nie ludzie. Z ostatniego transportu połamali dwadzieścia procent eternitu.

„Księżycowy” (to określenie niezupełnie odpowiada prawdzie, ale chętnie się go tu używa) krajobraz budowy zmienia się z dnia na dzień. Pod nowymi fundamentami i żarym konstrukcji giną stare drogi, dojazdy, nawet obwodnice. Trzeba wytyczać nowe drogi, prowadzić nowe trakcje energii i wody. Wszystkie te działania są koordynowane „na gorąco”. Nie wszędzie jest tak źle z porozumieniem jak na estakadzie 3/4, gdzie stawiający Lindena „Energomontaż” droczy się z budującą pylon „Piecobudową”, ale faktem jest, że wraz z tym jak przybywa roboty, ludzi i maszyn, robi się coraz ciasniej. Najczęściej — co tu dużo mówić — życie utrudniają drobniaki.

Oto na przykład „Chłodnie Kominowe” apelują o upocządkowanie jednej z dróg. Przeszkadzają tam samochodom porzucone, utopione w błocie betonowe kręgi. Kooperanci proszą „Energoblok” o dokończenie — trochę wstyd mówić — estakady nr 1. Niewątpliwie usprawni to komunikację w tym trudnym punkcie. „Energoblok” próbuje ten „wstyd” przerzucić na „Pomorskie”, „Pomorskie” broni się i tak dalej i dalej i dalej. Problemów bez liku.

To okres w historii elektrowni najgorszy: od fundamentów do piątego bloku. I — powiadają starzy wyjadacze — najlepsze. Budowa jest na etapie pokonywania wysokich barier. Bariery te długo jeszcze nie będą maleć. Toteż trudno się dziwić, że są tacy na budowie, którzy mówią:

— Nawet jeżeli węgiel będzie szybciej, niż pierwszy blok w elektrowni, to tymczasem będzie go można wysyłać do Konina. Odkrywką w Piaskach ma już przecieć tor. Ale ma też — niestety — opóźnienie.

Drugi układ K—T—Z zamiast wiośnią, ruszył w listopadzie. Nie było łożysk, a bez łożysk — pracy. Choć koparka i zwalówka mogły już pracować, stal stałociąg. A wraz z nim — cały układ. Pierwszej koparce coraz częściej trafiają się przestoje. Niedługo, ale jednak.

Zamontowany w koparce-łigancie elektroniczny system reaguje czule i wyłącza się za każdym razem, lekroć do łożki koparki dostanie się wielki kamień. A natrafia się tu ostatnio na ławice takich wielkich kamieni. Niektóre przekraczają nawet 30 ton. Nie wiadomo, że będą tutaj aż takie.

Ludzie jednak czuwają. Każde przedarcie albo zerwanie taśmy oznacza zatrzymanie pracy całego układu. Ci, którzy stoją przy taśmociągu wpatrują się weń jak sroka w gnat.

Ambicją budowniczych elektrowni jest zdażyć przed pierwszą lynchą węgla. Wbrew wszystkim, „obiektywnym” i całkiem zwyczajnym trudnościom. Inżynier Bernard Szyszko mówi: — Ja zawsze w Polaków wierzę, bo mogą robić cuda. Byłoby tylko mieli czym...

I to jest fakt.

TOMASZ SOLDENHOFF

Mistrz nie przychodził. Do jego pracowni wpuścił mnie bezogni starzec, który co jakiś czas zjawiał się bezszelestnie na wózku inwalidzkim w otwartych na całą szerokość drzwiach. Wchodząc do pracowni Mistrza zauważyłem, że wszystkie drzwi w tym domu, z wyjątkiem wejściowych, są pootwierane na przestral. Widocznie dlatego, aby ten stary inwalida mógł jeździć swoim wózkiem z pokoju do pokoju, bo (jak słusznie zresztą pomyślałem), jest tu od tego, żeby pilnować obrazów, zapędzających wszystkie ślany w tym domu. Od razu jednak zdałem sobie sprawę, że wolno mi będzie obejrzeć te tylko, które są zawieszane na ścianach w pracowni. Stary inwalida wyraźnie strzegł przejścia do innych pomieszczeń, toteż nie próbowałem nawet do nich zaglądać.

W pracowni była dziewczyna, której nie spodziewałem się zastać. Widocznie może tu wchodził każdy, kto pragnie obejrzeć dzieła Mistrza, i ta dziewczyna jest tutaj przyręczym gościem, pomyślałem, ale zdałem sobie zarazem sprawę z własnej pomyłki, bowiem spostrzegłem, że dziewczyna jest po domowemu ubrana. Gdy tymczasem mnie nie poproszono o zdjecie piasku. Pod naporem ostrego spojrzenia inwalidy na wózku, nie miałem nawet czasu rozjechać się za jakimś wieszańkiem, i zostałem niemalże wpełchnięty siłą tego spojrzenia do pracowni.

Obecność dziewczyny skłębowała mnie. Nie wiedziałem, jak się zachować. Stała przy oknie, wpatrzonego w rozpiszającą się za nim obnażone piugami pole, i mimo iż musiała słyszeć, że ktoś wszedł do pracowni, nie obejrzała się. Byłem ciekaw jej twarzy. Przeczucywałem, że musi być piękna. Byłaby w takim razie listotą o wręcz nieskazitelnej urodzie, bo już teraz zachwycała mnie jej zgrabna, jakby rzeźbiona, nieporuszona sylwetka.

Dopiero w chwili, kiedy w drzwiach do pracowni ponownie zjawił się inwalida na wózku, dziewczyna odwróciła się i popatrzyła surowo na starca. Ten zaś w podobny sposób spojrzał na mnie i szybko odjechał w ciemność korytarza.

— On jest kombatanem ostatniej wojny — powiedziała o starcu, a ja mogłem się wreszcie przekonać, że jest rzeczywiście piękna. Ukłoniłem się, na co jednak nie zwróciła uwagi, i ciągnęła o powieść o starcu: — Nie jest nikim bliskim dla Mistrza, łączy ich jednak wojna i dlatego jest tutaj. Mistrz namalował go kiedyś nagłego, leżącego na łóżku obok którego stoi wieszak z mundurem udekorowanym odznaczeniami. Obraz ten, pod tytułem „Kombatan”, zyskał pierwszą nagrodę w międzynarodowym konkursie na pracę o tematyce wojennej i przyniósł Mistrzowi światową sławę.

Zastanawiałem się po co mi o tym mówić? Czyżby tu była przewodniczka?

— Ma pan zapewne wrażenie, że jest pan w muzeum? — zgarda o czym myśle. — Otóż w pewnym sensie tak właśnie jest. Znajduje się pan wśród darów Mistrza dla ludzkości. Mistrz nam nadzieje, że przetrwa w pamięci wielu pokoleń, o ile kolejna wojna nie zniszczy jego dzieł wraz z całym dziełem człowieka — światem.

Mistrz bolł się tego, a nawet, z tego właśnie powodu, najbardziej cierpił. Mimo iż jest malarzem światowej sławy zdaje sobie doskonale sprawę z oddziaływaniami sztuki na świat, jest, niestety, znikomym i żaden artysta nie zdola uchronić ludzkości przed jakimkolwiek kataklizmem, bo nie artyści rządzą światem, lecz politycy. Następna wojna, mawia Mistrz, zniszczy nasze życie, zniszczy wszelkie życie na ziemi, która przemieni się w nagi, zawieszony w przestrzeni kamień, na którym z biegiem czasu ukażą się nowe porosły, a wreszcie po kilku tysiącach lat narodzi się nowy człowiek... I oby był to, jak pragnie Mistrz, człowiek mądrzejszy od tego, który już dzisiaj dogorywa...
— Niech pan popatry na ten obraz. — rzekła, wskazując mi oczyma duże płótno, które nie było jeszcze oprawione w ramy. Odczytałem tytuł: „Cel”.

Szary, niemal bezbarwny krajobraz z drogą, którą ciągnie rząd ludzi w stronę pochłaniającego ich krematorium. Tylko nad pułapem pochmurnego nieba nad ich głowami przebiega się jedyna na tym obrazie jasność, pochodząca zapewne od słońca, które jakby ukryło się nie wiadomo gdzie.
— Co sądzi pan o tym? — zapytała mnie cicho, jakby nie chciała przerwać snutej przebiegiem refleksji, do jakiej zmusił mnie ten obraz.
— Zastanawia mnie — rzekłem nieśmiało — dlaczego ci ludzie idą do swego celu przez nikogo nie pchani. Brakuje mi tu oprawców.
— Zastanawia mnie — rzekłem nieśmiało — dlaczego ci ludzie idą do swego celu przez nikogo nie pchani. Brakuje mi tu oprawców.
— Właśnie — podjęła tok mojej refleksji. — Ja osobście mam często wrażenie, że nasze życie jest samobójstwem. A myśląc tak dlatego, że chociaż zdajemy sobie sprawę z czekającej nas śmierci, to jednak w każdym stuleciu dopuszczamy się masowych morderstw, jakbyśmy tęsknili za inną, niż ta, która czeka nas, śmiercią. Doszliśmy już nawet do całkowitej perfekcji wyniszczania się. Broń nuklearna, broń neutronowa — co za doskonałość, ale jaka perfidia! Co warto jest nasze życie? Moje życie? Dla polityków nie ma ono najmniejszego znaczenia. Ale i ich życie jest niczym wobec śmierci. Kim się jednak staliśmy, skoro sami chcemy ustalać rodzaj naszego zejścia w nicotę? Kim jesteśmy bardziej? Tak wielkimi egoistami czy też tak ogromnymi tchórzami?

Zamilkła. Jakby w obawie, że mówiąc straciła coś z własnej atrakcyjności, poprawiła sobie fryzurę. Zerknęła na mnie, aby sprawdzić, czy nie dostrzegam czegoś jeszcze, ale to tylko ona mogła sądzić, że jest z nią coś nie w porządku. Ja byłem nią zachwycony. I w dalszym ciągu onieśmielony jej obecnością w pracowni.

— Czy może pan o sobie powiedzieć, że jest szczęśliwy? — zapytała z już odzyskaną pewnością siebie.
— Niekiedy bywam szczęśliwy — rzekłem. Chciałem też dodać, że jestem szczęśliwy i tutaj, bo zaprosił mnie Mistrz, ale zastanowiło mnie, dlaczego nie ma go jeszcze? Mieliśmy przecież poznać się i porozmawiać...
— Niekiedy... — westchnęła. Oddalili się w stronę okna, ale zanim znowu wpatrzyła się w rozciągające się za nim pole, odwróciła się ku mnie twarzą. Musiała dostrzec w moich oczach żal, że odeszła, bo uśmiechnęła się z satysfakcją. Mając już potem pewność, że prze-

stała się mną interesować, co być może okazywała mi celowo, oglądałem pozostałe obrazy Mistrza, w każdym znajdując wielką literaturę.
— Nie wiem, jak długo albo jak krótko potem zjawił się Mistrz. Narobił sporo hałasu wchodząc do swojej pracowni. Na skrzyni, w której prawdopodobnie przechowywał swoje nieukończone szkice, postawił przyniesione z sobą butelki z piwem i jakieś wino. Mrugnął do mnie bladeńsko.
— Wyobrażalem go sobie zupełnie inaczej. Spodziewałem się ujrzeć pełnego mądrości starca o długich posiwiałych już włosach, chudego i zgarbionego, a tymczasem wszedł do pracowni smukły, trzymający się mocno na nogach, arogancko przysposobiony do życia mężczyzna. Ubrany był jak młodzieniec. Pod błękitną wypłowiałą już bluzą miał na sobie flanelową koszulę, która szeroko u góry rozpięta, obnażała gesty i czarne puch włosów na umięśnionym ciele. Ostrzyżony był krótko i tylko góździejdzę postawiły, ale to dodawało mu tylko uroku i świadczyło wyłącznie o jego męskiej sile.

— O czym ty znowu myślisz, kochanie? — zwrócił się do nadal stojącej w oknie dziewczyny, wciąż wpatrzonej w zakłony peien szarości pejzaż.
— Kiedy tak stoi w tym cholewnym oknie — rzekł teraz do mnie — wtem z miłości, że jest na coś wściekła. Pewnie znowu przeżywa swą marność. W gruncie rzeczy jest bardzo inteligentna. Mam nadzieję, że chociaż pan, młody człowieku, nie ma dzisiaj kiepskiego humoru? Nie lubię ludzi, którym władają nastroje.
W odpowiedzi tylko się uśmiechnąłem.
— Stał się mówić — cią-

gnął Mistrz — że nasze sily i mądrość tkwią w umiejętności przewidywania wszelkich, najtragiczniejszych nawet zdarzeń, bo umieć przewidywać, to nie dać się niczemu zaskoczyć. Nawet złym nastrosjom. Gdybyśmy nie przeżywali już wcześniej, w wyobraźni, śmierci najdroższych nam osób, nie wiadomo, czy sami byłibyśmy zdolni ją przeżyć, gdy już staje się faktem. To sami z sobą musimy toczyć najbardziej zacietuszone boje. Najgorsze są nasze lęki. Ale tylko ludzie wrażliwi wiedzą, co to znaczy przewidywać samego siebie. Pan chyba wie o tym?
Przytaknąłem, ale bardzo

czę, że zmieni się twój nastrój. Zdał się otworzyć butelkę z winem i rozstawił na skrzyni kieliszki, które być może wyczarował, bo nie wiem skąd się wzięły. Nie było tu nic takiego, w czym mogły być przechowywane. Mógł je jednak z sobą przynieść, czego wcześniej nie zauważyłem. Rozlał do nich wino i kiwnął na mnie, abym się zbliżył i wypił. Podszedłem do skrzyni, gdy tymczasem on oddalił się, aby do niej podejść. Przyjęła od niego kieliszek. Odsunęła jedynie głowę przed jego ręką, którą zamierzał pogładzić jej włosy. Spojrzała przy tym na niego z wrogością, która każdego by zadziwiła, ale Mistrz zdawał się lekceważyć tę wrogość, jakby już doskonale ją znał i nie musiał się wcale lękać. Był raczej pewien swej własnej sily, która, gdy tylko zechce ją objawić, zmiatałaby dziewczynę. Może więc sobie patrzeć na niego jak chce.
— Jeszcze raz zadałem sobie pytanie, co ich łączy? A Mistrz, jakby pytanie to usłyszał, uderzył mi na nie odpowiedzi: — Ludzi łączy to, co ich dzieli. — Szedł teraz do mnie i jego twarz była już inna, bardzo iagodna, pełna promiennej pogody. Widząc, że nie opróżniłem jeszcze kieliszka, zacheił mnie do tego gestem, który mógł znaczyć, że życzy mi zdrowia. Uśmiechnął się przy tym szeroko. Grube wargi odsoniły czerniałe od tytoniu zęby. Wypiliśmy. Widząc po mnie, że czekuję od niego przyrzeczonej mi w liście rozmowy, zaczął od pochwały: — Cenię w panu to, że i pan potrafi przerażać. Maluje więc pan tak, jak się to robić powinno. Dzięki naszym dziełom, ludzi mniej będą przerażali wszystkie następne kataklizmy.

— Myśli pan o kolejnej wojnie? — spytałem.
— O niej też, bo nie można jej przecież wykluczyć, ale czy kataklizmem nie jest też nasza codziennosc? Ta dziewczyna jest tego najlepszym przykładem. Jest bardzo bliska oblędu. A jeśli nawet z nią już tak jest, to znaczy, że bliscy oblędu są już prawie wszyscy. Był pan już może w szpitalu dla umysłowo chorych?
— Nie — powiedziałem zgodnie z prawdą.
— To musi się pan postarać, żeby tam trafić. Po wyjściu stamtąd będzie pan już prawdziwym artystą. Musi pan tylko uważać, żeby tam pana nie wykończyli. A oni to robią lecając. Człowieka nikie nie wyleczą, jeżeli on sam nie da sobie rady ze swoją słabością. Zapaść psychiczną to przede wszystkim kompleksy, do których trzeba umieć się przystąpić i pomóc sobie pamięcią w znalezieniu przyczyn ich powstania. Niemniej jednak taki szpital powinien pan jakoś odwiedzić. Takie miejsce jest znakomitą lekcją dla każdego artysty.
— Niech pan nie słucha tych bredni! — Krzyknęła dziewczyna, robiąc gest, jakby mnie chciała obronić przed tym, do czego Mistrz mnie namawiał. Odebrałszy się od swego dotychczasowego miejsca przy oknie, stanęła pomiędzy Mistrzem, a mną.
— Dlaczego to mają być brednie? — zapytał ją Mistrz. Zwracał się do niej jak nauczyciel, zawiadzony swą misją wobec niepojętego ucznia. Nie pojmowałem subtelności tej sytuacji. Mnie także zdziwił ten nagły sprzeciw dziewczyny, albowiem według mnie, Mistrz mówił bardzo mądrze i bynajmniej nie wypowiadał żadnych

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI MISTRZ

nieśmiało, ponieważ czułem się bezradny wobec brniącej w głosie Mistrza ironii. Mówiąc Mistrz zdawał się kpić z własnych słów, a nade wszystko ze swego audytorium, więc pomyślałem, że kpi także ze mnie, choć wszystko co mówił, zdawał się adresować do dziewczyny w oknie. Ona też pośpieszyła mu z odpowiedzią:
— Okropne jest tylko to — odezwała się, powoli odwracając swą twarz w stronę Mistrza — że ludzie wrażliwi nie zdają sobie w końcu sprawy z utracionej wrażliwości i że w zamian pozostaje im tylko cynizm.

W jej skierowanym na Mistrza spojrzeniu dostrzegłem błysk nienawiści. Zacząłem się zastanawiać, co może łączyć tych dwoje?... Jakiego rodzaju jest to związku?...
— Dawno temu — rzekł Mistrz z jeszcze większą ironią — kiedy jeszcze wierzyłem w Boga, zastanawiałem się dlaczego tak skurwysynski świat został uznany za dzieło tak doskonałej istoty, jaką Bóg był wtedy dla mnie. Z niczego przecież stworzył naturę o tak niebywale logicznych prawach... Aż wreszcie przestała mnie urzekać niebywalość tych praw i zbliżała boska doskonałość. Bo ani my, ani nasz świat, nie jesteśmy logiczni. My i nasz świat to absurd. To nie więc, że jestem cyniczny. Najważniejsze jest to, że czuję się wolny, ba, wręcz szczęśliwy, że sam mogę być skurwysynem. Dlatego uważaj przed kim zadzierasz nosa, malarka... — spojrzał po nas, dumny, że tak właśnie powiedział. I jakby wołał, żeby ona tego nie skomentowała, dodał iagodnie. — Napij się wina, świętobliwa panienko. Pokrzep swe skolatanie serduszko, a rę-

robakiem, którego można by rozdeptać. Nie zrobił tego jednak do chwili, w której nie wycierpił do końca charakteru związku, jaki łączył go z Billem.
Materiał aktorski dla wykonawcy roli Jamesa jest w dramacie Pintora bogatszy i bardziej określony niż to ma miejsce w przypadku Harry'ego i Billa. Niemniej łatwo byłoby aktorowi zesłać się w kierunku banalnego akcentowania uczuć zazdrości. Bates nasycił swą grą tak wielką dozą obsesyjności, że pierwotny motyw działania, jakim jest zdrada, usuwa się w cień. Istotna dla Jamesa stała się sama rozrywka z Billem. Rozkosza stała się budzenie w nim niepokoi i strachu.

W tej grze nie wyczerouie się bogactwo aktorstwa Batesa. Przecież interretowany przez niego James prowadził misterna grę na dwa fronty. Dręcz również swą żonę Stellę. Wylania się przed nią jeszcze jedna plaszczyna dramatu, iaka stanowi z pewnością pożywie małżeńskie Jamesa i Stelli. Nie o tym z materij dramatu nie wiemy, ale możemy łatwo się domyślić że jest to związek chory. Skąd bowiem bierze się ta szczerost żony, która oowłada mełowi o rzekomej czy rzeczywistej przyro-

bredni. Co więc strzeliło jej do głowy, że tak zareagowała?

— Wystarczy, że ty tam byłeś — rzekła cofając się ku mnie, świadoma tego, że dostatecznie zgniwiała już Mistrza.

— Przez ciebie, suko jedna... — zasycał wściekle Mistrz. — Ty, mój cholerny dodatku do lat okupacji i tej kurewskiej codzienności! Ty!... — przerwał, jakby nie był już w mocy powiedzieć wszystkiego, co wypowiedział mu nagły przyływ ws lękością.

Obawiając się najgorszego, postanowiłem zlagodzić jakość tę pełną drapieżnego napięcia sytuację. Czulem się bardzo źle pomiędzy tym dwojgiem nienawidzących się ludzi, których istotnie łączy to, co ich dzieli.

— Mistrzu — rzekłem zalekionym, czego nie przewidziałem, głosem: — pragnę panu podziękować... Wiem, zdaje sobie sprawę, jak wiele znaczy to, że pan mnie do siebie zaprosił...
— Nie to nie znaczy — rzekła dziewczyna. Na jej twarzy pojawił się zimny, lekceważący nas obu uśmiech. — Nie myśl sobie, że on ci pomoże — mówiła do mnie, jakby była dla niej głupim smarkaczem. — On doskonale wie, że ma przed sobą rywalą, bo ty rzeczywiście masz talent i odkryłeś już to, czego on poszukiwał latami. Możesz być pewien, że będzie próbował cię zniszczyć.

Mistrz milczał. Usta miał zacisnięte, trzymał przed sobą bochny drążących pieści.
— W jaki sposób mógłby to zrobić?... — byłem przerażony tym, co mi teraz rzekła. W odpowiedzi zaśmiała się pogardliwie.

Mistrz chwycił ze skrzyni swój kieliszek i zmiadzył go w dłoń. Szkło sypnęło się na podłogę. Ręka Mistrza silnie zaczęła krwawić.
— Ta głupia dziwka nie wie co mówi — powiedział prawie płacząc. — Myśli, że wszystko jej wolno. A ja jestem jak zwykle cholernie cierpliwy. Na próżno podjadza, mać! Myśli, że bez niej nie mógłbym już malować, ale nie wie jeszcze jak ze mną przegra. Kiedyś przebierze się miarka goryczy. Wtedy zabije ją, lub... — nie dokończył. Może dlatego, że ponownie zdołał się opanować. Z każdym słowem stawał się spokojniejszy i im więcej jej groził, tym bardziej zdawał się jej wybaczać. Natomiast ona niczym aktorka, która skończyła fragment swej roli, w rytm jego coraz to spokojniejszych słów wracała do swego miejsca przy oknie, gdzie, jak poprzednio, zamariła w głuchym milczeniu. Pomyślałem, że nie tu już po mnie. Mistrz nie zatrzymał mnie, choć widział, że wychodzę z pracowni. Kiedy już byłem przy drzwiach wyjściowych, usłyszałem za sobą cichy bieg inwalidzkiego wózka. W ciemności korytarza zdawało mi się, że najężdża na mnie z jakimś szalonym impetem. Odskokcyłem w bok i spojrzałem za siebie. Stary inwalida siedział spokojnie w zatrzymanym w bezpiecznej odległości ode mnie wózku. Otworzył drzwi. Do korytarza wtargnęło słabnące światło kończącego się dnia. Inwalida zrobił manewr i odjechał w głąb oślanającej go przed tym światłem ciemności.

Fragment powieści pt.: „Porret Znajomego”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego w roku 1979.

KOLEKCJA ŚWIETNYCH AKTORÓW

Televizyjna rubryka „Teatr TV na świecie” przyczyniła nas już do tego, że spektakle brytyjskie rezerwa- zacja z reguły wysoki poziom wspaniałości ieshi chodzą o aktorstwo. W przypadku „Kolekcji” Harolda Pintora, autora, który w latach pięćdziesiątych odegrał wielką rolę w dramaturgii światowej gwiazdka znakomitej obsady aktorskiej była osoba producenta — sra Laurence'a Oliviera.

Olivier, aktor otoczony za życia legendą i zaliczany do najwybitniejszych w dziejach światowego teatru, w okresie narzwania telewizyjnej „Kolekcji” (jej praoremiera ekranowa w reżyserii Michalela Anteda miała miejsce 5 grudnia 1978 roku) zbliżał się do siedemdziesiątki. Jego nienasanna sprawność aktorska mogła w tym przedstawieniu zaisto- nować.
Miałem okazję widzieć Oliviera na

scenie w Londynie przed 18 laty. Wówczas aktorstwo jego było w pełnym rozkwicie, budziło zachwyty i powodowało, że do spektakli publiczność gromadziła się przed wyjściem dla wykonawców, by urządzić sra Laurence'owi entuzjastyczne owa- cie. Dziś, po latach, sztuka aktorska Oliviera osiągnęła swoista pełnię, nabrała smaku starości, ustaleo wino. Z iaka wytworna swoboda porusza się w labiryntce wieloznaczności dostarczanych mu przez rolę, iak bastel- owymi środkami ounktuje postać Harry'ego, o którym dzięki temu do- wiadujemy się znacznie więcej niżby to wynikało z tekstu Pintora!

Za fasadą staroego dżentelmana, po angielsku oawowanego i dyskretne- go w manifestowaniu uczuć, odnajdujemy w Harrym, interretowanym przez Oliviera, całe piekło namie- ności, dewiacji i przywar, które nada- ją mu cechy ludzkie, niewolne

zresztą od pewnel zamierzonej tandencji. Ta cała złożoność motywacji i cech charakterologicznych uławia się w stosunku Harry'ego do młodego przyjaciela i utrzymanka Billa Zbozozona czulość miesza się tam z wżardą do małego ziołka, chłopca ze słumsów czvil z nizin sooczcnych. Jest w stosunku tych dwóch ludzi coś z relacji trenera i dzikiego zwierzęcia.
Role Billa gra młody aktor Malcolm McDowell, znany u nas z filmów „Szczęśliwy człowiek” Lindsava Andersona i „Mechaniczna pomarańcza” Stanleya Kubricka. I on nie tworzy postaci jednoznacznej. Przewyczo- nony w życiu do ulekości, podoczard- kowania się silniejszym, zdobywa się Bill chwilami na dyskretne przejawy buntu. Odczuwa się w nim ukryta nienawiść do luksusowego świata, do którego worował go Harry.
Niezwykle ciekawa kreacja aktor- ska obdarzył nas Alan Bates w roli Jamesa. Postać ta ma z wól autora coś z Dostojewskiego. Można by do- patrywać się jej pokrewieństw z „Wiecznym małzonkiem”. Maż podej- rzewywać swą żonę o zdrade obie- sijnym powracający do tej sprawy, szukałacz nieustannie kontaktu ze swym domniemanym czy faktycznym rywalem. Dla niego Bill jest również

dział, iaka przeżyła z Billem w hote- lu w Leeds? Tu dla odmiany zbliża- my się do Strindberga i tego labo- ratorwvnych analiz piekła małżeńskie- go James i Stella dreca się nawza- jem. Pierwsza runda tego meczu małżeńskiego nalezy do Stelli. Uda- je jej się wzbudzić w mezu zazdrości i ochnąć go do działań przeciw Billo- wi. Intensywność z iaka James o- wadzi te gre dane z kolej przeważa- iemu, ale końcówka nalezy znow do Stelli. Gdv James gotów jest zrywać koraś z rzedu wersji wydarzeń z Leeds i oczekiwać tylko potwierdzenia ze strony żony, ta odowiedzi milce- niem i wieloznaczym uśmiechem Gioandy. Ilek mistrzostwa było w tym końcowym uśmiechu Stelli, w wykonaniu Helen Mirren! Uśmiech ten skazywał Jamesa na dalsza meke niepowodzenia.
Zdaie sobie sprawie z tego iak nie- pełna jest moja próba interpretowa- nia aktorstwa, zademonstrowanego nam przez Anglików w „Kolekcji”. Zaledwie dotknalem problemów kło- re wvmagalwv całej rozpraw.

Kontynuujemy nasz cykl publikacji dotyczących małych zakładów, spełniających ważną rolę w całokształcie gospodarki narodowej. Dziś przedstawiamy Łódzkie Zakłady Chemiczne „Organika”, jedynego producenta płynów hamulcowych do wszystkich typów samochodów, a także wielu innych, jakże ważnych i potrzebnych środków dla różnych gałęzi przemysłu.

Historia dawna i najnowsza

Historia fabryki kleju na Górnej datuje się od 1903 roku, kiedy właścicielami byli Leski i Sterchman. W ciągu lat przechodziła ona różne koleje, rozwijała się unowocześniała, lecz podstawowym produktem nadal pozostawał klej kostny, tabliczkowy. Podstawowym surowcem są kości zwierzęce, dopiero w czasie okupacji trafiła tu kość już rozdrobniona, o trudnym do ustalenia pochodzeniu. Były podejrzania, że dostarczano kości ludzkie.

Po wojnie produkcja nie uległa zmianie: odświeżanie kości, wytwarzanie kleju kostnego i maczki nawozowej. Ale reorganizacja przemysłu nie omiła zakładu. Co jakiś czas przyłączała doń jedne zakłady, inne usamodzielniała się. „Pixin” na przykład została przemianowana na Fabrykę Kosmetyków „Ewa”, a sama wytwórnia kleju zmieniła przynależność i spod zarządu Ministerstwa Przemysłu Rolno-Spożywczego przechodziła pod Ministerstwo Przemysłu Chemicznego, a wkrótce przetwórstwo kości zostało przeniesione do Nowego Dworu. No i powietrze nad Górną nie zmusza do zatykania nosa (zlikwidowano saponal i sapozal, szkodliwe ze względu na berylowe kwas chlorosulfonowy, oleum). Na bazie starego zakładu powstała nowa, oparta o nowoczesne środki chemiczne, nieuciążliwe dla otoczenia.

I wreszcie, na początku lat 70-tych nastąpiła ostatni etap reorganizacji Łódzkich Zakładów Chemicznych „Organika”: uruchamia się środki rynkowe pod postacią aerologii oraz w opakowaniach tradycyjnych. W ciągu ubiegłych 30 lat dokonują się więc zasadnicze zmiany, bowiem z małej kwiaterny powstał już zakład o prawie miliardowej produkcji.

Idąc tu, wiedziałem, że inż. Józef Gebalski jest od 15 lat na stanowisku kierowniczym, obecnie jest zastępcą dyrektora, że opracował parę patentów m.in. pierwszą polską metodę produkcji włókna akrylonitrylowego następnie płyn hamulcowy do samochodów, enzymatyczny preparat do wyprawiania skór (w sumie 7 patentów). Właśnie od inż. Gebalskiego dowiedziałem się, że „Organika” jest jednym z największych zakładów produkujących środki pomocnicze dla przemysłu garbarskiego, włókienniczego, maszynowego, cukrowniczego, papirniczego, motoryzacyjnego i samochodowego w mniejszym stopniu korzystają z „Organiki” przemysły: budowlany i elektroniczny.

— dla przemysłu garbarskiego: produkuje oleje naturalne lub syntetyczne rozpuszczalne w wodzie;

— dla włókienniczego: takie same oleje do przędzy, środki do apretury szlachetnej, środki uszlachetniające tkaniny, środki nadające tkaninom własności wodoodporne, środki piorące, usuwające plamę z tkanin;

— dla przemysłu cukrowniczego i papirniczego: środki likwidujące pianę (w produkcji papieru luzi posarczynowe wytwarzają pianę, która jest szkodliwa);

— dla przemysłu maszynowego: deterenty do mycia elementów metalowych nie powodujące korozji, łatwo usuwalne w kąpieliach wodnych;

— dla motoryzacji: przede wszystkim „Organika” jest jedynym w kraju producentem płynów hamulcowych. Ostatnio zakwalifikowano nowość: płyn do nowego ciążnika „Ferguson”. W trakcie są badania nad płynami chłodzącymi opartymi na nowoczesnych surowcach. Nowe płyny będą miały mniejsze niż dotychczasowe — działanie antykorozyjne i lepszy współczynnik wymiany ciepła;

— dla posiadaczy samochodów: płyn do spryskiwania szyb „Adixol”, nie zamrażający nawet w temperaturze do -45 stopni, „SMB” — szampon do mycia karoserii samochodowych. A obok tego cały szereg wyrobów aerozolowych: „Detersil” — do mycia silników samochodowych, „Dersol” — preparat zapobiegający rośnięciu szyb w samochodzie, „Chronizol” — lakier zabezpieczający przed korozją części metalowe i chromowane oraz „Chronizol-zmywacz” do usuwania tegoż lakieru, „Durax” — do mycia szyb i lustek, „Termostil” — antykorozyjny preparat do zabezpieczenia układu wydechowego, „Unizol” — do antykorozyjnego zabezpieczenia i odblokowywania zamków progów, części pracujących, „Skay-skin” — do mycia tapicerki.

Odrebną grupę stanowią preparaty aerozolowe przeznaczone do rośno-darstwa domowego. A więc popularny „Kubus” — do mycia naczyń, „Bucha” — do odświeżania dywanów i obić tapicerskich, „Mepol-lak” — do odświeżania mebli politurowanych, lakierowanych oraz okładzin z tworzyw sztucznych, dezozony — pre-

paraty do odświeżania powietrza (8 zapachów), „Odoglamiacz” (złoty medal na „Incheba — 77” za jakość, oryginalność i trafność).

Zaloga

400-osobowa załoga, wraz z zakładem przechodziła reorganizację i zmianę produkcji. Oczywiście, ze starej kadry niewiele tu dziś ludzi, bowiem charakter pracy zmienił się diametralnie. Oto przy taśmie operator urządzeń dozujących i pakują-

wiek, czy też takie coś, jak to niekiedy pokazywa w telewizji. A potem od razu przywykły do maszyny i dziś sobie chwala. Czy zmieniło się coś jeszcze? Owszem, przy taśmie jest wentylacja, a to ważne. No i do stołówki jest bliżej.

Przy zespołach aparatury do produkcji środka do zlikwidowania plamy powstającej w przemyśle cukrowniczym spotykam Władysława Kopere, aparaturowego procesora chemicznych, pracującego w „Organice” już 12 lat. Aparat, który obsługuje, to 3-tonowy mieszalnik.

— Muszę dozować poszczególne surowce w odpowiednich proporcjach, zachowywać wszystkie parametry technologiczne, przede wszystkim chodzi o temperaturę. Ale, wie pan, kiedyś była to praca fizyczna, dziś wymaga się myślenia. Technika zastąpiła nie tylko ludzką wyśięk. Po prostu są inne wymagania. Dawniej pracowano tu 20 osób, dziś — tylko 10. A roboty wykonujemy dwukrotnie więcej. No i sama praca, choć bardziej odpowiedzialna, jest dużo bezpieczniejsza, bo zlikwidowano procesy sulfonacji szelony kwasem siarkowym i oleum.

Oddział WT-2, Kierownik oddziału.

łówni. To są zdobycze ostatnich lat. Tak więc początkowo w „Organice” zlikwidowano klej. Potem — produkcje wyrobów opartych na kwasie chlorosulfonowym, tróchlorku fosforu i berylowym, co spowodowało całkowitą likwidację przykrych zapachów. Na ich miejsce weszły asortymenty oparte na surowcach mniej uciążliwych. Nastąpiła też modernizacja technologiczna i urządzeń. Z dawnych budynków, królestwa szczurów, prawie nic nie pozostało. Dzisiejsze hale zostały wybudowane po reorganizacji. Wprowadzono mechanizację transportu surowców, magazynując je bezpośrednio w zbiornikach, a z nich — przy pomocy pompy — substancje są przekazywane do aparatury produkcyjnej.

W rozmowie z ludźmi z „Organiki” powtarzał się jeden i ten sam problem: modernizacji można dokonać w szybkim tempie, można w krótkim czasie opanować nowe technologie i zainstalować nowe maszyny natomiast od lat pozostałe nie rozwiązana sprawa załogi. Na oddziale WT-2 ponad 80 proc. załogi stanowią ludzie z ponad 15-letnim stażem. Młodzi jednak nie kwapią się do pracy w chemii. Być może odstrasza ich pokucie i jeszcze do dziś przekonanie, że

reктора, a od dwóch lat kieruje zakładem.

— Pare słów wprowadzenia — mówi — gdyż LZChem „Organika” to nie tylko nasze 3 oddziały macierzyste, ale mamy także jeszcze jeden na ul. Teofilowskiej, gdzie produkujemy wyłącznie płyny hamulcowe. Tu, niemal w centrum miasta, jesteśmy skazani na trwanie w obrębie tych samych murów, natomiast tam, na obrzeżu, będziemy dokonywać rozbudowy przestrzennej i modernizacji. Powstają nowe budynki produkcyjne kosztów 300 milionów złotych. Już rozpoczęto budowę bocznicy kolejowej. Stana tam urządzenia rozlewcze o wydajności do 10 tys. butelek lub pojemników blaszanych. No i rozszerzania nam się kontakty z zagranicą. Dyrektor zagłębia się w papierach. Współpracę z zagranicznymi firmami, to możliwość wyśięcia z polskimi wyrobami na obszar strefy dolarowej. „Organika” te możliwości posiada. Zdobyla ją dzięki wysokim jakościowym wyrobom.

Od dawna na przykład trwa współpraca z francuską firmą „Rhône-Poulenc”, która pozwoliła tu, w „Organice” uruchomić produkcję emalii silikonowych hydrofobizujących dla włókiennictwa. Ostatnio nawiązano współpracę kooperacyjną z belgijską firmą CRC, wypuszczając wspólnie na rynek polski dwa preparaty: „Unizol-Extra” i „Unizol-Elektro” — środki zabezpieczające przed korozją i konserwujące urządzenia elektryczne. Te same preparaty są sprzedawane w Belgii. „Organika” w najbliższym czasie zamierza wyśięć z tymi środkami na rynek strefy dolarowej, gdzie CRC jest dobrze znane.

W trakcie rozmów za sprawą kooperacji z wieloma firmami zagranicznymi. Wspólnie z Anglikami „Organika” zamierza uruchomić środki pomocnicze dla włókiennictwa, importowane ze strefy dolarowej, uzyskując jednocześnie prawo eksportu własnych wyrobów do tejże strefy bez jakiegokolwiek ograniczeń.

Są także prowadzone rozmowy o współpracy z firmami niemieckimi, dotyczące uruchomienia środków pomocniczych dla garbarstwa sporządzanych dotychczas z dewizy i są także rozmowy z firmą francuską oraz innymi.

Z krajami socjalistycznymi, nie ma jak dotąd — takiej współpracy. Co prawda, w niedługim czasie rozpoczną się wstępne rozmowy z firmą jugosłowiańską, na temat środków pomocniczych.

Na czym, biorąc z grubsza będzie polegać kooperacja z tymi wszystkimi firmami? Mówiąc najogólniej, „Organika” zapewni surowce, własne rozwiązania technologiczne i zagwarantuje dobrą jakość wyrobu. Na wszystkich opakowaniach będą dwa znaki firmowe: LZCh „Organika” i kooperanta zagranicznego oraz opis stosowania preparatu — obok języków: angielskiego, niemieckiego, francuskiego — także po polsku.

Dyrektor Jan Wilk powiada, że rynek zachodni rzadzi się innymi orzami niż nasz, nabywca z rezerwy jest przywiązany do jakichś określonych firm, i jeśli nagle spostrzeże, że preparat, którego od lat używał posiada dodatkowy znak firmowy polskiego zakładu, będzie to najlepszą reklamą polskiego przemysłu chemicznego.

Produkcja antyimportowa

Na zakończenie chciałbym parę słów poświęcić produkcji antyimportowej, która stanowi istotną część działalności „Organiki”. Niezależnie się od importu — to cel przyszłościowy.

Jeszcze w roku bieżącym planuje się uruchomić różne preparaty: Oleofil PZF-59 — środek aerozolowy przeciwdziałający zasychaniu farb na walcach drukarskich przeznaczony dla przemysłu poligraficznego, Mosmar 0027-1 — smar molibdenowy pod postacią pasty w aerozolu dla różnych przemysłów, Lodegal R-20 — środek wyrównujący, stosowany w technologii barwienia wełny i jej mieszankę barwnikami reaktywnymi, Hydrofil PZ — środek zmniejszający i przeciwdziałający dla wyrobów z włókien poliestrowych, Torol — przeznaczony do preparacji włókien poliestrowych w wytwórniach tych włókien. Przeliczając te produkcje na złotówki dewizowe, można już dziś powiedzieć że przyniesie to oszczędność rzędu trzech i pół miliona złotych! Dobrze to świadczy o ludziach pracujących w Łódzkich Zakładach Chemicznych „Organika”, którzy potrafia znaleźć w skali przyszłościowego rozwoju przemysłu włókienniczego.

Natomiast w produkcji rynkowej zamierzają się o wiele skromniejsze. Planuje się jeszcze w tym roku uruchomić produkcję preparatu „Astat” służącego do nadawania — wyrobom z włókien syntetycznych — im wypraniu — własności antyelektrostatycznych. Co prawda, preparat o takiej nazwie znajduje się na naszym rynku, lecz jest on, jak dotąd, wytwarzany na bazie importowanego antystatku. Ale laboratorium już pracuje i już niedługo „Astat” będzie produkowany z surowców krajowych.

EUGENIUSZ IWANICKI

CHEMIA — nasz pomocnik



Foto: Archiwum

cvch — Zofia Motyl, Na taśmie pojemniki przygotowane do napełnienia. Pracują aparaty. Teraz pojemniki trzeba poddać wodnej kąpieli: w ten sposób sprawdza się ich szczelność. Następnie jeszcze tylko założyc kapturki i gotowy produkt można zapakować.

— Jestem odpowiedzialna za wszystkie ewentualne braki, jakie mogą powstać na linii technologicznej, tzn. za nie całkowite napełnienie za nie szczelność, za brak główek zaworków, a w końcu za ilość pojemników w jednym kartonie zbiorczym. Jeszcze 5 lat temu zakładaliśmy zaworki i kapturki ręcznie, teraz robi to automat. Pamiętam, jak kobiety zastanawiały się, co też to będzie ten cały automat, czy to coś takiego jak czło-

Stefan Zys, który tu — jak powiada z uśmiechem — „dopiero” 21 lat. Zaczynał od asystenta w laboratorium, potem był mistrzem zmianowym, technologicznym oddziałowym, zastępcą kierownika wydziału, a od 6 lat kierownikiem.

— Chee pan znać moje zdanie? Dobrze, 20 lat temu zakład miał opinię największej smrodziarki w całej dzielnicy, a nazywano go powszechnie klejarka. Ludzie, spotykając nas na ulicy, grozili, pomstowali, kleli. Bo rzeczywiście, kość cuchnęła przekopnie. Dopiero, kiedy wkoło zaczęło powstawać osiedle, klejarkę zlikwidowano. Powstał początkowo oddział sulfonacji WT-1, mający od razu dość duży asortyment. Nie znaliśmy wówczas wentylacji, szatni, sto-

chemia to substancje i związki szkodliwe dla zdrowia.

Kontakty z zagranicą

Po dokładnej penetracji hal produkcyjnych, zapoznaniu się z tym, co schodzi z taśm, rozmowach z ludźmi, w czasie kolejnego mego pobytu w „Organice” miałem okazję rozmawiać z dyrektorem naczelnym mar Janem Wilkiem. Absolwent UL, pracuje tu od 1956 roku. Początkowo był inżynierem laboratorium badawczego, potem technologicznym szefem produkcji głównym technologicznym, zastępcą dy-

MASSKOTE BATAILON (1)

W marcu 1958 roku do biura informacji i poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża wpłynęło podanie Ludwika Słowiańskiego z Prabut, który pisał:

„Zwracam się z prośbą do Zarządu Głównego Czerwonego Krzyża o poszukiwanie syna Słowiańskiego Henryka, urodzonego 14 sierpnia 1935 roku w kolonii Antonówka, gmina Tuczyń, powiat Równe, województwo wołyńskie (ZSRR). W roku 1943 został zabrany przez wojska niemieckie w miejscowości Kostropol.

To podanie, podobnie jak wcześniejsze, składane bezpośrednio po wojnie i ponawiane corocznie, dopóki istniała nadzieja, nie dało rezultatu. Wojna okryła tajemnicą wydarzenia, które rozegrały się w środku okupacyjnej ocy, która tam, na kresach w narodowościowym wrzynie fawulu miała swoje dodatkowe gólgoty. Tylko rodzinna pamięć przetrzymała wspomnienie chłopca, który urodził się zabierając życie matce. W polowej gorączce, kiedy okazano jej chłopca, Zofia Słowiańska porzuciła szkolną koleżankę Antoninę, aby zapobiegła jej Henrykiem, bo takie imię dostał malec. Kiedy młody okrzestował Ludwik Słowiański, zgodnie z przekazaniem żony, poiał Antoninę za żonę i wkrótce z tego nowego związku urodził się pierwszy syn Stanisław, potem córka Danuta. Wybuchła wojna, w domu nie przelewał się więc najstarszy syn Henryk właśnie, powędrował na odpasienie do wujka, który miał gospodarstwo rolne.

1. Pamięć wywołuje z przeszłości wspomnienie razów, jakie dostawał, kiedy opuszczał szkołę, i obolałe plecy od uderzenia łańcuchem. Znowu opuścił łecke i nauczyciele przystali do domu policjantów. Ale tego ciągnęło w świat i ciekawość innych ludzi była silniejsza niż strach przed łańcuchem. Tyle, że oznaczanie nie wykraczało na razie poza obojętne, bo choć był dzieckiem wyczuwał doskonale zagrożenie: żywił polski okrzyk był przez morze nie znającej parodii nienawisli. W dzień w okolicy panowała Niemcy. Noca pionoły polskie osady podpalone przez banderowców, którzy polaczili się z bandami UPA. Pod nożami ukraińskich nacjonalistów ginęły kobiety, dzieci, starcy. Dla mężczyzn mieli kule. Latem, a może było to nawet wczesną wiosną 1943 roku, 8-letni Henryk bawił się z dziećmi sąsiadów w pobliżu wujowskiej zagrody. Było to na pewno wiosną, przypomina sobie chłód, rozpalili ognisko w pobliżu stożka. Od siana zafalała się stodoła, ogień strawił także dom. Oszalały z rozpaczy wui biegł po obelęciu wołać, że tego, kto to zrobił, wrzuci do ognia. Henryk zamierzał ze strachu zapadł zmrok ruszył przed siebie. Do rodzinnego domu nie miał ochoty wracać, bo macocha urodziła już rodzeństwo. Stacha i Danuta i nawet te male dzieci chodzili głodne.

I tak zaczęła się wędrówka, w której zacierali się czas i kierunek, poza dojmującym uczuciem głodu. Spał było gdzie budząc się co chwila z zimna. Wreszcie trafił do ludzi, gdzie pał krowy. Tych ludzi nie pamięta, a krowy ma wciąż przed oczami. Pamięta także Niemców, którzy przyjechali zabierać wszystkich do ciężarowych samochodów. Wokół wszystko się paliło. Jechali stłoczeni wśród szlochu ludzi, którzy spodziewali się najgorszego. W pewnym momencie jakaś kobieta wyrzuciła go z samochodu na piaszczysta drodze wśród la-

su. Zwolna cichł warkot oddalających się motorów. Było zimno. Rozolał się.

Ocknął się w pusteli, całkiem bezludnej wiosce. Mógł wybrać sobie dowolną izbę żeby się przespoczyć. W nocy w pobliżu potawili się Niemcy. Spragnion widoku ludzi, kraciowo bezdomny mimo tyłu chat do zajęcia, wyszedł do żołnierzy. Schwytali go. Pamięta ciemną, wieszczenia piwnice, modlacvch się Żydów. Nie wie, gdzie mogło znajdować się to wieszczenie, a właściwie obóz, jak się przekonał potem. Choć chyba rozpoznalby domy, koszarv, linie kolejowa. Była także rzeczka. Więc może znalazł się w Kostropolu, który był, jak na Wołyń soorvym miastem? Wywołał go na górę, pytali o coś, kazali się obnażyć. Do piwnicy już nie wrócili. Sorzatal pomieszczania biurowe, spał katem pod jakimś stołem, żywił się tym, co dostał od żołnierzy, którzy stacionowali za drutami obozu. Pewnego razu w kloaczyn dole zobaczył trupv Żydówv. Eklpa sanitarna odkażala teren wannem. Żołnierze mieli groźne minv nie pozwalali mu się zbliżyć. Potem w piwnicy pojawiły się nowe kobiety, ale ich nie zapamiętał już tak dobrze, jak tamte, martwe.

Z obozu zabrał go do siebie urzędnik, który mieszkał na mieście. Był to chyba Polak mający syna w klubie piłkarskim. Na pewno w klubie, bo zabierał go czasem ze sobą na stadion. Matka tego piłkarza mówiła do Henryka, że zapomniała się tam, aby nie zmarniał, ale po wojnie na pewno wróci do prawdziwych rodziców. Miała służaca, chyba Żydówkę, z którą chodził do sklepu. Pewnego razu na ulicy wywiązała się strzelanina. W zamieszaniu stracił z oczu służaca, a może zabił ją banderowcy. Uciekał na ośten, znalazł się nagłe sam, znowu bezbronnv. Przygarnęła go do siebie jakaś stara kobieta.

Znowu trzeba wysłać pamięć, a obrazv i tak mieszała się, nie mając logiki poza najważniejszym: że będąc o włos od śmierci, czułać wokół siebie strupieszalv odór, przeżył. Wbrow wszelkiej lożeczki i wbrow pamięci.

Najpierw są pomarszczone dłonie. Te dłonie zawieszają mu na szyi tekturkę z nazwiskiem. Litery ruskie czy łacínskie? Daremnie wysłać pamięć: ciemność. Tylko gdzieś w mroku łarkarka pociagu, który stoi na szynach. Lokomotywa pod parą, gotowa do drożi. Mowa chyba ukraińska. Jakaś pieleśniarka kazała mu nie przyznawać się, że jest Polakiem, ale sprawnie oko policjanta wyluskało go z gromady odjeżdżalacvch dzieci. Wtedy ta sama pieleśniarka dała mu wezelek z odrobina żywności i coś jeszcze, może odzież. W kieszeni wycymać trzy jabłka. Zjadł je idąc wzdłuż torów w stronę miasta. W ciemności zatrzymał go groźny okrzyk:

— Halt!

2. Inny wymiar pamięci: człowieka svtego. Przekracza jakiś zasiek, oyle

blużej światła z pociagu, bliżej ciepła. Okrzyk „Halt!” dzwoni mu w uszach, widzi sylwetki żołnierzy w szynelach i szerokie helmv. Szczeka żelazo.

— Co chcesz zrobić? Przecież to dziecko!

Polskie słowa. Na ich dźwięk zatrzymał się. Żołnierz miał niemiecki mundur, ale mówił po polsku.

Historia „Schutzmannschaft Bataillon 202” czeka na swego kronikarza. Był to najdziwniejszy oddział Wehrmachtu, taki kiedykolwiek stał w obronie „nowego ładu” w Europie. Dowódcami byli Niemcy, a podkomendnymi ludzie różnych narodowości przede wszystkim jednak Polacy, którzy trafili do ochotniczego oddziału skierowanv przez antyhitlerowskie podziemie. Chciano ocalić przed banderowskim pogromem reżimki Polaków, którzy unilknił noża lub topora. Ukraińska Powstańcza Armia tonia równie zaciekle bolszewickich partyzantów jak i swoikoinvch mieszkańców z polskich wiosek a nawet miast. W oszromach Polacy gnieli tviaciami, bo ich zagłada miała stanowić zrebv nacjonalistyczno-faszystowskiego państwa „niezawisłej Ukrainy”. Polityczk z Niemcami oddziałv UPA unikaly widzacv w nich swego naturalnego sojusznika.



Foto: Archiwum

Inaczej było z „Bataillonem 202”, o którym ukraińscy nacjonalisti wiedzieli, że skierowanv został do ochrony ludności polskiej. Maly Henryk Słowiański nie trafił więc do oddziału, który z daleka od linii frontu żyłv bezpiecznym opozu. Trzecia kompania skierowanv została do Janowicy Doliny, gdzie często stacęła musiała potvyczki z banderowcami, którzy przestali uważać „Schutzmannschaft Bataillon 202” za oddział niemiecki. Chłopcem zapiekował się feldfelbel Johann Steinke, który, choć Niemiec, mówił po polsku, aby być rozumianym przez żołnierzy. Na początku jest jazda pociagiem.

Długa podróz. Często skład stol gdzieś na bocznicv. Żołnierze bieżna w poszukiwaniu świeżej wody, która przynosza w macierkach. Pociag znowu rusza. Jedzie bardzo długo. Chłonce przysvpla i budzi się gwałtownie. Jeszcze nie jest zdecydowane co z nim będzie. Feldfelbel w zmvowie z Polakiem ukrywa chłonce przed kapitanem.

Henryk budzi się. Drzwv wagonów szeroko otwarte. Pociag gdzieś stoi. Biel. Śnieg? A może wv z tonoli? Przv pociagu długi rząd oddvów Koniene spasiove, wojskowe. Bataillon przenośi się do koszar.

Wreszcie Steinke uzyskał zgodę dowódcztva. Henryk już legalnie paraduie po koszarowym placu, zrazv w cywilnych lachmanach, a potem w paradnym, sztyvm na miare mundurku. Zachowało się zdjęcie. Przedstawił chłopca o przedwczesnie poważnej twarzy ubranego w szveln pruskiego policjanta z oficerskimi dystynkciami. Na głowie chłopca policyvine czako z tym uniformem zwiazany był urzędowy tytuł, Masskote Bataillon. Te dziwne słowa uslyszalv podczas apelv. Dowiedziął się także, że oddat każdy żołnierz ma go traktować jak syna.

Nie jest naszym zadaniem ukazywanie dziełv „Schutzmannschaft

rodziny żołnierzy stanowily „zastaw” na wyodek dezercji. Dezercje zresztv takie były a sad polowv w Krakowie niedługo wysłał przed pluton egzekucyvny.”

Jak wvlnka z listów nadesłanych do TV pod adresem audycv „Świadkowie” żołnierzami batalionu byli także ochotnicy, delegowanv przez polskie podziemie Snoro tajemnie tej niezwyklej jednostki potrafily wyjasnić pan Tadeusz Pitach czy Józef Plišński, który podkreśla, że opiekun Henryka Słowiańskiego feldfelbel Johann Steinke uratował przed niechvbna śmierciã felczera Stefana Potrzebnego osadzzonego o dywersji. Dywersji w batalionie nie było, była raczej proowska propaganda dowódcztva hitlerowskie obawialv się wysiężv „Schutzmannschaft Bataillon 202” na front wschodni. Kiedy Rosjanie zbliżyli się do Wołvnia oddziałv przerzuconv został na wyroczynek do Alzacv. Steinke traktował Henryka jak syna: Masskote Bataillon svował v jego okoku. Malec nauczył się wojskowego drvlv, składał v kostke swój mundurv kładac się do snu zrywał się v jednej sekundzie jak dorosły na dźwięk dzwonka ogłaszalacvgo alarm.

Choćvż batalion wycvfanv został v walkv tonialv niepokoiaco, ubywało żołnierzy, którzy przyskali do Polski nieradko zabiegać v soba broń. Niektórzy z nich trafili potem do Powstania Warszawskiego ale o tym Henryk nie wiedział, choć rozumiał, że dzieje się coś dziwnego. Wojna przvbliżala się do Bischwiller młowymv krokami. Steinke obawialv się więc, że przvdiel chłopca znowu zabrav na front.

Wreszcie znalazło się wyjście. W pobliżu koszar, gdzie stacionował batalion mieszkała Amanda Stasiorka, rodem z Sosnowca. Jak trafiła v region Hagenu do Bischwiller, nie wiadomo, może jednak za sorawa męża. Kiedy Henryk trafił do jej domu miała już dwie dorosłe córki, Wandę i Ele. Oddziałv stacionował wciav jeszcze v Bischwiller i Słowiański a właściwie Henryk Słowiański, bo Alzacvczv natvchmiast zniekształcił jego nazwisko, widvwał się ze swoim opiekunem. Steinke starał się o wyrobienie chłopcu jakichś dokumentów. W akcie przekazania Henryka Amandzie Stasiorce, sporządzonev 16.IV.1944 r., którym ta blisko 50-letnia kobieta ustanowiona została opiekunka chłopca, nazwanv go „znajdą”. Nazwisko Słowiański uległo zniekształceniu na Słowiański. Później zniekształcono je jeszcze bardziej i dziś brzmi ono oficjalnie: Swotwiński.

Alto, co wvrabiano z tego nazwiskiem, to załedwie ułamek tego, co v mialo czekać wśród obcyvch, bo Henryk miotany przez los, czułać się Polakiem. Myślał po polsku, i było mu mimo wszystko tak ciężko, że po prostu nie mógł zapamiętać, iż jest Polakiem. Ale Alzacvczv nazwalv go unarcie sale Boche — „brudny szkop”. Później, edv zrozumiełi swojav nvmike, nazwalv go nie mniej pogardliwie: sale Polaco. I to „Polaczvsko” wbiło mu się v pamięć, która teraz nauczyla się zatrzymvwać przeżvca, przechovywać je i wartościować.

Może dlatego, v momencie gdy skończyła się wojna Henryk Słowiański v Alzacv, podobnie jak jego oćiec Ludwik v Polsce, wyszwałv poszukiwania najbliższych. Ale zarówno Polski Czerwony Krzyż jak francuska Service International de Recherches nie potrafily wvwiązac się wtedy z zadania. Zresztv ludzie rozdzielonych przez wojne były miliony i nikt nie przełmował się losem malego chłopca, który ve francuskim domu Amandy Stasiorki marzył o powrocie do Polski. Od tamtej chwili musialo miłać jeszcze ponad 30 lat, v czasie których Henryk Słowiański ani razu nie zaparł się swojej polskości.

c.d.n.

MICHAŁ POGODIN I POLSKA

Eugenia Kucharska jest autorka trzech księzek — przynajmniej tyle ich wpadło mi v rękę — oraz wcale sporej serii rozpraw i artykułów, poświęconych problematyce polsko-rosyjskich stosunków kulturalnych i literackich v pierwszej połowie XIX stulecia. Prace te odznaczają się bogactwem wykorzystanego przez autorkę materiału; wprowadziła ona do naukowego obiegu wiele nie znanych dotychczas naszym badaczom źródeł, głównie odnalezionych v bibliotekach i archiwach Związku Radzieckiego. Tak jest też z jej ostatnią pracą, mianowicie z wydaną przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1978) jako kolejny tom publikacji Wyższej Szkoły Pedagogicznej v Opolu książka, zatytułowanv: „Michał Pogodina zainteresowania polskie”.

reprezentujący kierunek słowianofilski, wieloletni profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, był bowiem człowiekiem, który utrzymywał liczne i bliskie stosunki z wieloma Polakami, żywo interesował się sprawami polskimi, czemu niejednokrotnie też dawał wyraz v swoich tekstach i wypowiedziach. Również i tym razem studium E. Kucharskiej oparte zostało o interesującą, nie znaną dotychczas nauce polskiej podstawę źródłową: prócz źródeł drukowanvch, z których zasadniczy zrab stanowił twórczość Pogodina, autorka wykorzystala wiele interesujących materiałów rękopiśmiennych, pochodzących głównie z Oddziału Rękopisów Moskiewskiej Biblioteki im. Lenina oraz Centralnego Archiwum Literatvri i Sztvki v Moskvie. Blisko połowę księżki zajęła edycja fragmentów korespondencji M. Pogodina, v której znalazły się listy tak interesujących osób, jak Wacław Aleksander Maciejowski, Adrian Krzyżanowski, Samuel Bogumił Linde i innych. Nowych informacji źródłowych E. Kucharska wprowadziła znowu bardzo wiele, co jest tym cenniejsze, im ważniejsze są sprawy, których one dotyczą. „Studia porównawcze nad wzajemnymi powiazaniami polsko-rosyjskimi v okresie po powstaniu listopadowym — powiada autorka — posiadają bogatą i niezwykle ważną dla wyjasnienia całokształtu przyczyn i uwarunkowań wzmiany kulturalnej między sąsiednimi narodami literaturę. Jednak nie wszystkie ogniva tych kontaktów zostały przebadane i wyśvietlone”. Z pewnością będziemy nieraz wracać do księżki E. Kucharskiej o M. Pogodinie, gdzie przyjdzie nam zajmować się tą problematyką.

Mimo wszystkich svych ewidentnych zalet, księżka ta budzi jednak i pewne zastrzeżenia. Autorka będąc specjalistką v zakresie historii literatury rosyjskiej, doskonale daje sobie radę z materiałem historyczno-literackim. Kiedy jednak pisze książkę o historyku — a takim był M. Pogodina — powinna v każdym razie rozszerzyć swój badawczy horyzont poza literaturę i wejść v dziedzinę, zwaną historią historiografii. W przypadku polskich zainteresowań i kon-

taktów M. Pogodina takie rozszerzenie horyzontu badacza było konieczne, niestety jednak nie zostało v pełni osiągnięte. I pewnie dlatego pisząc np. o kontaktach swego bohatera z wielkim polskim historykiem — demokratą Joachimem Lelewalem i dorzucając przy tej okazji garść ciekawych informacji, E. Kucharska nie zagiądnęła v ogóle do tego, co o M. Pogodinie pisał Lelelew i co o stosunkach obu uczonych pisali dotąd historycy. Gdyby autorka rozszerzyła swe zainteresowania na historię historiografii, wówczas nie snulaby domysłów, czy emigranci polscy na Zachodzie znali dzieło W. A. Maciejowskiego z polskiego oryginału, czy z przekładu, bo wiedzialaby o tym, jak żywo się nim interesowano na wychodźstwie i jak wiele pisano o Maciejowskim v prasie Wielkiej Emigracji, przedrukowując nieraz obszernie fragmenty z jego prac. Gdyby wreszcie autorka była odrobinę bardziej historykiem niż jest, nie sugerowałaby czytelnikom niektórych svych interpretacji, a przede wszystkim uniknęłaby sporej ilości błędów v odczytaniu publikowanvch listów. Nie chodzi mi rzecz jasna o niepoprawnie podane nazwisko Guizota, bo może to być sprawa korekty, ale o zabawne pomyłki v nazwach łaciń-

skich v liście, v którym W. A. Maciejowski pisze o „leges barbarorum”, o niezrozumienie słowa „majorat” v innym liście polskiego badacza i inne drobne potknięcia, których v tej cennej księżce z pewnością być nie powinno.

Nie chciałbym, aby ktokolwiek sądził, że odmiawiam tej pracy wartość. Nie podobnego: podkreślam raz jeszcze, że jest to interesująca, wartościowa rozprava, poświęcona ważnemu zagadnieniu, rzucająca na kontakty i zainteresowania polskie M. Pogodina wiele nowego światła. Uppominam się tylko o jedno: jeżeli wkracza się v sąsiednią dyscyplinę naukową, należy zapoznać się z jej dorobkiem. Rusycystyczna perspektywa v przypadku pisania o wybitnym historyku okazała się zbyt wąską, by można było zintegrować v monografii to, co się ma samemu do powiedzenia, z tym wszystkim, co już powiedzieli inni. Myślę, że v przyszłych svych pracach autorka z pewnością uniknie potknięć, wynikających ze zbyt wąskiego ukierunkowania swego naukowego warsztatu.

ANDRZEJ F. GRABSKI

KSIĄŻKI

Partie komunistyczne i robotnicze świata

ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY

„Partie komunistyczne i robotnicze świata — zarys encyklopedyczny” — czytamy w słowie od wydawcy, którym jest „Książka i Wiedza” — „jest w literaturze politycznej Polski Ludowej pierwszą publikacją w całości poświęconą partiom komunistycznym i robotniczym w poszczególnych krajach”.

Praca nad przygotowaniem tej publikacji trwała 5 lat. Publikację te przygotowywał zespół redakcyjny stanowiący: Henryk Sobieski, Bogumił Sulka, Sylwester Szafarz, Maria Zwołakowa. Wstęp napisał Ryszard Frelek.

Książka składa się z trzech części. Część pierwsza poświę-

cona jest partiom komunistycznym i robotniczym w krajach socjalistycznych. Poszczególne partie prezentowane są według podziału geograficznego i w porządku alfabetycznym krajów w których działają. I tak prezentacje europejskich partii komunistycznych i robotniczych otwiera Albańska Partia Pracy.

W 1946 roku Edmund Osmańczyk napisał i wydał książkę, którą zatytułował „SPRAWY POLAKÓW”. Była to książka — jak sam pisał — która budziła u wielu Polaków sprzeciw, gniew, irytację, ale właśnie dlatego zmuszała do myślenia nad historią naszego narodu i naszych sąsiadów — nad przyszłością narodu polskiego i jego sąsiadów — nad „złotymi latami” — To było przed 32 laty. Wtedy Edmund Osmańczyk miał lat 33.

Mińło 30 lat od tamtego czasu i w 1976 roku tenże sam Edmund Osmańczyk, mając już 63 lata doszedł do wniosku, że warto byłoby „skonfrontować moje widzenie spraw Polaków sprzed 30 laty z dzisiejszą Polską, Eu-

RZECZPOSPOLITA POLAKÓW

ropą i światem oraz dzisiejszymi sprawami Polaków”. I tak właśnie narodziła się inna książka: „Rzeczpospolita Polaków”. „Założyłem — pisze o niej autor — że będzie to bardzo dokładna analiza, składająca się tylko do myślenia, lecz nie do irytacji czy gniewu”. Ale w czasie pisania Edmund Osmańczyk doszedł do wniosku, że to „założenie jest słuszne, ale niewykonalne”. Beznamiętna analiza tego, co Po-

Później prezentowane są partie azjatyckie a następnie Ameryki Łacińskiej — Kuba

Część druga obejmuje partie komunistyczne i robotnicze rozwiniętych krajów kapitalistycznych. I tu również zrępowane są one według podziału geograficznego. A więc: Europa zachodnia, Ameryka Północna, Azja (Japonia), Australia i Nowa Zelandia. Część trzecia obejmuje partie komunistyczne i robotnicze krajów rozwijających się w Afryce, Bliskim Wschodzie, Azji i Ameryki Łacińskiej. Książka zamyka rozdział poświęcony „Problemom pokoju i socjalizmu” — niemu partii komunistycznych i robotniczych.

Prace nad „Zarysem encyklopedycznym” poświęconym partiom komunistycznym i robotniczym zakończono w 1977 roku a ukazała się ona w 1978 roku, stąd też wszystkie dane dotyczące liczebności poszczególnych partii, składów ich władz i ich dzieł obiegają rok 1976. Książka daje obszerny obraz historii partii komunistycznych i robotniczych na świecie.

„Partie komunistyczne i robotnicze świata. Zarys encyklopedyczny”. Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 876, cena zł 170.—

lacy przeżyli w swojej najnowszej historii jest jeszcze niemożliwa. Mimo że tak bardzo jesteśmy związani z dniem dzisiejszym Polski i tak bardzo zaangażowani w tworzenie przyszłości naszego kraju, tkwimy całkowicie w przeszłości, jest ona niepodzielna częścią naszej teraźniejszości i przyszłości. I o tych sprawach traktuje książka Edmunda Osmańczyka „Rzeczpospolita Polaków”.

Edmund Osmańczyk — „Rzeczpospolita Polaków”. PIW, Warszawa 1977, wydanie drugie, str. 282, cena zł 30.—

POLSKA PARTIA SOCJALISTYCZNA 1918-1921

Polska Partia Socjalistyczna powstała w 1892 roku i działała do 1948 roku, kiedy to połączyła się z PPR, tworząc PZPR. Jej bujnia i żywiołowa historia była już wielokrotnie opisywana i nadal jest przedmiotem zainteresowania historyków. Kazimierz Wiech za przedmiot swoich zainteresowań wziął pierwsze lata niepodległości, a więc okres od 1918 roku do XVIII Kongresu PPS, który odbył się w Łodzi w lipcu 1921 roku.

Był to dla PPS okres szczególnie trudny, gdyż tworzyło się państwo polskie, rozporządzało się proces integracji ziem spod trzech zaborów, trzeba było kształtować politykę partii wobec wielu zupełnie nowych i nieraz bardzo trudnych spraw

PPS weszła w ten okres zintegrowana, jednocząc w swych szeregach partie działające w różnych zaborach i regionach. Autor opisuje — na podstawie swoich badań — proces kształtowania się polityki w połowie roku 1919, następuje stosunek PPS do spraw wojny z Rosją Radziecką, do spraw pokoju, granic państwa polskiego oraz polityki partii w wielu sprawach wewnętrznych młodego państwa. Omawia też niektóre problemy życia wewnątrzpartijnego PPS oraz zakres wpływów tej partii w społeczeństwie.

Zamykać się w określonym czasie, ale szczególnie dla partii i dla młodego państwa polskiego, mógł Kazimierz Wiech dłużej zatrzymać się na wielu sprawach, dokładnie je zbadać i zaprezentować czytelnikowi.

Kazimierz Wiech — Polska Partia Socjalistyczna 1918—1921. Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 458, cena zł 100.—

Wybrane problemy socjalistycznej rodziny

Nowoczesne społeczeństwa — wbrew niektórym przypuszczeniom i wątpliwej wartości teorii — wiele uwagi przywiązują do prawidłowego rozwoju rodziny, patrząc w tym prawidłowym rozwoju społeczeństwa, rozwoju narodu i w szczególności nacisk kładzie na sprawne funkcjonowanie rodziny, otaczając ją niezbędną opieką. Nie więc dziwnie, że również naukowcy, teoretycy, a także działacze, zajmujący się prawidłowościami rozwoju socjalistycznego społeczeństwa wiele uwagi poświęcają sprawom rodziny.

Książka i Wiedza wydała właśnie pracę zbiorową, pod redakcją Jerzego Piotrowskiego, poświęconą temu zagadnieniu. Praca ta nosi tytuł: „WYBRANE PROBLEMY SOCJALISTYCZNEJ RODZINY”. Składa się ona z 7 rozdziałów. Każdy poświęcony jest innemu zagadnie-

MINIATURY

Na zamieszczonym obok zdjęciu prezentujemy trzy miniaturowe wydania bibliofilskie. Prezentujemy je na fragmencie „Głosu Robotniczego”, aby uczynić Czytelnikom wielkość tych książeczek.

Są to:
Karola Marksa i Fryderyka Engelsa „Manifest Komunistyczny”, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe,
„Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, Książka i Wiedza,
„Międzynarodówka”, Książka i Wiedza.

Wszystkie te książeczki wydane są niezwykle starannie, na dobrym papierze, oprawione w skórę. Są to bibliofilskie rarytasy, a zawierają one teksty, które posiadają wartość zarówno aktualną, jak i historyczną. Te książeczki mogą i powinny zainteresować nie tylko zbieraczy, nie tylko bibliofilów, ale powinny znaleźć się w każdym domu.



Foto: W. Parys

100 lat polskiego ruchu robotniczego kronika wydarzeń

Książka nosząca tytuł „100 lat polskiego ruchu robotniczego” jest kroniką wydarzeń. Pierwsza notatka brzmi:

„1832, 17 III — W Pa-ryżu powstało Towarzystwo Demokratyczne Polskie (TDP)...”

Później idą wydarzenia z lat 1835 — powstanie w Anglii organizacji „Lud Polski” — 1844 — przygotowania na Kielecczyźnie i w Lubelskiem do powstania, 1846 — Walka w Rzeczypospolitej Krakowskiej czyli rewolucja krakowska, 1848 — ukazanie się „Manifestu Komunistycznego” i tak dalej i tak dalej, aż do wydarzeń z 1975 roku, które zakończyły się otwarciem VII Zjazdu PZPR i wyborem na I Plenum siódmej kadencji Biura Politycznego KC.

Kronika ta jest podzielona na cztery okresy. Pierwszy obejmuje od „prehistorii ruchu robotniczego” do listopada 1918 roku. Drugi okres obejmuje lata: od listopada 1918 do września 1939 roku, trzeci — od września 1939 do maja 1945 roku, a czwarty — od maja 1945 do grudnia 1975 roku, czyli okres Polski Ludowej.

Autorzy tej kroniki wycażają: Aleksander Kochański, Tadeusz Rawski i Zbigniew Szczygielski na 424 stronach potrafił zgromadzić wielką ilość faktów istotnych dla historii polskiego ruchu robotniczego. Jest to książka, która powinna służyć nie tylko nauczycielom, młodzieży szkolnej, studentom, ale również działaczom partyjnym, członkom partii odbywającym szkolenie, poznającym dzieje swojej partii. Jest to wydawnictwo we wszechmiar pożyteczne i potrzebne. I nie ulega wątpliwości, że nakład 40 tys. okaze się niewystarczający.

„100 lat polskiego ruchu robotniczego, kronika wydarzeń”. Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 424, cena zł 60.—

Ideologia i polityka współczesnej socjaldemokracji

Nie sposób jest zrozumieć współczesny świat, historię międzynarodowego ruchu robotniczego, historię wielu krajów europejskich, jeśli nie zrozumie się istoty tego zjawiska, jakim była i jest socjaldemokracja. W okresie kształtowania się ruchu robotniczego w wielu krajach partie przyjmowały nazwę socjaldemokratycznych. I tak na przykład w historii polskiego ruchu robotniczego mamy Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. W 1869 roku powstała jako pierwsza Socjaldemokratyczna Partia Robotników w Niemczech.

Pod koniec XIX wieku i na początku XX marksizm był modny, popularny i atrakcyjny jako ruch intelektualny i przyjmowały go nie tylko środowiska proletariackie w różnych

krajach, którym ukazywał on ich położenie i drogę rewolucyjnej jego zmiany, ale też przyjmowały go chętnie środowiska inteligentne, drobno-mieszczańskie, a także burżuazyjni naukowcy. Tak więc marksizm obok rewolucyjnej teorii klasy robotniczej stał się też podstawą dla rewizjonistycznych spekulacji oraz reformistycznych programów partii, które obecnie dla odróżnienia od komunistycznych i robotniczych nazywa się socjaldemokratycznymi.

Genezę socjaldemokracji, jej współczesne oblicze, jej bazę społeczną, doktrynę i politykę prezentuje polskiemu czytelnikowi książka Janusza W. Golebiowskiego pt. „Ideologia i polityka współczesnej socjaldemokracji”. Zawiera ona bogaty materiał dotyczący teraźniejszości socjaldemokracji na świecie, orientuje w polityce partii socjaldemokratycznych i w tendencjach rozwojowych tych partii.

Janusz W. Golebiowski — „Ideologia i polityka współczesnej socjaldemokracji”. Wiedza Powszechna, Warszawa 1978, str. 401, cena zł 30.—

Od 20 do 30 listopada trwała w całym kraju dekada książki społeczno-politycznej „CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA”. Odbyło się wiele spotkań z niszczącymi politykami, dziennikarzami, działaczami społecznymi, ludźmi nauki. Klub „Człowiek — Świat — Polityka” zaofiarował swoim członkom nowe atrakcyjne pozycje. Dobięła więc końca dwunasta już dekada książki społeczno-politycznej.

Od kilku lat łódzka księgarnia „WSPÓLCZESNA” — mieszcząca się przy al. T. Kościuszki 106/116 — na zakończenie dekady organizuje TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ. W tym roku będzie to niekiedy przedłużenie dekady książki społeczno-politycznej, gdyż i Tydzień Książki Poszukiwanej we „Współczesnej” odbywać się będzie pod hasłem popularyzacji książki społeczno-politycznej, choć wśród propozycji — jakże na ten czas przygotowała księgarnia — znajduje się i książki o innej tematyce.

Co między innymi proponuje „Współczesna”?
Wśród wielu różnych propozycji jest też książka Ryszarda Frelka i Włodzimierza T. Kowalskiego „Przed burzą 1939”. Jest to scenariusz dokumentalnego widowiska telewizyjnego. Widowisko to wzbudziło wielkie zainteresowanie wśród widzów, a także otrzymało nagrody. I tak za widowisko „Przed burzą 1939” autorzy otrzymali „Złoty Ekran” — nagrodę tygodnika „Ekran”. Na II Festiwalu Polskich Filmów i Widowisk Telewizyjnych „Olsztyn 78” autorzy tego widowiska otrzymali nagrodę specjalną. Scenariusz popularnych widowisk cieszą się dużą popularnością. Tak było na przykład z „Polskimi drogami”. Tak teraz będzie niewątpliwie z książką Aleksandra Minkowskiego pod tytułem „Układ krajeńca”, która ukazuje się tuż po wejściu na ekrany telewizorów nowego polskiego serialu według scenariusza właśnie Aleksandra Minkowskiego — „Układ krajeńca”. Również i „Przed

burzą 1939” powinno spotkać się z takim przyjęciem, jako że tematyka drugiej wojny światowej nadal cieszy się wielką popularnością.

Wśród innych pozycji warto też zwrócić uwagę na „Wspomnienia więźniów Pawiaka”. Pawiak — najpierw więzienie kryminalne, a później śledcze więzienie polityczne — powstał dawno. Budowę tego rozpoczęto w 1829 roku, a ukończono w 1835 Służyło ono władzom carskim, później Polsce burżuazyjnej, a w czasie

ZAWSZE POSZUKIWANE

okupacji — było tragicznym ogniwem w systemie hitlerowskiego terroru. Niemcy zniszczyli archiwum Pawiaka. Stąd dla ustalenia smutnych dzieł tej hitlerowskiej kazi szczególne znaczenie ma wszelkie wspomnienia i inne relacje więźniów Pawiaka. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała w 1978 roku „Wspomnienia więźniów Pawiaka”. Wspomnienia te zgrupowano na 436 stronach, zaopatrzone notkami biograficznymi autorów oraz indeksem nazwisk osób występujących w książce. Cena egzemplarza — 100 złotych.

- Poza tym „WSPÓLCZESNA” oferuje:
— „Dzieje Polski” pod redakcją Jerzego Topolskiego,
— „Historie Polski” w czterech tomach,
— Władysława Tatarkiewicza „Historie filozofii”,
— Krzysztofa Michalskiego „Heidegger i filozofia współczesna”,
— Jacquesa de Launay’a „Wielkie spory współczesności”,
— Ewy Lorenz „Odkrywcy i rabusie starożytności”,
— Jana Jellinka „Atlas prehistorii człowieka”,
— Melchiora Wańkiewicza „Szkice spod Monte Cassino”,
— Leszka Gondka „Wywiad polski w Trzeciej Rzeszy 1933—1939”,
— Pawła Batowa „W marszu i boju”,
— Władysława Kozaczuka „Wehrmacht”,
— Stanisława Lewickiego „Szpiezy kajdera i Hitlera”,
— Romana Kilarskiego „Organizacja wywiadowcza Reinharda Gehlena”,
— Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza „Tiergarten”,
— Zenona Borkowskiego „Hurtownicy zbrodni”.

„Współczesna” zaprasza też na spotkania z autorami:
— 4 grudnia 1978 roku o godzinie 15 książki swoje będzie poddywiał autor „Barbary Radziwiłłówny” Zbigniew Kuchowicz,
— 6 grudnia 1978 roku o godzinie 15 książki swoje będzie poddywiał Stanisław Strumpha-Wojtkiewicz.
„Odgłosy”, które patrolują tygodniowo książki poszukiwanej we „Współczesnej” serdecznie zapraszają do księgarni, zapewniając, że każdy miłośnik książki znajdzie coś dla siebie.

Opł. L. W.

jaka niepodległość?

chcieli oni objąć granicami państwowymi jak największy obszar ziem na wschodzie. Postulowali powrót do Polski ziem na zachodzie, które historycznie były polskie.

Powstało jednak państwo wielonarodowe, w którym ludność polska stanowiła około 70 procent. Resztę stanowili Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Żydzi, Niemcy oraz niewielka grupa Czechów.

W. MICHOWICZ: — Społeczeństwo Śląska, Pomorza i Poznańskiego czynem zbrojnym zmusiło państwa zachodnie obradujące w Paryżu do zrewidowania pierwotnych koncepcji zachodniej granicy Polski.

Natomiast paradoksem był fakt, że dwie świeżo powołane do życia republiki stanęły do walki o granicę. A stało się tak dlatego, że rząd polski nie podjął pokojowych prób uregulowania tej sprawy, z jakimi wystąpił rząd radziecki. W rządzie polskim liczone się z tymczasowością władzy radzieckiej, spodziewano się, że ulegnie ona kontrrewolucji.

A. BARSZCZEWSKA: — Konferencja Paryska uchyliła się od rozpatrywania wschodnich granic Polski. Był to unik jednoznaczny. Nie chcieli przyrzeczenia rządowi burżuazyjnemu w Rosji zamykać możliwości uregulowania granic z Polską w taki sposób, w jaki to będzie jemu odpowiadało.

W. MICHOWICZ: — W Polsce wprawdzie po władzę sięgnęli ludzie związani z lewicą, ale ich program nie był rewolucyjny. Ich zdaniem konflikty społeczne należało rozwiązywać stopniowo, poprzez reformy, wykorzystując wszelkie możliwe legalne formy.

A. F. GRABSKI: — Była to burżuazyjno-demokratyczna formula państwa parlamentarnego, która obowiązywała do 1926 roku.

A. BARSZCZEWSKA: — Ale też realizując ten model państwa burżuazyjnego, władza stanęła przed znacznie trudniejszymi problemami niż gdziekolwiek indziej. Trzeba było doprowadzić do unifikacji wielu dziedzin życia, trzeba było w dość szybkim tempie zniwelować pozostawione przez przeszłość wielokierunkowe rozbiory Polski. Ziemie polskie scalone teraz w jednym państwie nie były na przykład powiązane jednolitym systemem komunikacyjnym. Należało więc wszystkimi możliwymi sposobami umacniać proces integracji politycznej, społecznej i gospodarczej. A działać się to przy narastających konfliktach klasowych i narodowościowych. Trzeba więc zapytać, czy system demokracji parlamentarnej, jaki usiłowano zbudować w Polsce, był w stanie rozwiązać te wszystkie konflikty i czy sprzyjał integracji, czy ją utrudniał?

A. F. GRABSKI: — Był on rozszarwany od wewnątrz. Z jednej strony był silny nacisk lewicy politycznej, a z drugiej — ugrupowań endekkich. Narodowa Demokracja była przeciwstawnym kandydatem do władzy. Na lewicy był ruch robotniczy i coraz silniej dążył do siebie zgrupowania ludowego.

W. MICHOWICZ: — Mówiło się często u nas o kryzysie parlamentarizmu. Współczesne badania historyków wykazują, że polski parlamentarizm funkcjonował nie gorzej niż na przykład francuski, który był dla burżuazyjnej Polski wzorem.

Nie mieliśmy przecież parlamentarnych tradycji, bo i skąd je mieliśmy mieć po przeszło 100 latach zaborów. Poza tym była w Polsce niebywale różnicowana mozaika polityczna. W Sejmie były na przykład reprezentowane nie tylko stronnictwa i ugrupowania polityczne wraz z reprezentacją komunistów, którzy ostro walczyli o sprawy społeczne, narodowościowe i gospodarcze, ale była też liczna reprezentacja organizacji niemieckich, białoruskich, ukraińskich czy żydowskich.

Polski parlament targany był wewnętrznymi sprzecznościami, ale dał kilka trwałych osiągnięć. Miał on do spełnienia cztery zadania: pierwsze — rozwiązanie problemów społecznych i odbudowanie państwa polskiego pod względem gospodarczym, drugie — rozwiązanie problemu narodowościowego, czyli znalezienie odpowiedź na pytanie, jak w państwie polskim dokonać integracji żyjących tu różnych narodowości, trzecie — określenie kierunków polityki zagranicznej i czwarte — stworzenie armii, która byłaby w stanie bronić całości i bezpieczeństwa Polski.

Nie wszystko dało się rozwiązać w jednakowym stopniu, ale przecież polski parlament wprowadził ograniczoną wprawdzie, ale reformę rolną, dał ustawodawstwo pracy. Stworzył system administracji państwowej oraz dokonano reformy systemu pieniężnego.

A. BARSZCZEWSKA: — Tylko, że ta częściowa reforma rolna niczego nie rozwiązała. Pokazała dopiero ogrom problemu. Jedną trzecią wazystkiej ziemi pozostała nadal w rękach wielkich posiadaczy ziemskich. Ponad milion chłopów posiadało mniej niż dwa hektary ziemi. Rosła rezerwa armii pracy. Byli to ludzie, którzy już wyszli ze wsi, a jeszcze nie wchłonął ich przemysł. Była to również rezerwa dla stronnictw politycznych. Nie obejmował ich już ruch ludowy, ale jeszcze nie był w sferze oddziaływania robotniczej lewicy rewolucyjnej. Stanowili potencjalną siłę społeczną, którą mogły wykorzystać różne ugrupowania polityczne.

A. F. GRABSKI: — Właśnie. Nie przypadkiem w tym czasie II Zjazd Komunistycznej Partii Robotniczej

Polski dokonuje bardzo istotnych przewartościowań. Niepodległość stała się faktem. KPRP dokonała więc przewartościowania swego podejścia do tej kwestii i stanęła na stanowisku, że rewolucja proletariacka prowadzi do utworzenia państwa socjalistycznego. Uznano konieczność skupiania wokół klasy robotniczej nie tylko chłopstwa, ale też inteligencji i drobnomieszczanstwa. Wysuwając hasło: „ziemia dla chłopów” KPRP domagała się pełnej reformy rolnej, podziału ziemi między małorolnych i bezrolnych. W sprawach narodowościowych wypowiedziano walkę z uciskiem Ukraińców i Białorusinów. Była to nowa strategia partii, oparta na leninowskich zasadach.

Sytuacja polityczna Polski nie pozostawała bez zmian. W maju 1926 roku dokonał się przewrót, który był dla całego społeczeństwa wstrząsem. Z jego skutków nie wszyscy zdawali sobie sprawę. Był ten zamach czymś bardzo dziwnym, zastanawiającym i nie dlatego, że grupa ludzi poparła ambicje jednego polityka, bo to się w tym czasie w różnych krajach zdarzało. Dla mnie jest rzeczą zastanawiającą i nawet powiedzielną przerażającą, że w maju 1926 roku każda z partii popełniła swój „błąd majowy”.

Zmusza to do zastanowienia się nad kulturą polityczną tamtego czasu. Do postawienia pytania, czy słabość systemu parlamentarnego, wynikająca z braku tradycji parlamentarnych, z braku doświadczenia, nie zaważyła na okolicznościach tego groteskowego zamachu, który odegrał w dziejach Polski nieomal rolę?

S. BANASIAK: — Nie zapominajmy, że wszystko, co dzieje się w Polsce w okresie międzywojennym, dzieje się za międzą państwa należącego już do innej formacji społeczno-politycznej. Nie pozostaje to bez wpływu na postawę ugrupowań lewicowych, jak i ugrupowań kontrrewolucyjnych. Zaostrza konflikty klasowe i polityczne.

Poza tym w Polsce bardzo silnie gruntowana była tradycja Konstytucji 3 Maja, tradycja ratowania Polski szlacheckiej. Ale na początku XX wieku mógł to już być tylko sentyment, bez żadnego praktycznego znaczenia. Upadły też państwa zaborcze, których ustroje mogłyby być w jakimś stopniu wzorcami dla rozwijającego się parlamentarizmu.

Pozostały więc dla Polski dwie orientacje: francuska i angielska. Angielska była jednak nie do przyjęcia, więc wybrano francuską. Tylko, że Francja, której ustrój nawiązywał do bardzo postępowych tradycji, nie wytworzyła silnych rządów i tam również trwał nieustanny ferment, chociaż działo się to w innych warunkach.

Wszakże czynnikiem, który najbardziej zaważył na międzywojennym dwudziestoleciu Polski, był czynnik narodowościowy. Polska burżuazyjna nie stworzyła państwa jednonarodowego i nie stworzyła federacji. Uzyskała na wschodzie granicę, która biegła przez żywe organizmy innych narodów: Litwy, Białorusi i Ukrainy. Na zachodzie nie dostaliśmy tego, co się nam prawnie należało. W sumie Polska miała granicę, które wszędzie rozdziły zarzewie konfliktów.

W. MICHOWICZ: — Mówiło się wówczas, że Polska ma dobre stosunki tylko z jednym sąsiadem — z Morzem Bałtyckim. Bo i na południu nie mieliśmy najlepszych stosunków z Czechami, gdzie terenem spornym był Śląsk Cieszyński.

A. F. GRABSKI: — Problem polegał na tym, że w państwie żyli ludzie różnych narodowości, którzy ciążyli ku państwom ościennym. Tak było z Niemcami, Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami.

W. MICHOWICZ: — Czynniki, o których mowa, wpłynęły na słabość polskiego parlamentarizmu i ułatwiły Józefowi Piłsudskiemu dokonanie zamachu w maju 1926 roku. Ale nie jest to cała prawda. Uważam, że za-

mach majowy był przygotowywany około 20 lat. Żeby to uzasadnić trzeba zapytać: dlaczego udał się zamach majowy?

Udał się dlatego, iż powszechnie wierzono w zbawiczną rolę Piłsudskiego. Wierzone, że on jeden może wyprowadzić Polskę z kłopotów i trudności. Skąd się wzięła ta wiara?

Piłsudski od końca XIX wieku, działając w PPS, w Organizacji Bojowej, w Związku Strzeleckim, w POW stworzył sobie kadę. Przygotował ludzi, którzy formalnie nie tworzyli partii, przeciwnie, działali w różnych ugrupowaniach politycznych, na prawicy, w centrum i na lewicy, ale byli głęboko oddani Piłsudskiemu.

Józef Piłsudski bardzo starannie przygotowywał swoją legendę. Jako Naczelnik Państwa świadomie nawiązał do tradycji kościuszkowskiej. Drapał się w szaty przywódcy ludowego, nawiązywał do tradycji plebejskiej, umiejętnie posługiwał się frazesem socjalistycznym.

A. F. GRABSKI: — Najbardziej niebezpieczne, że on sam głęboko wierzył w swoją legendę. Był romantyczny.

A. BARSZCZEWSKA: — W mentalności polskiej były utrwalone przekonania o zbawiennej roli walki zbrojnej, a więc i wodza.

S. BANASIAK: — Jeszcze jeden czynnik działał na korzyść Piłsudskiego. Po 8 latach niepodległego bytu, wcale niełatwych, po okresie trudności gospodarczych, szmataniny, społeczeństwo polskie było zmęczone tym wszystkim, co się wówczas działo. Żadna z partii nie miała takiego programu, który mógłby porwać i skupić wokół niej większość społeczeństwa.

A. F. GRABSKI: — Ale Piłsudski też nie miał żadnego programu.

S. BANASIAK: — Miał jednak duże wyczucie sytuacji. Wiedział, kiedy można wystąpić w charakterze przywódcy. Miał dobre układy ze szlachtą, z wielkim kapitałem, zasługi w PPS, stworzył nawet zrudzenia wśród komunistów, że ukradł bałagan i rozpasanie klik. Stworzył zrudzenie, że zaradził nieudolności dotychczasowej władzy. Piłsudski więc wygrał nie przez to, że miał pozytywny program, ale przez negację istniejącego porządku.

A. F. GRABSKI: — Właśnie: Wygrał niezadowolony. Ulica była z nim.

S. BANASIAK: — W tym czasie Europa przeżywała kryzys kolegiatności. Poszukiwano powszechnie przywódców, ludzi silnych, którzy posiadaliby zasługi w walce patriotycznej, byli dobrymi żołnierzami. Te warunki spełnił Józef Piłsudski. Dlatego, nie posiadając żadnej partii, a opierając się na kadzie ludzi, którzy byli z nim związani w przeszłości, a teraz pełnili różne odpowiedzialne funkcje we wszystkich dziedzinach życia, ludzi zdyscyplinowanych i lojalnych, mógł dokonać zamachu, który się powiódł.

W. MICHOWICZ: — Nie zgodziłbym się jednak z twierdzeniem, że wówczas był kryzys gospodarczy. Właśnie w latach 1924-1928 mamy okres prosperity, a Władysław Grabski dokonał w tym czasie reformy systemu monetarnego, wprowadzając Polskę z gospodarczego chaosu.

A. F. GRABSKI: — Piłsudskiego przed kłopotami gospodarczymi uratowała koniunktura na węgiel, która wynikała z związku ze strajkami w Anglii. Gdyby nie to, to z tą prosperity nie byłoby w tym czasie tak dobrze.

Alto inna sprawa. Bardziej mnie interesują polityczne skutki przewrotu majowego.

Obozem Zjednoczenia Narodowego. I charakterystyczne jest to, że procesy te — zapoczątkowane przez Piłsudskiego — wzmożony się po jego śmierci, kiedy po krótkiej walce między obozem prezydenckim a Edwardem Rydzem-Śmigłym zwyciężył ten ostatni.

A. F. GRABSKI: — Co ciekawsz, następca Piłsudskiego mieli mniejszy od niego autorytet, a potrafili więcej osiągnąć. Mimo tego, że była to właściwie kontynuacja drogi zapoczątkowanej przez Józefa Piłsudskiego, po jego śmierci powstała zupełnie nowa formacja.

W. MICHOWICZ: — Historycy zastanawiali się nawet nad tym, czy dla tego okresu nie dać nazwy: III Rzeczypospolitej, ale zaniechano tego.

A. BARSZCZEWSKA: — Dlaczego była to nowa formacja? Mówiliśmy już o tym, że w poszukiwaniu modelu państwa skorzystano z wzorów francuskich. Tylko, że praktyczne wcielanie w życie teoretycznych założeń tego modelu napotykało na różne trudności wynikające z ówczesnej sytuacji społeczno-polityczno-gospodarczo - narodowościowej. Między teorią a praktyką utworzyła się przepaść. Do momentu uchwalenia Konstytucji marcowej był okres oczekiwania i nadziei, że uda się ten francuski, teoretyczny model wcielić w życie, że on się sprawdzi w praktycznym działaniu w taki sposób, jak tego oczekiwano. Kiedy okazało się, że nie, zostały tylko zdzudzenia, które funkcjonowały już w coraz to mniejszych grupach. Zdudzenia te ostatecznie rozwiązywał się w latach trzydziestych.

W tej sytuacji trzeba było szukać nowego modelu. Radziecki model państwa z klasowych względów był dla ówczesnej Polski nie do przyjęcia. Ale i model faszystowski był również nie do przyjęcia.

A. F. GRABSKI: — Panowało w tym czasie powszechne rozczarowanie w stosunku do burżuazyjnej demokracji. W różnych krajach przejawiano zainteresowanie rządami autorytatywnymi.

A. BARSZCZEWSKA: — Początek lat trzydziestych przynosił z sobą kryzys gospodarczy, zaostrzała się konflikty polityczne i społeczne. Sprzyjało to zainteresowaniu rządami autorytatywnymi. Rozwija się faszizm w Włoszech, Niemczech, Hiszpanii, Portugalii. W Polsce też obserwuje się pewne zainteresowanie faszystem.

A. F. GRABSKI: — Wychodziło nawet pismo „Faszysta Polski”.

W. MICHOWICZ: — Niektórzy historycy usiłowali rzędy z okresu 1933-1939 nazywać faszystowskimi. Nieśluszenie. Gdybyśmy przyjęli taki punkt widzenia, to istota konfliktu między Polską i Niemcami faszystowskimi, przyczyną wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku stają się dla nas zupełnie niezrozumiałe.

A. BARSZCZEWSKA: — Mówimy o negatywnych zjawiskach, jakie wystąpiły w rozwoju Polski tego okresu. Warto byłoby powiedzieć i o pozytywach, bo i takie były.

W. MICHOWICZ: — Niewątpliwie, Dokonało się zjednoczenie państwa pod względem terytorialnym i ustrojowym. Gospodarczo była Polska państwem zaofoanym, rolniczo-przemysłowym, ale dokonał się pewien postęp w rozwoju przemysłu.

Było grono wybitnych polityków gospodarczych, jak choćby Władysław Grabski czy Eugeniusz Kwiatkowski, który był autorem koncepcji wybiecia okna na świat poprzez budowę portu w Gdyni oraz utworzenia Centralnego Okręgu Przemysłowego. Zrobiono mały krok w rozwiązywaniu problemów wsi. W wyniku „drugiej reformy rolnej” z 1925 roku rozparcelowano około 1 600 tysięcy ha ziemi obszarniczej i kościelnej. Ziemie te otrzymała część chłopów, w tym bogatych. Za odszkodowaniem, oczywiście.

A. BARSZCZEWSKA: — Nie rozładowała ona konfliktów społecznych na wsi, czego wyrazem były silne strajki chłopskie, wydarzenia wówczas bez precedensu niemal w całej Europie.

S. BANASIAK: — Polską rządziła wówczas wąska elita, którą umownie nazywa się pułkownikami lub kadką legionową. Trwało nieustanne przesuwanie ludzi ze stanowiska na stanowisko, dokonywała się demoralizacja tej elity rządzącej. Część z niej trwała w oczekiwaniu na zajęcie dogodnego stołka. Sprzyjało to kształtowaniu się konserwatywnych ludź rządzących. Ten konserwatyzm

utrudniał i przeszkadzał w realizacji wielu postępowych zamierzeń, niezbędnych dla rozwoju ówczesnej Polski.

Przykładem może być wojsko. Na całym świecie dokonuje się modernizacja armii. W Polsce też usiłowano przekształcać niektóre dywizje kawalerii w brygady pancerno-motorowe. Nie mieliśmy wprawdzie ciężkiej broni pancernej, ale były jakieś tankietki, motocykle uzbrojone w karabiny maszynowe. Kadra dla tych jednostek pochodziła z dywizji kawalerii, ale ówczesni oficerowie tak bardzo byli przywiązani do koni, że nie chcieli się przesadzać na maszynę. Hamowali więc i utrudniali postęp.

W. MICHOWICZ: — Niezależnie od konserwatywności kadry oficerskiej kawalerii, a chyba nie tylko kawalerii, fakt istnienia armii mającej wprawdzie szereg bezpieczeństwa burżuazyjnego państwa, odegrał pozytywną rolę, przyczynił się do zintegrowania społeczeństwa.

S. BANASIAK: — Ja tego nie neguję.

A. F. GRABSKI: — Marszałek Piłsudski był zdania, że samoloty nadają się tylko do obserwacji i do niczego więcej.

A. BARSZCZEWSKA: — Legionści byli nie tylko w armii. Ich konserwatyzm dawał o sobie znać w różnych dziedzinach życia.

S. BANASIAK: — W polityce społecznej Piłsudskiego wystąpiło wyraźne faworyzowanie kadry oficerskiej i urzędniczej. W latach kryzysu, kiedy panowało wielkie bezrobocie, i ludzie cierpieli głód, Piłsudski stał na straży stabilności plac oficerskich i urzędniczych. Musiało się to dokonać czymś kosztem. W miastach narastało bezrobocie. Władze chciały wywiązać się z ustabilizowania podatków, ograniczyła własne spożycie, aby mieć z czego płacić te podatki.

Następuje regres w polityce narodowościowej. Spis powszechny wykazał, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie przynależało do żadnej z mniejszości narodowościowych, ani do języka polskiego i uznano, że mówi „językiem tutejszym”.

W gospodarce przedwojenna Polska też nie dorobiła się klarownego programu. Często wymienia się Gdynię, jako przykład pozytywnej polityki gospodarczej. Budowa Gdyni istotnie przebiegała sprawnie, pomysł była nowoczesnie, z rozmachem. Wybudowano baseny o głębokości 12 metrów, podczas gdy na Bałtyku nie było statków o takim zanurzeniu, ale dzięki temu Gdynia do dziś jest nowoczesnym portem. Mówi się też o COP, ale COP miał dać pierwszy krok dopiero w 1940 roku.

W. MICHOWICZ: — Nie było programu gospodarczego, ale go nie mogło być, bo w przeciwnym wypadku trzeba byłoby rozbić całą strukturę klasową. A kto to miał zrobić? Byli jednak ludzie, którzy myśleli w sposób nowoczesny i tak próbowali działać. Z różnym skutkiem.

S. BANASIAK: — Cała uwaga ówczesnych grup rządzących była skoncentrowana na utrzymaniu władzy. Siły społeczne nie były w stanie wymusić na ludziach rządzących spełnienia tych wszystkich postulatów, które mogłyby zagwarantować rozwój ówczesnej Polski.

A. F. GRABSKI: — Nie było i nie mogło być. Były wprawdzie obiektywne przesłanki dla modernizacji państwa pod warunkiem, że naruszy się jego strukturę klasową. Ale przecież władza stała na stanowisku stabilizacji i obrony istniejącej struktury społecznej.

S. BANASIAK: — Jaki był stosunek obywateli II Rzeczypospolitej do niepodległości?

A. F. GRABSKI: — Niepodległość była wymarzona przez całe pokolenie. Uważano, że odzyskanie niepodległości wiele rozwiąże, ale konfrontacja marzenia z rzeczywistością wypadała na niekorzystny marzeń.

Z tego konfliktu marzeń z rzeczywistością można było wyciągnąć trzy wnioski. Po pierwsze — zrezygnować i machnąć na wszystko ręką, niech się dzieje co chce. Po drugie — działać w ramach istniejących możliwości, aby zrobić jak najlepiej dla kraju i to jest postawa wielu polityków gospodarczych tamtego okresu. I po trzecie — można dążyć do generalnej zmiany rzeczywistości.

W tym czasie rozszerza się platforma działania lewicy mimo istnienia rządów autorytarnych. Myślę tu już nie tylko o działającej w konspiracji KPP, o PPS, ale i o dokonującej się radykalizacji ruchu ludowego.

A. BARSZCZEWSKA: — Nie można wymagać od działaczy burżuazyjnych, izby w konsekwencji swego działania naruszyli podstawy struktury klasowej. Można najwyżej zastanawiać się czy w ramach ich możliwości i obiektywnych warunków zrobili tyle, ile mogli byli zrobić?

A. F. GRABSKI: — Niezależnie od tego, jak będziemy oceniali okres II Rzeczypospolitej, to nie ulega wątpliwości, że dokonała się integracja narodu, że niepodległość stała się wartością dla wszystkich. W latach dwudziestych było jeszcze pytanie: czy niepodległa? W latach czterdziestych było już tylko pytanie: jaka niepodległa? Przecież w 1939 roku za niepodległość Polski ginęli również

TEATR NA TAGANCE

Widziałem kilka spektakli w małym i niepozornym, dalekim od monumentalnych wzorów teatralnej architektury budynku moskiewskiego Teatru na Tagance, który jest bez wątpienia najbardziej popularnym i owianym legendarną sławą teatrem w ZSRR. Były to przedstawienia z różnych okresów blisko piętnastoletniej historii tego teatru prezentujące rozmaite aspekty jego bogatej poetyki artystycznej.

Trudno na ich podstawie definiować sceniczny język, a tym bardziej styl Teatru na Tagance, ale nawet fragmentaryczna znajomość dostarcza wrażeń tak intensywnych, że w świadomości widza układają się one we wzór niebywale sugestywny, łatwo rozpoznawalny i czytelny. Jego wyrazistość uwidacznia kontekst teatralny Moskwy, w której dominują teatry profesjonalnie znakomite, ale profesjonalizmem dla polskiego teatromana nieco tradycyjnym i akademickim. Duch wielkiego Stanisławskiego nadal unosi się nad sceną radziecką, w nim bowiem w sposób wyjątkowo trafny i głęboki wyraził się rosyjski stosunek do życia i kultury.

We foyer Teatru na Tagance wiszą obok siebie

cztery portrety

Stanisławskiego, Brechta, Wachtangowa i Meyerholda. Nazwiska czterech gigantów XX-wiecznego teatru określają wybór teatralnej tradycji, zaświadczenia o jego ideowym i estetycznym rodowodzie. Zdawać by się mogło, że ta konstelacja grzeszy paradoksem, że przynajmniej niektórzy z czcigodnych antenatów nigdy nie przystaliby na to symboliczne sąsiedztwo, tak bardzo ich koncepcje teatru różniły się od siebie, powstając często w bezpośredniej polemice i opozycji. Ten hołd złożony wielkiej przeszłości mógłby też nasuwać przypuszczenia, że przekraczając progi teatru epigońskiego, niewolniczo zapatrzono w cienie niezapomnianych przodków. Te myślnie pozory rozwiewają się po obejrzeniu jakiegokolwiek, choćby nie całkiem udanego spektaklu na Tagance. Wówczas portretowa dedykacja wyjaśnia się i nabiera głębszego sensu. Stajemy bowiem przed sceną ogromnie żywą, atakującą niespotykaną wyobraźnią całego zespołu, gdzie upostaciowana tradycja przekształca się w organiczną syntezę o absolutnie oryginalnej, choć złożonej ze znanych pierwiastków ekspresji teatralnej.

Gdyby zapytać o rzeczywiste źródła tego teatru należałoby cofnąć się do jego początków. Scena ta powstała w 1963 roku, kiedy to absolwenci studia teatralnego przy Teatrze im. Wachtangowa na Arbacie pokazali w spektaklu dyplowym „Dobrego człowieka z Seczuanu, Bertolta Brechta w reżyserii aktora tego teatru i pedagoga Jurija Lubimowa. To historyczne już dziś przedstawienie, mimo iż nadal utrzymuje się w repertuarze na Tagance, było artystycznym szkiem w życiu kulturalnym Moskwy. Już sam wybór repertuarowy wnosil atmosferę zaskoczenia i niepokoju. Brecht był dramaturgiem praktycznie nieznanym, bo w latach niedawno minionych oficjalnie nie zaakceptowanym. W nowym klimacie kulturalnym próbowano go wystawić, ale były to próby nieśmiałe, nieudane, mijające się z ideą brechtowskiego teatru. Było to — jeśli wierzyć wspomnieniom i krytyki i widzów — przedstawienie oszałamiające. Porwały niezwykłą lekkością, fantazją, huraganowym tempem, energią aktorów, niezwykłością teatralnych chwytów, ironią i dowcipem. „W tym śmiechu i w tej energii — pisał jeden z krytyków — była odwaga akrobata kończącego groźną śmiercią salto i posyłającego zamartwiał publiczności lekkomyślny pocunek, który ukrywa pot i strach, wątpliwości i zmęczenie od nieustannego treningu”.

W „Dobrym człowieku z Seczuanu” objawiło się ze spontaniczną siłą indywidualne oblicze tego teatru, dla którego brechtowski spektakl stał się swego rodzaju kodem genetycznym przyszłego stylu tej sceny. A więc Brecht, Bertolt Brecht, jako pierwszy odczytany Taganki. Ale był to Brecht odczytany swobodnie, „na luzie”, bez doktrynalnego skrepowania cechującego wielu reżyserów, którzy wystawiając jego sztuki wpatrują się w Mistrza jak królik w węża boja.

Po tym przedstawieniu, od którego szumiało w całej Moskwie, a nazwisko niezbyt znanego aktora Lubimowa z dnia na dzień urosło do sensorycznej wielkości, postanowiono zachować młody zespół i oddać mu scenę podupadającego Teatru Dramatu i Komedii na Placu Tagańskim. Początki nie były łatwe. Po wspaniałym debiucie młody, przeżyjący okres „burzy i naporu” teatr spotyka porażką — nieudana inscenizacja „Bo-

hatera naszych czasów” Lermontowa. Jednakże wkrótce następuje oświecenie:

„Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”

Jeden z najwybitniejszych i najbardziej charakterystycznych spektakli teatru Lubimowa, właśnie Lubimowa, bowiem on jest autorem zdecydowanej większości przedstawień na Tagance i to autorstwo wyliczka na teatrze wyraźnie piśno.

W „Dziesięciu dniach” spotykamy się z teatrem już dojrzałym, o wypracowanym autografie. „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem” z podtytułem „Widowisko ludowe w 2 częściach, z pantomimą, cyrkami, bufonadą i strzelaniną”, to spektakl tylko prawem pretekstu wsparty o znaną książkę amerykańskiego publicysty Johna Reeda. Bowiem fabuła historii rewolucji należy do powszechnej świadomości, jest wielkim mitem początku stworzenia nowego świata. Stąd przedstawienie przybrała strukturę mityczną i swoim klimatem uczuciowym pragnie narzucić odbiorcy atmosferę tamtych dni. „Dziesięć dni” w Teatrze na Tagance stają się świętem teatru i rewolucji. W dniu premiery cały budynek teatralny był ozdobiony czerwienią i rewolucyjnymi hasłami (pisanymi w stylu starej ortografii). Żywił teatralności wciąga widza od progu w myśl znanego powiedzenia Stanisławskiego, że „teatr winien zaczynać się od szatni”. Wchodzącego do teatru witają aktorzy w strojach czerwonoogwardzistów, którzy nabijają bilety na bagnety karabinów jak ongiś mandaty wyborcze w Smolnym. W hallu rozbrzmiewają rewolucyjne czastuszki. Mroczną salę przecinają promienie reflektorów.

Przedstawienie składa się z kilkunastu epizodów, które znaczą doskonale wszystkim znany przebieg historycznego eposu. Ta powszechna znajomość historii ułatwia inscenizatorowi od pietyzmu rekonstrukcji i pozwala w to miejsce wprowadzić bogaty repertuar znaków scenicznych zaczerpniętych z różnorodnych konwencji teatralnych, co nie zakłóca przebiegu sensu i składa się na stylizacyjny efekt zadziwiająco harmonijny i jednolity. Jest w tym spektaklu istne miktum compositum wirujące w zawrotnym, zapierającym dech w piersiach tempie, które daje sugestywne odczucie przyswiołowego wichru historii. Songi, pantomima, chwytliwa komedia dell'arte, akrobacja, chiński teatr cieni, kabaret, scena jarmarczna, stylizacja na okna ROSTA, projekcja filmowa, napisy, portrety — ta trudna do ogarnięcia teatralna lawina zwala się na oszołomionego widza niewyczerpanym bogactwem i intensywnością teatralnej ekspresji. Jest to teatr wyzywający teatralny, wywołony z obawy o brak komunikatywności a wyzwalający wyobraźnię poetycką.

Gdyby pedantycznie szukać historycznych paranteli, to najwyższe skojarzenia biegna w stronę Wsiewołoda Meyerholda, bodaj najbardziej świeżego, a w każdym razie najwzschodniejszego spośród XX-wiecznych reformatorów teatru. Oczywiście, sam temat podsuwał twórcowi „Dziesięciu dni” niewyczerpane źródło, jakim był program Teatralnego Października Meyerholda i czerpią oni z tego źródła pełnymi garściami. Ale znów, jest to jedynie teatralny alfabet, z którego na scenie Taganki spontanicznie powstaje przekaz całkowicie oryginalny i nowy. Trudno jednak w tym miejscu nie sformułować pewnej wątpliwości, która narzuca się przy tym widowisku. Otóż urzeczcie Lubimowa możliwościami teatralnego tworzywa powoduje, że barwny kalejdoskop teatralnych efektów przesłania szerszy, historyzoficzny sens demonstrowanych faktów. Wirtuozeria inscenizacyjna chwilaami zaczyna przeszkadzać refleksji.

Słowo o aktorach, którzy w tym przedstawieniu szczególnie wobec rozmaitego przywoływanych stylów, a co za tym idzie technik aktorskich wnoszą się na niedoścignione szczyty precyzji i doskonałości. Lubimow wymaga od swoich aktorów żelaznej kondycji i wszechstronnych psychofizycznych predyspozycji. Jego kolektyw jest idealnie zgrany, spektakle w tym wykonaniu sprawiają wrażenie zabawy i improwizacji, za którymi kryje się wszakże nadludzki wysiłek. Zespół ten w akcji przypomina teatr studencki, które to określenie w polskim życiu teatralnym od kilku

lat stało się swoistym, lecz od razu czytelnym idiomem. Idiom ten zawiera w sobie jeden bardzo istotny wyróżnik, który decyduje również o tożsamości Teatru na Tagance. Jest nim

poezja.

Nie chodzi tylko o poezję sceniczną pojmovaną, jako metaforyczny styl teatralny, który rodzi się z nieoczekiwanych zderzeń sytuacji, kontrastu nastrojów, efektów scenograficznych i świetlnych, czy symbolicznego użycia rekwizytu. Chodzi o świat poezji zawarty w słowie, które promieniuje ze sceny. Oczywiście, kreatywny typ teatru, jakim jest Taganka ma do literatury dramatycznej stosunek dość nonszalancki. Tekst teatralny dominuje tu nad tekstem teatralnym i wyznacza jego nowy porządek znaczeń. Zatem jak gdyby prawem rekompensaty teatr Lubimowa ma w swoim repertuarze spektakle oparte głównie na słowie, które pochodzi z poezji. Takie przedstawienia jak „Towarzyszu, wierz!” „Posłuchajcie...”, czy „Antyświaty”, mogłyby równie dobrze nosić odpowiednio tytuły „Puszkini”, „Majakowski”, „Wozniesieński”, są bowiem montażami z poezji tych autorów i starają się w jednym teatralnym ujęciu wyrazić podstawową ideę poety. Są to przedstawienia mniej wybujałe teatralnie, ascetyczne, jak zwykli pisać recenzenci, nastawione na słowo i jego znaczeniową kompozycję. Często oparte na zaskakującym pomysłu, który stanowi o całej inscenizacji. Na przykład w spektaklu o Majakovskim poetę odtwarza pięciu aktorów, którzy wyrażają różne strony skomplikowanej osobowości tytana. Pisał o tym przedstawieniu wybitny znawca teatru radzieckiego Władimir Frolow: „Słowa Majakovskiego są jak nerwy w żywym organizmie”.

Podobny chwyt konstruowania postaci poety poprzez kilka kontrastujących z sobą hipotez aktorskich zastosował Lubimow w widowisku poświęconym Puszkiniowi. Główny konflikt przenikający życie i twórczość artysty został zobrazowany wizualnie metaforą ustawionych naprzeciw siebie carskiej karety i niewolniczej kibitki. Spektakl o Puszkynie nie jest oparty na żadnej z jego sztuk. Jego tekst składa się z poetyckich strof zmieszanych z dokumentami, listami, oficjalnymi zarządzeniami i donosami. I nie jest to również sceniczną biografiją, lecz próba ujawnienia uczuć i myśli Puszkina, a poprzez jego osobowość dramatycznych losów poezji rosyjskiej.

Ten gatunek wypowiedzi teatralnej, pierwsze swoje spełnienie w teatrze Lubimowa znalazł w „Antyświatach” opartych na poezji Wozniesieńskiego. Było to przedstawienie demonstracyjnie otwarte pod względem kompozycyjnym, rozpadające się na pojedyncze utwory, których znaczeniowa summa narastała w miarę wpływu kolejnych części. W centrum sceny znajdował się sam Wozniesieński, który czytał własne wiersze, stając się żywym wcieleniem idei syntez poezji i teatru. „Antyświaty”, to poetycki komentarz do współczesnego świata ery atomowej, który jest miejscem bezustannej konfrontacji dwóch systemów społeczno-politycznych. Etyczna krytyka cywilizacji zachodniej i jej wynaturzeń zawiera w sobie głębokie wartości duchowe, płynię bowiem ze źródeł wielkiej tradycji humanistycznej rosyjskiej kultury.

Jednym z najistotniejszych wątków repertuarowych Teatru na Tagance jest

temat wojny.

Wojna ojczyzniana jest wielkim tematem radzieckiej literatury, filmu, malarstwa, także teatru. Interpretacja wojennego katalizmu ma w kulturze radzieckiej — podobnie jak w naszej — charakter martyrologiczny. W repertuarze tagańskiej sceny znajduje się montaż poetycki „Polegli i żywi”, zbiorowy portret wojennego pokolenia poetów, których tragiczne wiersze aktorzy czytają przed płonącym na proscenium wiecznym ogniem. Jednakże najbardziej, najbardziej poruszający i najtragiczniejszy wyraz tematyka wojenna znalazła w scenicznej adaptacji znanej powieści B. Wasiliewa „Tak tu cicho o zmierzchu...”, która stała się jednym z największych sukcesów artystycznych teatru. Rzadko zdarza się spotkać teatr o tak bardzo skoncentrowanej sile emocjonalnego oddziaływania, która rodzi się z prostoty i naturalności środków wyrazu. Jest to historia plutonu kobiet dowodzonego przez męczyzną sierżanta, z którego jedynie dowódca zostaje w finale przy życiu. Śmieć dziewczęta ginie, jedna po drugiej, w nierównej walce z niemieckim batalionem. Wstrząsający tragizm tego teatralnego epifatium wynika z poczucia absurdu i głębokiej niesprawiedliwości, która z miazdzącą siłą spada na dziewczyny delikatne i piękne, stworzone do miłości, a nie do wojny.

Aktorską rewelacją tego przedstawienia był wykonawca roli sierżanta Waskowa — Wiktor Szapowałow. Waskow w jego wykonaniu, to typowy „starszina”, postać wielce popularna we frontowej piosence i anegdocie.



Foto: Archiwum

Teatr na Tagance. Dobry człowiek z Seczuanu. Jang Sun- W. Wysocki

Przedstawienie „Tak tu cicho o zmierzchu” wywierało tak ogromne wrażenie na widowni, która oglądała je ze ściśniętym gardłem i ze łzami w oczach dzięki temu, że było poświęcone bezimiennemu bohaterom narodowej wojny. Ich heroizm był heroizmem „nieznanego żołnierza”, którego postawa patriotycznego oddania zdecydowała o zwycięstwie.

Z tych kilku lakonicznych rysów do portretu Teatru na Tagance wyłania się obraz teatru niecodziennego, nowatorskiego pod każdym względem, poszukującego nieustannie nowych rozwiązań inscenizacyjnych, zaskakującego wyborami repertuarowymi, które były prowokacyjnymi aktami aneksji literatury epickiej i lirycznej, jakby badaniem granic poetyki kreowanego teatru. Stąd pewne zdumienie może budzić obecność w repertuarze tej sceny klasycznych pozycji dramatu światowego. To nie tylko patronujący teatrowi Brecht, któremu hołd oddano w debiutanckim przedstawieniu, a także w „Zyciu Gallileusza” i „Matce Courage”, ale to również wybitna inscenizacja „Świętoszka” i słynne wystawienie „Hamleta” z Władimirem Wysockim w roli tytułowej.

„Hamlet”

Lubimowa stanowi niewątpliwie opus magnum tego teatru, mimo iż na pierwszy rzut oka odbiega od jego wyraziczej ukształtowanej formuł estetycznych. Miał dramatycznej struktury otwartej i swobodnej znajduje my dążenie do maksymalnej jasności i jasności kompozycyjnej jakby na przekór ciemności samej sztuki; miał bogactwo i rozmaitości inscenizacyjnych rozwiązań aże i dążenie do maksymalnej kondensacji ekspresji; w miejsce aktorstwa tasującego rozmaite konwencje gra głęboko psychologiczną, przeżywaną. Raz jeszcze Teatr na Tagance zaskoczył swoich wielbiciele przyzywczajonych do pewnej ekscentryczności. „Hamlet” stał się miarą dojrzałości i mądrości całego zespołu.

„Hamlet” na Tagance ma barwę ziemi. Przez cały czas na proscenium grabarze kopią grób, zanurzają łopaty w prawdziwej ziemi gotowej w każdej chwili przyjąć każdego. Głównym bohaterem przedstawienia staje się podstawowy i jedyny element scenografii: ogromna szara kurtyna przesuwająca się w czasie przedstawienia bezszereślnym ruchem w różnych kierunkach sceny. Kurtyna spełnia najprzeróżniejsze funkcje: w jej splotach zawisa ukrzyżowany Hamlet, przebita ostrzami mieczy tworzy tron dla Klaudiusza, ukrywa zabitego za chwilę Poloniusza, zmłata trupy... Wszegłobecna kurtyna jest wspaniałym pomysłem inscenizatora i jego scenografa Dawida Borowskiego. Jest materializacją egzystencjalnego niepokoju przenikającego sztukę, symbolizuje „to, co nie śniło się filozofom”. Ogromna, przerażająca, cicha i szybka — jak śmierć. Albowiem w tym „Hamlecie” tragedia rozgrywa się w cieniu śmierci. Lubimow w swojej inscenizacji szekspirowskiego arcydzieła zdaje się podążać tropem głośnie interpretacji wybitnego radzieckiego psychologa Lwa Wygotskiego, który dostrzegł w „Hamlecie” „głębokie odczucie

mentarza”, „szczególny stan grobowego smutku”.

Niezwykła kurtyna pełni jeszcze jedną funkcję — nadaje przedstawieniu szalącą dynamikę. Posiada jego przebieg, dzieli sceny i epizody, tworzy jakby filmowy montaż całości.

Hamleta gra Władimir Wysocki. W jego interpretacji bohater Szekspira nie hamletyzuje, lecz działa. Posiada pełną świadomość dokonanej zbrodni, przeprowadzone śledztwo jedynie potwierdza jego domysły. Po zaledwie jednym obejrzeniu przedstawienia odniosłem wrażenie, że Wysocki, aktor skądinąd znakomity nie wykonywał wspaniałych możliwości kryjących się w tym takim odczytaniu, lecz poprowadził rolę jak gdyby tylko jedną jego krawędzią. Jego Hamlet jest aniołem zemsty dążącym za wszelką cenę do zagłady mordercy ojca. „Cały był jak piekająca rana, jak ognisty nerw, cały w ognistym porwywie walki” — zanotował Frolow.

Trudno pisać o Teatrze na Tagance i jednocześnie nie poświęcić — choćby prawem marginesu — kilku słów Wysockiemu, który sam w sobie jest zjawiskiem legendarnym, wywidzonym z tego samego ducha, co Wasyl Szukszyn. Oprócz Hamleta, który przyniósł mi lekkie rozczarowanie, widziałem go jeszcze w jednej roli, a mianowicie Kiereńskiego „Dziesięciu dniach”. Była to kreacja niepowtarzalna, rodzaj ostrej karykatury zagranej brawurowo jaskrawymi barwami. Jednakże aktorstwo Wysockiego, aktorstwo mimo warunków amanta przede wszystkim charakterystyczne jest tylko jedna, niejako oficjalną stroną jego legendy. Wysocki jest bowiem postacią niesłychanie popularną dzięki piśmiom śpiewanym wspaniałym, zachrypniętym drapieżnym basem. Te przy akompaniamentie gitary śpiewane pieśni językiem moskiewskich przedmieść, to żywa kronika miejskiego folkloru i obyczaju, poetycko-satyryczny zapis teraźniejszości i czasów minionych, który kreuje samorodny talent ich autora i wykonawcę do miana „Franciszka Villona Związku Radzieckiego”.

Wracajmy jednak na widownię teatru, a stąd do wyjścia, pora bowiem kończyć tę garść wrażeń z wieczorów spędzonych na Tagance. Opuszczając ten teatr szukalem dlań analogii w polskim, bujnym przeciw życiu teatralnym. Na pierwszy, bardzo powierzchowny rzut oka teatr Lubimowa kojarzy się z teatrem Hanuszkiewiczem. To również teatr żywiołowej inscenizacji, ale jednak bardziej sfunekjonalizowanej, nigdy nie ocierającej się o grafomański nadmiar i efekciarską ekstrawagancję. U Lubimowa każdy efekt teatralny wyrasta z idei, którą wyraża bardzo czysto i precyzyjnie. Nie znajdujemy tu zachlystywania się własną inwencją, teatralną retoryką ignorującą prawa tekstu dramatycznego. Wysocki sztuka teatralna łączy się na tagańskiej scenie z szacunkiem dla świata myśli zapisanych w literackim oryginale.

Widziałem zaledwie kilka przedstawień, które obudziły prawdziwą tęsknotę do tego teatru. Kiedy po raz ostatni opuszczałem jego widownię rzuciłem za siebie kopię. Na znak powrotu.

Leopold Buczkowski (ur. 1905) należy do tych nielicznych autorów współczesnych, których twórczość zyskała uznanie przeważającej większości komentatorów bieżących wydarzeń literackich. Jego powieści „Czarny potok” (1954) i „Dorycki krążanek” (1957) weszły na stałe do kanonu znaczących dokonań polskiej prozy współczesnej. Ma szansę dołączyć do nich najnowsza powieść Buczkowskiego — „Kamień w pieluszkach”.

Odrębność artystyczną Leopolda Buczkowskiego wyznacza w pierwszym rzędzie specyficzna odmiana narracji. Niektórzy krytycy powiadają nawet o stworzeniu przez niego „nowej przestrzeni narracji”, co jest w moim mniemaniu sformułowaniem dość nieostrym, niemniej jednak świadczy o wyjątkowej „inności” w widzeniu i kształtowaniu świata przedstawionego. Określa go kilka wyznaczników. Rzecz podstawowa — i najbardziej chyba rzucająca się w oczy — to bogata wyżywność malarzka typu nadrealistycznego (Buczkowski po roku polonistyki w Krakowie studiował przecież w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych), przesycona mnóstwem szczegółów, bogata w barwy, zapachy, w różnorodność odmiany materii. Towarzyszy jej nieprzerwanie brak zarówno chronologicznego, jak i przyczynowo-skutkowego porządku fabularnego. Jest to proza zdecydowanie afabularna, skojarzeniowa, impresyjna — lekturę można by rozpocząć i kończyć w dowolnym niemalże miejscu. Istnienie, byt — zdaniem autora „Kamienia w pieluszkach” — polega na doznawaniu pewnych stanów, na permanentnym stawaniu się, zaś jego pisarstwo ma stany owe po prostu odtwarzać, pokazywać intelektualny i emocjonalny klimat różnych sytuacji życiowych. Buczkowski konsekwentnie przedstawia postaci i wydarzenia związane z drugą wojną światową (i innymi wojnami, tym razem cofną się na przykład aż do powstania listopadowego — por. funkcję mitu podchorążych). To właśnie wy-

FAUST JAKO ANIMA MUNDI

padki wojenne powodują (choć z drugiej strony na pewno są w tej prozie tylko przejawem szerszego widzenia spraw), iż rzeczywistość przedstawiona powieści Buczkowskiego nieustannie jest wypełniona chaosem, grozą, przypadkowością, niespodziankami. Jest ona niejako poszarpana na niewielkie fragmenty, epizody, urywki wspomnień, rozmów, zapisów. Tworzywem, które owe okruciny życia spaja w całość staje się refleksja filozoficzna, próba intelektualnego uogólnienia praktycznych życiowych przypadków, próba stworzenia systemu, czy też systemu interpretacyjnych na użytek dnia dzisiejszego, i nie tylko.

Rejestrowanie stanów (zauważmy, iż stanami z odpowiednią numeracją nazywa również Buczkowski kolejne rozdziały) jest chwytnym życia na gorąco, odnotowywaniem wszystkiego, co się aktualnie dzieje na różnych płaszczyznach rzeczywistości, a więc i w świecie zewnętrznym, i w świecie zjawisk psychicznych. W tej prozie nie istnieje ani przestrzeń, ani kategoria czasu — panuje wszechwładna synchronia. Uchwycenie wszakże „stawania się” przy pomocy sztuki słowa nie jest zabiegiem prostym, ni łatwym, przede wszystkim nigdy nie może być ono adekwatne — słowo przy pomocy obrazów i pojęć jedynie nadaje, kopiuje rzeczywistość. Dlatego też „stawanie się” nie dzieje się, „stawanie się” nie dzieje się, „stawanie się” nie dzieje się — przestrzeń Buczkowski od razu na początku powieści — „wszelkie tego rodzaju próby, jak na przykład mówienie, że stawanie się jest jednością i bytu, i niebytu, kończą się gadaniem w kółko”. Cała trudność ujęcia istotny „stawania się” przy pomocy systemów pojęciowych

polega na tym, iż życie nie jest pojęciem, lecz działaniem się, czynnością, zmiennością, ujawnianiem coraz to nowych elementów i składników. Narrator „Kamienia w pieluszkach” podkreśla więc bez przerwy nowość stawania się. Rzeczywistość przedstawiona „Kamienia w pieluszkach” jest całkowicie zdeintegrowana. Motywem przewodnim, i w pewnej mierze porządkującym, staje się śledztwo, śledztwo wieloaspektowe: filozoficzne, psychologiczne, historyczne i wreszcie kryminalne, obejmujące bardzo różnorodne obszary życia. Z owego śledztwa powstaje — tworzony przez bardzo różne osoby — protokół. Historia jego powstawania zakreśla (ale też w pewnym tylko przybliżeniu) ramy najnowszej powieści Leopolda Buczkowskiego.

Wspomniana dezintegracja stanowić ma literacki wyraz bezkresu wszechświata, a dokładniej — jego chaosu i sprzeczności. Najbardziej ewidentna spośród tych sprzeczności polega na tym, że nieskończoność i bezkres objawiają się w istocie, która posiada swój kres i określone granice, objawiają się w człowieku. Świadomość tego jest rezultatem wkroczenia w trzeci etap rozwoju świata: od świata bezkształtnego, poprzez świat form, do świata kształtów. Jednym z pierwotnych i najtrwalszych prądów okazuje się potrzeba poznawania. Przejawia się ona różnorodnie, nieraz bardzo powierzchownie i pragmatycznie, tak naprawdę jednak posiada wymiar ontologiczny. Dlatego też sens „Kamienia w pieluszkach” z powodzeniem mieści się w kilku słowach sumujących dyskusję o Montaigne'u, znakomitym obserwatorze ułomności ludzkiej: „Zadaniem człowieka jest

szukanie, nie zaś znalezienie prawdy. Dla nas wskazane jest wątpienie i badanie”. Odwołanie się do kartezjańskiej tradycji pomoże ma w przypomnieniu istotnej, i jakże przewrotnej, dewizy humanizmu: człowiek miarą wszechrzeczy. Także miarą poznania. Tyle wobec tego prawd — konkluduje narrator „Kamienia w pieluszkach” — ile jednostek ludzkich. Tyle sensów istnienia i tyle dróg wiodących do celu.

Skoż mowa o poznawczych tęsknotach ludzkości wyrażanych w literaturze — jakże mogłoby zabraknąć Fausta, postaci najbardziej chyba reprezentatywnej w tym zakresie. Występuje więc na kartach „Kamienia w pieluszkach” Faust, lecz nie w swym najbardziej znanym, goethowskim wcieleniu, a raczej jako anima mundi, jako pojęciowa „powszechna substancja świata”, rozpostarta pomiędzy rozumem i empirią. W ten sposób ujawnia się w tej prozie swoista gra wyobraźni i intelektu, a wszystko podporządkowane jest (po niezliczonej ilości pytań i rozważań, tragicznych na przemian i sztycherach) starej, prostej, niepodważalnej prawdzie, jaką kończyła się niejedna choćby przypowieść filozoficzna wyrażająca niepokoju o ten najlepszy ze światów: „Czuje ten świat na jamie brzusznej, na ramionach, na karku i potylicy, na plecach i krzyżu. Prócz tego są jeszcze rozmaite punkty na głowie, na skroniach, na szyi, na twarzy i różnych członkach ciała. Przecież ważny jest fakt istnienia człowieka, to, że żyje, że trawi, że ma głowę i brzuch, że w ogóle jest”.

O odrębności artystycznej Leopolda Buczkowskiego już mówiłem. Odrębność zaś intelektualna autora „Kamienia w pieluszkach” opiera się — jak widać — nie na wyjątkowości problematyki, ale na sposobie jej stawiania. Na podkreślanie indywidualnej miary spraw egzystencjalnych, na eksponowanie odrębności poszczególnych istnień w monadycznym świecie. Na manifestowaniu wiary w sens ciągłego poszukiwania prawdy, w konieczność ustawicznego



krążenia myśli wokół człowieka i świata, na poddawaniu weryfikacji eschatologicznych mitów. Na jawnym eksponowaniu gnoseologicznych tęsknot. Jest to problematyka dość typowa dla znacznego odłamu polskiej prozy współczesnej — pojawia się w księżkach między innymi Andrzeja Kuśniewicza, Leona Gomolińskiego, Wandy Karczewskiej, Bernarda Sztajnerta, Władysława Terleckiego. I w każdym przypadku znajduje indywidualne rozwiązanie. W kontekście tego, co powiedziałem powyżej, nasuwa się dość jednoznaczna interpretacja tytułu powieści Buczkowskiego — oto kamień symbolizować może „twardy” problem bytu, owiany różnymi „miękkimi” teoriami i poglądami. Takie wyjaśnienie mieściłoby się w pewnej tradycji naszej literatury, choćby w sferze ideowej pułchny Witkacego czy Leona Chwistka; wyraźnie przecież koresponduje z Chwistkowym sformułowaniem „metafizycznego jądra gór wysokich”.

Proza Leopolda Buczkowskiego nie jest przeznaczona dla czytelnika poszukującego w literaturze rozrywkę i łatwej fabuły gwoździ urozmolenia wolnego czasu przeznaczanego na niedzielne lekturę. Wymaga obycia z literaturą współczesną, znajomości tradycji literackiej i filozoficznej. Wymaga wysiłku myślowego. W zamian za to oferuje rzetelną przegrodę intelektualną.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Leopold Buczkowski, „Kamień w pieluszkach”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, nakład 10 000 + 283 egz., s. 296, cena zł 50,—

Tak się jakoś złożyło, że przegapiłem sztukę Gorina gdy była drukowana w „Dialogu”, obejrzałem ją natomiast i wysłuchałem dwukrotnie — raz z amfiteatralnej stromizny skierniewickiego kino-teatru „Polonez”, drugi raz w ciasnocie macierzystej salki Teatru Ziemi Łódzkiej przy ul. Kopernika.

W „Polonezie” było tłoczno, a załoga „Fumosu” — której spektakl został zadedykowany — odbierała przedstawienie nader życzliwie i ciepło, w Łodzi publiczność nie bardzo dopisała, a jednak ten właśnie spektakl był lepszy, bardziej poetycki i intymny. Nagle też zdalem sobie sprawę, że tekst Gorina brzmi bardzo znajomo i swojsko, że znam jeźli nie te melodie, to przynajmniej tę orkiestrację. Ależ tak, mistrzem radzieckiego pisarza musiał być bez wątpienia jego wspaniały rodak Eugeniusz Szwarz, autor „Człowieka i cienia”, „Nagiego króla”, „Smoka” i innych przemyślnych baśni dla dorosłych! Ten sam śpiewny, mieniący się kropkami słów dialog i nagle — niby błysk wydobywanych szpad — ostra, gwałtowna kwestia i replika nieporównywalnej celności. Jeżeli jednak mam rację, to i polska wersja tytułu nie brzmi fortunnie, „Samy prawdziwy” to po prostu „Najprawdziwszy”, a nie jakiś tam „Prawdomówny kłameca”, co — przypominajmy — „Łgarza nad łgarzami” — zdaje się sugerować krotchwilę z kręgu Goldoniego.

Tymczasem Gorinowi ani w głowie farsa, w jego gorzkiej komedii wiele mówi się o prawdzie o uśmiechu, ale ten uśmiech wymaga odwagi, niemal — bohaterstwa. Sławny nie-

„UŚMIEHAJCIE SIĘ, PAŃSTWO, UŚMIEHAJCIE!”

miecki obiecywał i łgarz, baron Hieronim von Munchhausen, którego fantastyczne przygody spisał w XVIII wieku wybitny poeta Gotfryd Burger, nie jest wprawdzie łgarzą szczególnie popularną na polskim gruncie, ale to ktoś trochę jak Papkin, a trochę jak Zagłoba, tyle że jeszcze zuchwalszy w mijaniu się z pradopodobieństwem, śmiało dosiadający armatniej kuli, bądź też celnym strzałem strącający spod nieba w czeluści kominka już upieczoną dzikie kaczkę.

I oto Gorin bierze za bohatera barona, odbarza żoną i synem, którzy od niego odeszli, kochanką, która weń święcie wierzy, a nadto — i co najważniejsze — świadomością buntownika. Nieważne jest, czy baron kłamie, lecz przeciwko komu i czemu kłamie, broniąc prawa do marzenia i prawa do korzystania z życia w całej jego urodzie.

Hazardownie stawiając na jedną kartę swój los wraz z losem kochanej i kochającej kobiety, odrzucając wszelaki kompromis, nawet pływając — zda się — z rozsadku i przynoszący doraźną korzyść, najprawdziwszy z baronów von Munchhausen wyrasta ponad swoich współczesnych i odchodzi od nich po ścieżce utkanej z promieni księżycy. „Jesteście zbyt poważni!” — mówi,

ale tylko Marta zdaje się go rozumieć. — Proszę państwa, poważna twarz bynajmniej nie świadczy o mądrości. Wszystkie głupstwa na ziemi popełniane są z tym właśnie wyrazem twarzy. Uśmiechajcie się, państwo, uśmiechajcie!”

No tak, „Prawdomówny kłameca” to bardzo piękna i mądra sztuka, ale trzeba jeszcze utrafić w jej klimat i trzeba jeszcze ją zagrać. Sala skierniewickiego „Poloneza” ma znakomitą widoczność i zaskakująco dobrą słyszalność, trudno powiedzieć jednak o niej, że jest przytulna, a spektakl ogląda się niby z lotu ptaka. I jeżeli Teatr Ziemi Łódzkiej chce w tym gościnnym mieście odnieść prawdziwe, a nie po troszę kredytowane sukcesy, musi liczyć się z koniecznością przebudowywania swoich spektakli, obliczania ich na odmienną optykę, grania — jeżeli można tak powiedzieć — nie tylko do przodu, w stronę widowni, ale jednocześnie do przodu i wwyż. Nie trzeba przesadnie nateżać głos, bo szept również dojdzie, ale trzeba pamiętać, że widz ma zmienioną perspektywę, taki mniej więcej przegląd scenicznych wydarzeń, jak pilkarska publiczność z trybun.

Najwyraźniej ową zmienioną optykę wyczuwał śledząc rolę Hen-

ryka Dudzińskiego, bardzo pięknie, na półtonach i zawieszaniach głosu budującego rolę oportunisty Burmistrza. W Łodzi niektóre kwestie aktor mówił nie do partnerów, a wściewie do ściany, jakby się wstydział, jakby chciał ukryć twarz, którą przez swoją małoduszność i tak przeciętą trać. Mimo wypchanego brzuszka był przedziwnie miękki i liś w ruchach, czaił się, wymykał, ani przez moment nie śmiał spojrzeć w oczy zdrażanego właśnie przyjaciela... I tak chyba Henryk Dudziński grał również na scenie „Poloneza”, pastelowo barwy okazały się jednak zbyt słabe, skierniewicki Burmistrz był mi obojętny, Łódzkiemu — mogę szczerze pogratulować. Ale i odwrotnie, sceny zbiorowe — jak choćby pyszne kostiumowo otwarcie II aktu — komponowały się w Skierniewicach lepiej, z wyznan amfiteatru doskonale widać dynamikę ruchu, gdy w łódzkich warunkach bezlitośnie zamazuje się perspektywa, a obraz jak gdyby spłaszcza.

Dąść jednak tych przeciwstawień, bo wyczerpie cały przydział miejsca, a przecież i aktorzy chcieliby coś od recenzenta usłyszeć. Powiem więc przede wszystkim iż spektakl — w reżyserii Andrzeja J. Dąbrowskiego — nie wydał mi się w pełni wyrównany, sztuka Gorina cała winna być skąpana w poezji, gdy w przedstawieniu zdarzały się sceny jałowe, zdawkowo realizacyjne, służące li tylko posuwaniu naprzód akcji.

Euzebiusz Olszewski włożył bez wątpienia olbrzymią pracę w rolę barona von Munchausena, był ciepły, serdeczny, naturalny, choć —

rzecz dziwna — w Łodzi podobał mi się zdecydowanie bardziej w pierwszej, w Skierniewicach zaś w drugiej części przedstawienia.

Barbara Szymanowska rolę Marty zagrała na jednym, czystym i szczerym tonie bezgranicznie zakochanej kobiety, zabrakło jedynie psychologicznej motywacji dla jej nagłego odejścia, którą trzeba było zmieścić gdzieś tak, żargonem dziennikarskim mówiąc, między wierszami.

Sabina Mielczarek (Jakobina von Munchhausen) miała doskonałą scenę w II akcie, gdy przyciska do muru świętoszkowatego Pastora, tę wszelako postać Remigiusz Rogacki po całej serii interesujących scenicznych osiągnięć — potraktował zaskakująco powierzchownie.

Eugeniusz Korczowski (Teofil von Munchhausen) chyba odrobnie przesadził w nieustannej afektacji, Bogdan Juszczyk (Ramkopf) szczególnie zatrzymał się na pół kroku przed granicą groteski, ładną rolę służącego Tomazasa dał Andrzej Błaszczyk, nie miałbym również zastrzeżeń do stosunkowo mniejszych ról Kazimierza Jaworskiego (Sędzia) i Tomazasa Karasińskiego (Feldfel). Ten ostatni bardzo systematycznie udawał zwłaszcza echo — jeszcze jeden pomysł rodem prosto ze Szwarca.

Scenografia Małgorzaty Trentler, muzyka — Stanisław Syrewicz.

JERZY PANASEWICZ

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej — Grigorij Gorin: „Prawdomówny kłameca” — Uroczysta premiera w Skierniewicach 14 listopada 1978 r.

ZAŁGANA SIELANKA NA PRAWDZIWEJ SŁOMIE

rucznika, a i fortunę Majora na dokładkę, bo hojny zapis rozwiązuje tu sprawę, tak jak dwa majutki Klary pozwalają wołać „Zgodzi! zgodzi!” w finale „Zemsty”. Owym handlowym podejściem do małżeństwa Fredro jest realistą, jak jednak nie gorzej, że komediowa konstrukcja konstrukcją, a życie życiem i jakaś solidna motywacja dla pogodnego zakończenia znaleźć się koniec końców musi.

„Jeżeli to jest życie „nieskomplikowane”, niechże je gęś kopnie. Mnie się ono wydaje diabelnie skomplikowane. I ani rusz nie umiem pojąć, na czym polega jego „pogoda”, jego wyższość nad dzisiejszym, okrzykiem życiem. Nie ma się na co oburzać; takie były obyczaje; ale rozczuliła się, ale wzdychać do tego!”

Tak pisał Boy-Zeleński w roku 1925, od tego czasu minęło jednak kolejnych lat pięćdziesiąt, życie jeszcze bardziej się zdemokratyzowało, liczyć się wprawdzie zaczął status wykształcenia, ale przecież nie posag, czy jakichś tam arystokratycznych koligacji. Prawie już nie wiemy, co to znaczy „żenić się w własnej sferze”, ba, nikogo nie gorzej nawet romans z kucharką, zwłaszcza,

że o kucharkę diablo trudno.

Owo narastające oddalenie w czasie powinno w zasadzie sprzyjać realizacjom fredrowskich komedii, wszystko bowiem było tak dawno, że — jak to mówią — „już nieprawda”, niczego nadto nie bierzemy do siebie i nie próbujemy odczytywać poprzez doświadczenia współczesności. Można grać „Damy i huzary” tak lub owak, stylowo lub nie bardzo, z wiernością dla mundału, lub bez wierności, trzeba je jednak grać wesolo i bujnie, z jakimś organizującym całość nadrzędnym pomysłem, rzecz bowiem nie na solowych popisach się zasadza, a na zespołowym koncercie.

Zdzisław Dąbrowski — wsparty przez scenografią Zofię Pietrusińską — postanowił zagrać rzecz na prawdziwej słomie, z prawdziwą balladą, w której Major moczy bosa nogi i bodaj nawet z prawdziwymi gędczącymi kurami, tyle że nagranymi na magnetofon. Gdyby był kurą, pewnie upomniabym się o taniemu, szesnaście nie jestem, powiem więc tylko nieśmiało iż nie cieszyło mnie to nazbyt. W I akcie हुआ oklaski zerwały się raz tylko, na istotnie efektownie pomysłane, ślicznie charakteryzujące po-

stać Kapelana wejście Jubilata — Janusza Mazanka, wszystko inne ciągnęło się wszakże dość ospale, choć Jerzy Korsztyn w roli Porucznika wcielił się i podskakiwał niby harcerz na biwaku.

Akt następnym — uświetniony wystrzałem z moździerza — poszedł już znacznie zwajwie, w czym główna załuga pań wyraźnie górujących w tej nierównej bitwie. Ostra, wyrazista Orgonowa była Ewa Zdzieszyska, Ewa Frąckiewicz zagrała Anielę na pograniczu szarży, miała jednak kilka scen odprawdy burzliwie zabawnych, Halina Pawlowicz rolę Dyndalskiej potraktowała nieco łagodniej, poprzez odmiennostkę zastosowanych środków bardzo ładnie kontrastując z partnerkami.

Słodką — lecz nie przesłodzoną! — Zosią była Magdalena Cwenońska, mniej ciekawych propozycji miał natomiast reżyser dla trójki pokojówek (Halina Miller, Wiesława Grochowska i Julitta Sekiewicz), które głównie ciekawski wychylały głowy i stukwały do okien swoich chlebobdawczyń, choć one to właśnie — obok szeregowych huzarów — reprezentują w tej sztuce głos rozsądku.

Wspomnianych huzarów — w zasadzie z powodzeniem — zagrał Włodzisław Musiał (Grzegorz), Mieczysław Antoni Gajda (Romb) i Andrzej Łągwa (Kordas), gorzej nieco poszło o fierskiej kadry, którą — tu o wybaczenie proszę — oceniałbym wedle szarzy.

Rola Porucznika jest w sztuce rolą zdecydowanie najgorszą, przeto i

Jerzy Korsztyn w zgodzie ze sceniczną tradycją nie z niej nie zdołał wycisnąć, Ireneusz Karamon zagrał Rotmistrza jakby bez przekonania, wagi — z których prześmiewają się pokojówki — były zupełnie martwe, a przypomnijmy sobie jak genialnie potrafiły grać w Dyndalskiej!

Wreszcie Major, rola złożona, trudna, pełna dwuznaczności, bo uciełwie powiedziawcy ten mocno niemiody pan — przy całej wielokrotniej wystawianej szlachetności — całkiem serio zaczyna zabierać się do najwężej nastolatki, Miroslaw Szonerg pamiętał o tym wszystkim dobrze, gdzie mógł, rolę tonował i tylko od czasu do czasu, wyraźnie przymuszany przez autora, skakał prawie że w farsę, niby pływak w wodę. Dawalo to wrażenie pewnej niespójności, gotów byłem raczej współzależnie Majorowi, niżli się z niego prześmiewać.

Janusz Mazanek zagrał Kapelana z delikatnym, niemal serdecznym humorem, za co jedynie dziękować należy i proszę o jeszcze, co — proszę wierzcie — bynajmniej nie jest jubileuszowym komplementem.

A sam spektakl, cóż, może dojrzeje po kolejnych spotkaniach z widownią, może jeszcze przetoczy się przez salę, huzeje śmiech fredrowski.

J.P.

TEATR POWSZECHNY — Aleksander Fredro: „Damy i huzary” — Reżyseria: Zdzisław Dąbrowski — Scenografia: Zofia Pietrusińska — Muzyka: Jerzy Maksymiuk — Premiera 18 listopada 1978.

Od czasu gdy Boy przekłótł latami nadmuchiwany balonik, nikt nie śmie już bądzurzyć o poczciwości dawnego obyczaju, tak barwnie odmalowywanego we fredrowskich komediach. „Damy i huzary” mogą tu być przykładem niemalże skrajnym: owóż imię Orgonowa w towarzyszywie pary siostrzynek przyjeżdża strączyć osiemnastoletnią córkę trzykroć od niej starszemu własnemu bratu, co — nawiasem mówiąc — zdaje się być sprzeczne z prawem kościelnym i wymagałoby zapewne papieskiej dyspensy...

Najazd dam na wioskę Majora stanowi sprawnie działający motor komedii, zaś Fredro — mając w tej materii nie najradośniejsze doświadczenia własne — charakteryz starszych pań karykaturuje dość złośliwie, wszakoż i gromadka huzarów nie wychodzi w pełni zwycięsko z tej niełatwej próby charakterów. Safandula okazuje się zwłaszcza Porucznik, który mimo dość już zaawansowanego tajemnego romansu z Zosią bynajmniej nie próbuje walczyć o swoją miłość i tyle tylko umie poradzić dziewczynie, aby próbowała zyskać na czasie, pozornie ulegając woli matki i kokietując wujaszka. Ta iże jak z nut, weale zgrabnie odgrywając przewrotną komedię, aż Major biedaczysko taje zaczyna, co od biedy rozumem, bo chociaż od niego młodszy, gdyby mi jakaś urodziwa smarkuła poczęła prawie podobne komplementy, też pewno bym zgłupiał, choć starszym panom głupiej stanowczo nie uchodzi.

Co powikłane, zostanie oczywiście rozplątane, dostanie Zosią swojego Po-

„WEJŚĆ OPowieścią
PROSTO W SERCE..“

Pięć filmów, tylko jedna powieść i kilka zbiorów opowiadań — oto twórcza suma życia Szukszyna. „Wybrańcy bogów umierają młodo”. W przypadku Wasilija Makarowicza ta okrutna prawda brzmi szczególnie dotkliwie. Albowiem jego samorodny talent dopiero nabierał kształtu i siły, stopniowo dojrzał, przyszedł się do tematu, który mógł ujawnić jego rzeczywiście skalę, do filmu o buncie chłopskim Słiepiana Razina. Film miał nosić tytuł „Przyszedłem, aby dać wam wolność” i Szukszyn miał w nim zagrać główną rolę; zdążył napisać tylko scenariusz. Nie dożył jednak i patriotycznej starości, którą opiewał w swoich opowiadaniach i filmach. Nie doczekał się uznania i sławy, która przyszła dopiero po śmierci.

Szukszyn surowo ocenił swój filmowy dorobek. Zaledwie dwa filmy uważał za dzieła dojrzałe: „Kalinę czerwona” i „Pogwarki”. Znamienne, że tylko te dwa filmy spotkały się z aplauzem publiczności. Ogromną wagę przywiązywał do odbioru swojej twórczości, zwłaszcza filmowej. Ciężko przeżywał brak zainteresowania widzów dla swoich — trzech pierwszych utworów. Jego debiut „Jest taki chłopak” przemknął prawie niezauważony przez polskie ekrany kilkanaście lat temu. I dopiero sukces „Kalinę czerwona” zwrócił uwagę publiczności i krytyki na poprzednie filmy, na pewno mniej udane, ale przecież zaznaczone piętnem jego osobliwej filozofii moralnej i intensywnej uczuciowości. Wszystko bowiem co zrobił, wyreżyserował czy napisał nosi od razu czytelny i rozpoznawalny ślad jego osobowości.

„Pogwarki” kryją się w cieniu „Kalinę czerwona”. Wydaje się jednak, że jest to film bardzo istotny dla zrozumienia całej twórczości Szukszyna, tak literackiej jak i filmowej, ujawnia bowiem w krystalicznym sposobie jej podstawową zasadę. Jest to zasada, która wyrasta z ludowych wyobrażeń o sztuce. Wyobrażenia te koljarza sztuki z pieśnią, baśnią, ustnym opowiadaniem. Cel takiego opowiadania jest zawsze taki, aby to, czego się słucha było i ciekawe i potrzebne, aby miało jakiś sens moralny. W ostatnim ujęciu „Pogwarki” ich główny bohater, traktorzysta Iwan Rastorgulow siedzi na zaporowym polu z bosymi nogami w buździe i zwraca się wprost do publiczności: „I to już wszystko, kochani moi”. I ta konwencja ludowego opowiadania po prostu o tym, co się zdarzyło podczas podróży. Wani i jego żona Nurze przekała cały film, niedając mu swoisty klimat intymności, bezpośredniego obcowania z ludźmi na ekranie. Pozwała „wejść opowieścią prosto w serce” — jak wielokrotnie powtarzał Szukszyn.

„Pogwarki” to opowieść — jak często w baśniach i legendach — o podróży. Jej bohaterowie jadą w przeciwnym kierunku aniżeli pamiętny Jegor Prokudin z „Kalinę czerwona”, który z miasta wraca na wieś, do rodzinnych źródeł, jasnych i czystych. Oni jadą z odległej altajskiej wioski na spotkanie cywilizacji. W „Pogwarkach” wraca jeden z podstawowych motywów szukszynowskiej próby — konfrontacja miasta i wsi. Jest to spotkanie dwóch odmiennych sposobów myślenia i wartościowania, stylów życia, słowem — kultur. Szukszyn odrzuca miejskie pojęcia i wyobrażenia na temat wsi. Ujawnia rzeczywistą pseudokulturę miasta i jego fałszywe wartości, a przeciwstawia im głęboki instykt moralny wsi.

W „Pogwarkach” Szukszyn po raz pierwszy wystąpił w swoim filmie jako aktor i stworzył kreację, która stała się centrum całego utworu. Podróż do miasta staje się tutaj podróżą w głąb charakteru rosyjskiego chłopca. Szukszyn w kolejnych scenach odsłania ogromne bogactwo psychologiczne tej postaci, które zasada się na grze kontrastów: od pełnego zaufania do skrajnej podejrzliwości, od skrepowania wielkimi kompleksami do pyszałkowanej swobody, od naiwności do chytrności, od dobrotliwej prostoduszności do gniewnego uniesienia itd. Te zmiany reakcje Wani są rezultatem jego dostosowania się do zmieniających się sytuacji i świadczą o pragnieniu uchwycenia sensu innych niż wielkie, niepojęte norm zachowania. Na wsi wszystko było jasne, oczywiste i ustalone. Tutaj sytuacja ciągle zmienia się, a każda zmiana grozi niebezpieczeństwem.

Film Szukszyna skrzy się niewymowną wielością obserwacji obyczajowych i psychologicznych, jakichś znakomicie trafnych mikrogestów i odruchów a także doskonałym, socystycznym dialogiem, który notuje wszelkie odcięcia potocznej mowy i miejskiego i wiejskiego.

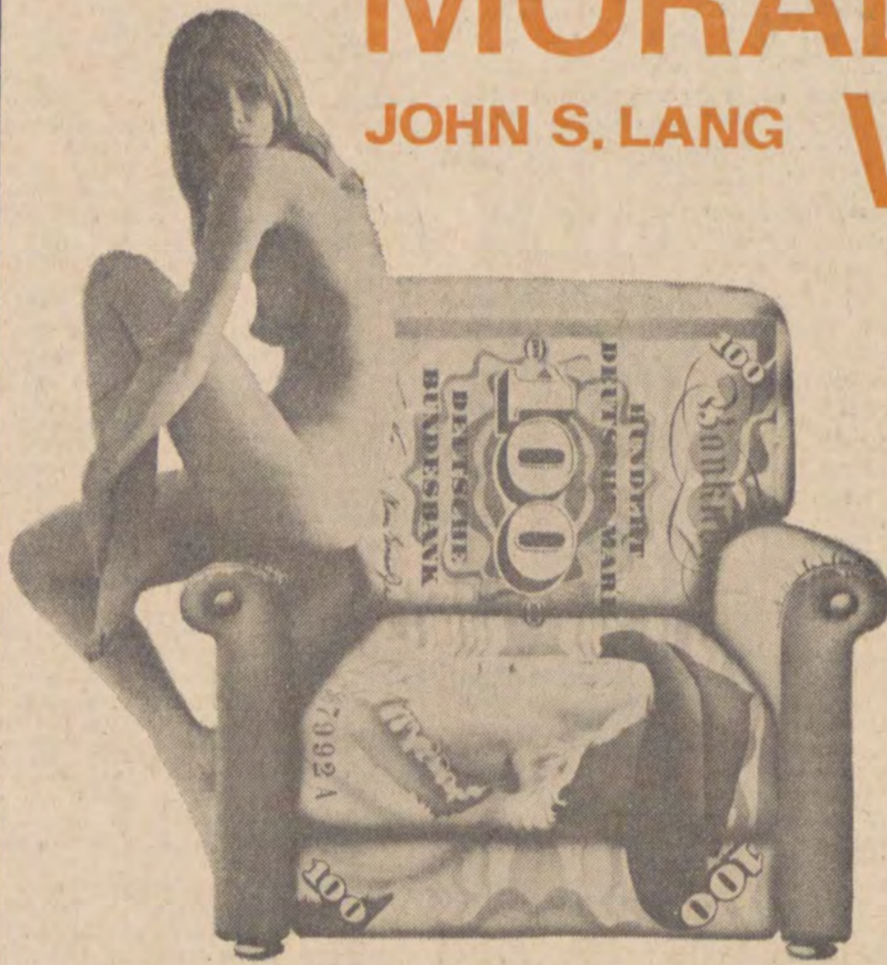
Dochoł tutaj do głosu ze znacznie większą siłą satyryczny humor Szukszyna, który nie oszczędza nikogo, także zaplątanych w miejskie tryby ludowych bohaterów. Pewną słabością „Pogwarki” jest zdecydowanie mniej sugestywne ukazanie życia w mieście, sekwencja moskiewska jest blada, film w tym miejscu wyraźnie traci oddech.

„Pogwarki” są wstępem do „Kalinę czerwona” nie tylko ze względu na kreację Szukszyna, ale także na podobny krag problemowy, atmosfery obyczajową i moralną. Nie mają jednak w sobie nic z owego krzyku serca, egzystencjalnej nostalgii, która przeszywała tamten film. Zwykły komediowy zagłuszał tutaj żywioł liryczny. To opowieść o ludziach, którzy będą żyli długo i szczęśliwie.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

MORALNOŚĆ W BIZNESIE

JOHN S. LANG



Amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Walut (SEC) poszukuje nielegalnych wpłat, jakie amerykańskie koncerny dokonują na rzecz partii politycznych, przedstawicieli zagranicznych rządów. Od grudnia 1977 roku w USA obowiązuje zakaz dokonywania takich transakcji.

Drukujemy następną część „Raportu specjalnego” — część pierwszą ukazała się w poprzednim numerze „Ogłoszeń” — jaki opublikowało amerykańskie pismo U.S. NEWS AND WORLD REPORT.

SEC zwróciła się do Sądu Federalnego o wszczęcie postępowania karnego przeciwko International Telephone and Telegraph Corporation (ITT) w związku ze zlekczeniem przez te firmy żądania dostarczenia dokumentów dotyczących 9 mln dolarów wydatkowanych prawdopodobnie na nielegalne wydatki dla klientów zagranicznych. Dwóch urzędników ITT obroniło swą niewinność wobec zarzutów, krzywoprzysięstwa podczas zeznań przed trybunałem senackim, które rozpatrywało sprawę przekazania przez te firmy 350 tys. dolarów przeciwnikom byłego marksistowskiego prezydenta Chile, Salvadora Allende.

Control Data Corporation została w 1978 roku uznana winną przygotowania planu nielegalnych płatności na rzecz osobistość zagranicznych i skazała ją na 1.380 tys. dolarów grzywny. W innej rozpatrywanej w 1978 roku sprawie Williams Companies działałacy w Tulsa konglomerat zajmujący się nawozami sztucznymi, metalami i oerzrzadzowaniem do rurociągów został skazany na 198 tys. dolarów kary no udowodnieniu mu podobnych zarzutów.

Dalsze rozprawy sądowe mogą wyniknąć z 360 przypadków badanych przez władze celne, które stały się katalizatorem w ściganiu pozwalcen prawa przez korporacje ponadnarodowe działające na podstawie Ustawy o Talemiach Bankowej i przepisów antydumpingowych. 30 agentów celnych wsoobracacie z prawnikami Ministerstwa Sprawiedliwości w tych sprawach. Firmom amerykańskim zarzuca się niekiedy zarówno dawanie jak i korzystanie z nielegalnych rabatów za granicą.

Najwyżsi urzędnicy Ford Motor Company sa oskarżeni, w sprawie o oszukanie na 50 mln dolarów akcjonariuszy o wzięcie łapówki w wysokości 2 mln dolarów od „najwyższych osobistość rządu filipińskiego” za zbudowanie przynależnej straty fabryki na wyspach. Ford zaprzecza zarzutom.

W jednym z zakrojonych na najszerszą skalę w historii śledztw w sprawie oszustw prowadzonych przez władze celne inny oddział specjalny zbiera dowody domniemanych tajemnych płatności na rzecz importerów amerykańskich ze strony japońskich producentów telewizorów. Około 100 kompanii amerykańskich zostało obłożonych śledztwem w tym: Sears, Roebuck and Company, J.C. Penny Company, General Electric Company, Montgomery Ward and Company i Western Auto Supply Company. Wyśiiki skupiały się na dowiedzeniu zarzutu że firmy te otrzymywały tajny rabat w wysokości od 5 do 15 dolarów od każdego sprzedanego japońskio odbiornika telewizyjnego, i że

Zalew dowodów nielegalnej działalności kół gospodarczych wyciąganych na światło dzienne bierze się po części ze zmiany podejścia przez instytucje federalne. Trend do badania tych spraw wywołany skandalem Watergate został przyspieszony przez prezydenta Cartera, który skarżył się, że „wielec fałszerze unikają poniesienia pełnych konsekwencji za swoje poczynania” i nakierował władze wykonawcze na likwidowanie przestępstw urzędniczych. Śledztwa wykazują, że w pewnych dziedzinach działalności przedsiębiorstw prywatnych zwłaszcza w transporcie, handlu alkoholami i w dostawach dla armii, świadczenia lub przynajmniej kosztowne zledźwanie sobie ludzi jest praktyka powszechna od lat.

Ujawniając zakwestionowane płatności Seagram Company, SEC oświadczyła:

„Dawanie obfitych napiwków kelnerom i właścicielom baru w nadziei, że wykaże dobra wole i zwiększą sprzedaż produktów przedsiębiorstwa, jest powszechna praktyka handlowa. Urzędnicy dają upominki i niewielkie sumy pieniędzy oficjalnym przedstawicielom władz, agentom zamówień, przedstawicielom związków zawodowych, jak też urzędnikom i klientom, by zapewnić sobie ich pozytywne podejście.”

Siły zbrojne odkryły, że mogłyby zmniejszyć o 6 proc. rachunki placowe za mięso stosując rozwiązanie zalecone przez Senat, który określił sposób zaopatrywania się przez wojsko jako przearty przez przekupstwa od dostarczenia biletów na mecze piłki nożnej do poddawania prostytucji.

Władze zarzucają firmie Joseph Schlitz Brewing Company w akcie oskarżenia obejmującym 747 naruszeń prawa, nielegalne wypłacenie 947 575 dolarów 72 różnym detalistom w tym również takim jak Chicago Cubs i zespoły koszykowi Texas Rangers, Dobbs Houses Inc., Rec Lobster Inns, Hilton Hotels oraz przedstawiciele nielegalnych handlarzy alkoholem w stanie Alabama.

Jedną z najbardziej skomplikowanych spraw łapówkowych w ostatnich czasach zakończyła się w listopadzie ub roku, kiedy to 5 oskarżonym udowodniono udział w przekupstwie na sumę 1,3 mln dolarów, jakie wypłacił Ingram Corporation, konglomerat z Nowego Orleanu, by uzyskać wielomilionowy kontrakt od władz miejskich Chicago.

Wzburzył kolejny skandal, kiedy był wiceprezes Ingram — William J. Benton przyznał, iż srozelewierzył 500 tys. dolarów przeznaczonych na łapówki Benton zeznał że wydał połowę tych pieniędzy „na prezenty dla mojej żony, na kobiety w Europie, na Dalekim Wschodzie i w Australii oraz na moje osobiste rozrywki”.

Świadczenia nie zawsze mają postać gotówki. Przedsiębiorca budowlany, Robert J. Lowry z Hyattsville, stan Maryland, spowodował śledztwo prowadzone przez władze federalne, kiedy obwiniał przedstawicieli General Services Administration o to, że domagały się opłacania im podróży, podsyłania call girls i bezpłatnego mieszkania ich domów, jak też gotówki w zamian za przyznawanie przez nich kontraktów rządowych. Federalne władze śledcze badała sprawozdawczość 60 przedsiębiorstw budowlanych i mówi się, że znaleziono dowody na wypłacenie 2 mln dolarów za prace, które nigdy nie zostały wykonane.

Osoby prowadzące śledztwo z ramienia Interstate Commerce Commission poinformowały podkomitet Senatu, że nie wykryły łapówki i świadczenia na rzecz ekspedycji 2 mld dolarów rocznie spoadała na konsumentów w postaci wyższych kosztów jak też o tym, że wykryły wiele przypadków wydawania wystawnych obiadów i opłacania wakacji urzędnikom federalnym. Southern Railway wydał na 1,2 mln dolarów na rozrywki dla personelu federalnego, Fir-

ma ta zapłaciła np. w 1975 roku 400 tys. dolarów za karmę dla ptaków, na które polowano w fednej z miejscowości wyloczynkowych. Pewien urzędnik śledczy mówi:

— Zrobili oni wszystko z wyjątkiem wytreningowania ptaków, by leciały prosto na lufy.

Okazywanie podejrzanych względów i świadczeń staje się znacznie powszechniejsze na niższych szczeblach administracji. Na początku tego roku CHICAGO SUN-TIMES polecił reporterom obserwowanie pewnej tawerny, która pogwałciła wszystkie miejskie przepisy budowlane. W ciągu 4 miesięcy ich działania w tawernie nie było ani razu kontroli ze strony władz miejskich. Właściciel otrzymywał nieustanne żądania łapówek: inspektor pożarowy domagał się 10 dolarów, inspektor od instalacji 100 dolarów, zaś inspektor od wentylacji 150 dolarów. SUN TIMES i Better Government Association uważają, że jedna trzecia mieszkańców Chicago wie o takich sprawach lub była w nie zamieszana.

Trzyletnie śledztwo zostało ukończone aresztowaniem przez agentów FBI 18 osób, w tym szefów Towarzystwa Zesłużowego i kierowników dwóch oddziałów terenowych w Miami International Longshoremen's Association (ILA) na podstawie zawierającego 70 zarzutów aktu oskarżenia w sprawie łapówek wypłacanych przez porty na wybrzeżu atlantyckim i w Zatocie Meksykańskiej instytucjom odpowiedzialnym za konserwację wybrzeża morskiego. Przedstawiciele administracji informują że przedstawiciele stolec wobec wymuszania i zastraszania dawali przedstawicielom ILA łapówki i świadczenia w postaci setek tysięcy dolarów w gotówce, biletów na wycieczki statkami i innych kosztownych upominków.

Naukowcy prawnicy uważają, że arbitralne i dyskryminacyjne orzecznictwo sądowe nie działa dostatecznie odstraszająco na przestępczość urzędniczą. Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników podało, że 90% osób skazanych za narady na banki wędruje do więzienia, ale tylko 17% skazanych za srozelewierzenia funduszy bankowych wędruje za kratki. Opracowany przez American Management Association projekt walki z przestępczością gospodarczą ujawnia, że ustawodawstwo stanowe jest niewystarczające do ścigania. Do ubiegłego roku w stanie Indiana przekupstwo handlowe karano grzywną od 25 do 100 dolarów. August Bequaj, specjalista od zagadnień prawnych w American University, uważa, że przy istniejącym ustawodawstwie jest rzeczą niemożliwą, by kół gospodarcze uniknęły wciągnięcia w proceder łapówkowy.

Władze stanowe sa coraz bardziej świadome problemu łapówek. Dzięki pożyczce federalnej w wysokości 328 tys. dolarów Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników opracowało wzorcowy model dokonywania zakupów przez władze stanowe, który został zastosowany w Kentucky a rozpatrywany jest w Tennessee, Arkansas, Maryland, Zachodniej Wirginii, Pensylwanii i Teksasie. Carl Pallo, doradca prawni do spraw budowlanych w stanie Kentucky ocenia, że nowy model może zmniejszyć o 20 procent wydatki władz stanowych. Stosując ten wskaźnik dla wszystkich stanów i władz lokalnych w całym kraju roczne oszczędności mogą przekroczyć 17 mld dolarów. Kongres zdecydował przelać coraz większe zainteresowanie defraudacjami i stratami powstającymi przy zaopatrywaniu administracji.

August Bequaj twierdzi, że:

— Przekupstwa i korupcja sprawiła, że demokracja jest mniej skuteczna i podkopana zaufaniem ludzi — mówi on. Na dalszą metę można dojść do punktu, w którym system straciłby poważanie, iż ludzie nie będą wierzyć w niego.

U PRZYJACIOŁ

LAUREACI RADZIECKICH NAGRÓD PAŃSTWOWYCH. Jednym z ważnych akcentów 81 rocznicy Rewolucji Październikowej było przyznanie nagród państwowych ludziom szczególnie zasłużonym dla gospodarki, nauki i techniki oraz kultury. Laureatów w dziedzinie literatury i sztuki przedstawił na łamach „Izwesti” T. Chrennikow, członek komisji nagród. Wśród nich znaleźli się wybitni i popularni twórcy. D. Gračin otrzymała nagrodę za powieść „Klawdia Wilor”, ukazująca bohaterstwo kobiety-oficera w czasie wojny. Za poemat „Orli sto” i „Wież” poświęcone życiu współczesnego Kazachstanu przyznano nagrodę poecie D. Moldagaliewowi. Wyróżniono nagrodą W. Astafiewa w książce „Niezwykła ryba” podejmującej problemy ochrony środowiska człowieka. Laureatem w dziedzinie literatury został również A. Aleksin, pisarz szczególnie popularny wśród najmłodszych czytelników, którego książki posiadają wysokie walory dydaktyczne. Popularnego poety A. Woznieńskiego wyróżniono za całość twórczości z podkreśleniem walorów jego najmniejszego tomu „Mistrz sztuki witrażowej”. W dziedzinie muzyki i działalności koncertowo-wykonawczej nagrodę przyznano kierownikowi artystycznemu znanemu chóru ukraińskiego im. G. Wierowskiego — A. Awdijewskiemu, zasłużonemu solistom zespołu im. Aleksandra — I. Bielajewowi i A. Siergiejewowi. Na także dwyrętowni estońskiego N. Järviemu. Laureatem w dziedzinie muzyki został również znany twórca oper i symfonii operowych na folklorze rosyjskim — A. Chochłimow. W dziedzinie teatru wyróżniono twórców spektaklu — adaptacji powieści Szolochowa „Cichy Don”, która wystawił leningradzki Teatr im. Gorkiego w reżyserii G. Towstonogowa. Nagrodą wyróżniono twórców filmowej kroniki satyrycznej „Fittil”, wśród których znajduje się znany pisarz, kierownik artystyczny tego zespołu S. Michalkow. W dziedzinie filmu fabularnego laureatem został reżyser G. Daniilija, w szczególności za film „Mimino”. Nagrody przyznano również grupie realizatorów telewizyjnych filmów seryjnych „Nasza biografja” i „Zrodzona z rewolucji”. Przyznano także nagrody w dziedzinie plastyki i architektury.

CZECHOSŁOWACKI RYNEK WYDAWNICZY. W Czechosłowacji ukazuje się rocznie ok. 7 tys. tytułów książek w łącznym nakładzie ponad 80 mln egz. Ceny książek nie są wysokie, a nakłady ciągle rosną, co sprawia, że książki docierają do szerokiego kręgu odbiorców. Szerokiemu rozpowszechnianiu literatury sprzyja także sieć 45 tys. bibliotek. Obecnie na jednego mieszkańca przypada rocznie 3,5 egz. (w okresie międzywojennym — 2,2 egz.) co daje Czechosłowacji czołowe miejsce w świecie. Działalność wydawnicza prowadzi 56 różnego rodzaju instytucji wydawniczych, skupionych przeważnie w Pradze i Bratysławie. Także czechosłowacka specjalnością są masowe kluby czytelnicze, których głównym celem jest odpowiedni dobór literatury rodzimej i przekładowej w starannym opracowaniu edytorskim i po przystępnych cenach. Kilkanaście lat temu przy wydawnictwie „Czechosłowacki spisowatel” założono „Klub Przyjaciół Poezji” zrzeszający ponad 25 tys. członków. W sercach wydawniczych tego klubu ukazało się ponad 200 tytułów, o łącznym nakładzie 3 mln egz.

POLONICA KULTURALNE W NRD. Dużym zainteresowaniem cieszą się w Niemczech Republice Demokratycznej książki polskich autorów. Ogółem przetłumaczono na język niemiecki ok. 600 tytułów. Wśród pozycji, które wydano w br. znajdują się m.in. książki Orzeszkowej, Dąbrowskiej, Brezki, Czeskiej, Holuj, Redlfińskiego, Żaluskiego. Do najbardziej znanych i noszących nazwę utworu Prusa, Sienkiewicza, Kraśwskiego, Borowskiego, Lema, Putramenta, Fiedlera, Meissnera. Wśród publiczności kinowej popularność zdobywają polskie filmy, które dość licznie goszczą na ekranach. Obecnie na ekranach znajduje się film B. Poreby „Gdzie woda czysta i trawa zielona”. Polskie filmy są także często emitowane w programach telewizji NRD. Obecnie w pierwszym programie nadawany jest „Czerdziesiątek”, a w drugim „Kolumbowe”. Ciekawymi i oczekiwanymi gośćmi są w NRD polskie zespoły muzyczne, estradowe, symfoniczne, a także występy solistów. W repertuarach teatrów znajdują się sztuki polskich dramatów, podobnie jak prace naszych plastyków trafiają często do salonek wystawienniczych. Do ważniejszych imprez kulturalnych przewidziano w mieście na nadbrzeżu nadanie w Warszawie, występy Filharmonii Wrocławskiej w Dreźnie, wystawy wydawnictw „Książki i Wiedzy”. Wiele kolejnych spotkań z polską kulturą zapowiedziano również na najbliższą przyszłość.

7 listopada zakończyli się w Stanach Zjednoczonych tzw. wybory częściowe: dokonano ponownego wyboru członków Izby Reprezentantów, 1/3 członków Senatu, 2/3 gubernatorów stanów i miejscowych organów władzy. W sztabach partii dominujących na amerykańskiej arenie politycznej — republikanów i demokratów — dokonano bilansu zysków i strat. Partia Demokratyczna utrzymała w Izbie Reprezentantów Kongresu większość, chociaż utraciła 13 mandatów. Posiada ona obecnie 274 miejsca z ogólnej liczby 435. W Senacie będzie mniej o 3 przedstawicieli Partii Demokratycznej niż w poprzednim składzie: 59 wobec 41 republikanów.

W wyborach gubernatorów, w 36 stanach członkowie Partii Demokratycznej stracili 5 miejsc. Od tej chwili w 18 stanach, spośród 50 stanowiska gubernatorów zajmują członkowie Partii Republikańskiej. Wyniki głosowania pokazały iż większość Amerykanów nie zgadza się na odgrywanie roli statystów w tym spektaklu politycznym. Dwie trzecie obywateli USA mających prawo głosu zbojkotowało wybory i nie poszło do urn wyborczych. Dla większości Amerykanów polityka sprowadza się po prostu do wyboru między demokratami a republikanami. Już ponad sto lat wybory obracają się wokół nazw tych dwóch głównych politycznych konglomeratów. Zdaniem wielu autoritetów, obserwuje się obecnie pewne osłabienie ich struktury, niemniej te dwie partie nadal określają amerykański proces wewnętrzny. Przynależność partyjna zachowuje swoje znaczenie. Jeśli chodzi o zwycięstwo na wyborach, ale jej waga wśród wyborców nie jest już tak wielka jak była kilka lat temu. Badania opinii publicznej wskazują, że blisko 1/3 część amerykańskich wyborców uważa się za niezależnych i głosuje na kandydatów nie ze względu na ich przynależność partyjną, lecz powodując się własną oceną zalet i zdolności kandydata, jego pozycją i stosunkiem do najważniejszych problemów kraju. Niezadowolony społeczeństwo, z dwupartyjnego systemu stało różnie. Wskazują na to: spadek liczby wyborców faktycznie biorących udział w głosowaniu; wzrost liczby wyborców nie związanych z żadną z obu partii, rosnąca rola „trzecich partii” i okolicznościowych politycznych koalicji, stworzonych gwałtownie, konkretnych celów w wąskim zakresie. Coraz mniej wyborców widzi jakąś istotniejszą różnicę między republikanami a demokratami. To także sprzyja osłabieniu wpływów obu partii.

Ponieważ wynik wyborów określa się ilością głosów, przede wszystkim zadaniem partii jest przyciągnięcie możliwie największej liczby wyborców. Tradycyjnie oznacza to, iż partia, republikańska bądź demokratyczna, ustawia się na możliwie najszerszej chociaż mglistej platformie politycznej. Uważa się, że jeśli partia zamierza na serio walczyć o stanowisko prezydenckie to jej program powinien zainteresować wiele warstw amerykańskiego społeczeństwa — biznesmanów, farmerów, robotników, mniejszości etniczne i tak dalej. Doprowadziło to do tego, że — takiego zdania jest większość Amerykanów — między obu partiami nie ma różnicy, chociaż republikanie, w porównaniu z demokratami, trzymają się zazwyczaj nieco bardziej konserwatywnej filozofii politycznej.

W rzeczywistości maszyny partyjne zaczynają się obracać dopiero wraz ze zbliżeniem się wyborów prezydenckich. W terenie wybierają delegatów na zjazd krajowy, organizują wiece przedwyborcze, zbierają

pieniądze na kampanię wyborczą i sondują nastroje wyborców. Liderzy partii na szczeblu krajowym organizują i ukierunkowują krajowy zjazd partii, na którym wysuwa się kandydata na prezydenta, a później kiedy został już wybrany, pomagają w prowadzeniu partyjnej kampanii wyborczej do Senatu i Izby Reprezentantów.

Każdy obywatel w wieku 18 lat może się przyłączyć do partii po zarejestrowaniu się w charakterze członka; w niektórych stanach wystarczy do tego głosowanie na partię na wyborach wstępnych. Przynależność do partii nie pociąga za sobą ani określonych obowiązków, ani płacenia składek. Kobiety stanowią 51,3 proc. ludności kraju i 52,2 proc. wyborców, ale zajmują zaledwie ok. 8 proc. stanowisk w wyborze. W tym roku w Kongresie, wśród 535 członków (435 w Izbie Reprezentantów i 100 w Senacie) znajduje się tylko 20 kobiet. Stanowiska gubernatorów zajmują tylko dwie kobiety, a wicegubernatorów — 3. Murzyni, którzy teoretycznie otrzymali prawo głosu już w 1870 roku, do roku 1965 (ustawa o prawach wyborczych) zajmowali minimalną ilość stanowisk w wyborze. W 1978 roku w Izbie Reprezentantów było 16 Murzynów, a w Senacie

autoreklamie współczesnych kandydatów, których dobiera się bardzo starannie nawet pod względem wyglądu zewnętrznego licząc się z telewizyjnym audytorium.

W minionym stuleciu kandydaci rzadko opuszczali swoje domostwa i miejsca pracy żeby prowadzić kampanię wyborczą. Nawet wycieczki do prezydenckiego fotela odbywały się jak gdyby w czasie pracy. Jeszcze w 1896 roku republikanin William McKinley wygrał kampanię z „reprezentacyjnym skrzydłem” swego domu w stanie Ohio. Nie sposób porównać ówczesnej niefrasobliwości z dzisiejszymi stresami kandydata, występującego na samym środku areny w głównym przedstawieniu tego latającego cyrku, czy też skazanego na całe miesiące wycieczki z miasta do miasta i mieszkania na walizkach. Prezydent Jimmy Carter, jak informowała swego czasu prasa amerykańska, rozpoczął wycieczkę już cztery lata przed wyborami i prawie ani razu nie zszedł z politycznej błęźni wycieczkowej. Dziś, kandydaci nim przystępują do kampanii przedwyborczej nie rzadko uczęszczają do specjalnych szkół, a nawet biorą lekcje sztuki krasomówstwa. Współczesna kampania polityczna w USA wymaga złożonej struktury organi-

USA POWYBORCZE REFLEKSJE

cie jeden. Dwóch Murzynów zajmuje stanowiska wicegubernatorów. Ta ilość przedstawicieli ludności murzynskiej na stanowiskach z wyboru jest zupełnie nieproporcjonalna do liczby Murzynów, zamieszkujących Stany Zjednoczone (12 proc. ogółu ludności USA).

Decydującą rolę wśród amerykańskich wyborców — jak podkreśla publicysta amerykańskiego dziennika „US and World Report” — odgrywa obecnie nie republikanie i nie demokraci, lecz mglista i duża grupa obywateli kraju, nazywająca siebie niezależną. O nich zabiega się najbardziej. Z badań Instytutu Gallupa wynika, iż liczba Amerykanów uważających siebie za niezależnych wzrosła z 16 procent w 1967 roku do 31 proc. w roku 1977. W konsekwencji wszystkie krajowe i terenowe kampanie przedwyborcze są nastawione przede wszystkim na przyciągnięcie niezależnych. Ale jako kandydaci, niezależni nie odgrywają istotniejszej roli.

Zawiości i koszt kampanii przedwyborczej — od wyborów do rady miejskiej aż po wybory prezydenckie — wzrosły ostatnimi laty w nieprawdopodobny wprost sposób. Obecnie krajowe kampanie przekształciły się w kosztujące wiele milionów dolarów bufonady, do których wprzęgnięto specjalistów z zakresu badań opinii publicznej, profesjonalnych menedżerów kampanii wyborczych, ośrodki komputerowe, reklamy telewizyjne, radio, prasę itp. Kampanie wyborcze do Kongresu przybrały charakter, pod wieloma względami, miniaturkowego wzorca wycieczek prezydenckich, różniąc się od nich jedynie skalą szumu. Dawniej wymagało się tylko nieco więcej zwykłej informacji o kandydacie i kilku fajerwerków politycznego krasomówstwa. Kandydat ze znanym nazwiskiem i dobrą reputacją wśród właścicieli ziemskich w ogóle rzadko się zetknął z jakąś opozycją na wyborach. Te dostojne wybory ustąpiły obecnie miejsca zażartej

zaczynnej, udziału mnóstwa specjalistów i ekspertów. Wielu z nich, kiedy kandydat zwycięży, otrzymuje stanowiska w jego aparacie administracyjnym. Nie wszyscy ci pomocnicy są zwolennikami kandydata na to czy inne stanowisko. Mogą to być tylko profesjonalni polityczni konsultanci udzielający porad za honorarij. Najważniejszą rolę odgrywa jednak członek „kwatery głównej”, który trzyma w ręku finanse całej kampanii wyborczej, zdobywa pieniądze na opłacanie wydatków idących nieraz w grube miliony dolarów. Wyjątkowo ważną rolę w kampaniach przedwyborczych odgrywają masowe środki informacji. Na przykład w kampanii 1976 roku, Cartera — Forda, na reklamę telewizyjną, prasę, wiece i wyciąganie pieniędzy od wyborców wyrzucono setki milionów dolarów.

Te polityczne kampanie nie tylko się skomplikowały, lecz nabrały także brzydkich cech personalnych rozgrywek. Najnowszym wariantem tej „twardej taktyki” były brudne chwytły Nixona. Jednakże nie cała kampania odbywa się przed oczami społeczeństwa. Wiele dzieje się za kulisami, gdzie kandydaci walczą o poparcie wpływowych grup finansowych, przetróżnych lobby, związków zawodowych lub koncernów. Muszą zawierać przyjaźnie z ludźmi z kręgu amerykańskiej oligarchii, od których oczekują pomocy finansowej. Herbert Alexander, autor książki „Finansowanie polityki”, ocenia koszty kampanii prezydenckiej Lincolna w 1860 roku na sumę 100 tys. dolarów. W 1976 roku kampanie wyborcze obu partii kosztowały już, ogółem, około 545 milionów dolarów.

Większość Amerykanów przyznaje iż w zasadzie bardzo mało wie o tej politycznej grze. Przeciwny wyborca przebiega oczami przedwyborczą broszurę kandydata, wymienia opinie z kilkoma znajomymi i idzie do urny wyborczej.

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

● Z 10 milionów ludności państw arabskich leżących nad Zatoką Perską, Arabii Saudyjskiej, Omanu, Bahrajnu, Kataru, Kuwejtu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA) — połowę stanowią obokrajowcy. W ZEA niemal wszyscy robotnicy, tj. mniej więcej 380 tys. osób, czyli 80 proc. ludności, są imigrantami. W Katarze stanowią oni ok. 65 proc. ludności, Bahrajnie — 80 proc., w Kuwejcie — 70 proc. całej siły roboczej i ponad połowę ludności. Brak rąk do pracy w Arabii Saudyjskiej jest jedną z głównych przeszkód stojących na drodze ekonomicznego rozwoju kraju. Przyjmuje się, iż Arabię Saudyjską zamieszkuje ok. 7 mln ludzi (spisu ludności nigdy tam nie przeprowadzono i podane liczby demograficzne są przybliżone-red.), z których ok. 1,5 mln prowadzi do dnia dzisiejszego koczowniczy tryb życia, a ponad 1 mln zagranicznych robotników mieszka tam już stale lub przebywa od dłuższego czasu. Z pozostałych ok. 4 mln mieszkańców połowę — kobiety nie biorą udziału w sferze produkcji — około pół miliona stanowią dzieci. Tak więc własna, czynna zawodowo ludność królestwa nie przekracza półtora miliona osób. Zgodnie z prognozą japońskiej kompanii lotniczej „Japan Airline”, przewiezienie one do Arabii Saudyjskiej w ciągu najbliższych 4 lat dalszych 300 tys. robotników z innych regionów świata. Tak więc już wkrótce rząd tego kraju stanie przed najostrowszym problemem w historii Arabii Saudyjskiej („Middle East”).

● 11 listopada naród Angoli świętował pamiętną datę w historii kraju — trzeci rocznicę niepodległości. Młoda republika, po całkowitym uwolnieniu się z pętów kolonializmu, pracuje dziś samodzielnie nad urzeczywistnieniem najważniejszego zadania obecnego etapu rewolucji — odbudową zrujnowanej gospodarki narodowej, umacnianiem politycznej i ekonomicznej niezależności.

● Działalność prywatnej zachodniemieckiej firmy „Orbital Transport and Rocket AG (OTRAG)” wzbudza głęboki niepokój światowej opinii publicznej. Wydzierżawiając od rządu Zairu terytorium o pow. 200 tys. km kw. „na nieograniczone użytkowanie” aż do 2000 roku, firma OTRAG wybudowała tam poligon do prób doświadczalnych z raketami. Oficjalnym celem tych eksperymentów jest konstruowanie „tanich” raket, wynoszących na orbitę sztuczne satelity Ziemi. Jednakże, jak przynajmniej sami właściciele firmy, rakiety te mogą być także użyte dla celów militarnych. Istnieją liczne dowody ścisłej współpracy OTRAG z zachodniemieckimi koncernami wojskowo-przemysłowymi. Prasa światowa podkreśla, iż działalność tej firmy nigdy by nie była możliwa, gdyby nie jej powołanie z określonymi kołami bloku NATO („Spiegel”).

● Piractwo jest po dziś dzień prawdziwą plagą dla rybaków i statków handlowych pływających po Morzu Południowo-Chińskim. Piraci z Sumatry stale napadają na kutry rybackie i statki handlowe w Cieśninie Malakka. Jedną z firm japońskich uznano „rodzj filipińskie za tak niebezpieczne dla żegluga, iż nakazała swoim statkom rejsy do Indonezji z pominięciem Filipin. Statkom pasażerskim i turystycznym zaleca się omijanie Morza Celebes. Czasz haka, abordażu i szpady dawno już przeminęły. Azjatyccy piraci dokonują napadów, atakując niespodziewanie z zamaskowanych zatok na szybkie i mocnych kutrach, czestokroć opancerzonych. Są uzbrojeni w karabiny maszynowe, granatniki a nawet rusznice przeciwpancerne. Chciwość piratów nie zna granic, podobnie wreszta jak i ich okrucieństwo: spośród 500 osób, które w ub. roku padły ofiarą napadu piratów, aż 300 zamordowano i utopiono. („Times”).

● W Liverpoolu, gdzie dotąd do bójek ulicznych odnoszono się ze spokojem i pewną tolerancją, odczuwa się dziś dość zaniepokojenie mieszkańców. Liczba przestępstw z uszkodzeniem ciała ofiar gwałtownie wzrosła (20 proc. w ciągu paru miesięcy), co bardzo zespoło reputację miasta. Właściciele hoteli twierdzą, iż tracą z tego powodu 3 mln funtów szterlingów rocznie, ponieważ ludzie interesu boją się zostać w mieście na noc. Ponadto, tylko w tym roku, z ulic Liverpoolu skradziono 13.524 samochody. („Guardian”).

(C)

PROGRAM SKUTECZNYCH KROKÓW

Narada państw Układu Warszawskiego

Wydarzeniem najwyższej wagi, zawsze pilnie śledzonym, są obrady Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego. Dzieje się tak, ponieważ państwa socjalistyczne swą aktywną polityką międzynarodową torują drogę trwałemu pokojowi i partnerskiej współpracy, a Komitet Polityczny każdorazowo starannie analizuje aktualną sytuację i wyciąga z niej praktyczne wnioski.

Zakończony w miniony czwartek obrady w Moskwie przyniosły wspólna deklaracja, która przede wszystkim wynosi problem rozbrojenia i wyraża gotowość państw socjalistycznych do dialogu z Zachodem na ten najaktualniejszy obecnie temat. Aż pięć z osmiu punktów apelu do wszystkich państw i narodów dotyczy szeroko rozumianej problematyki rozbrojenia.

Propozycje krajów socjalistycznych są czytelne: wyeliminować z arsenałów mocną porażeniową pięć mocarstw nuklearnych: broń jądrową, ograniczyć budżet

ty wojskowe, doprowadzić do pominięcia o finau rokowania radziecko-amerykańskie na temat zbrojeń strategicznych, zredukować siły zbrojne i rozbrojenia w Europie środkowej (o czym od pięciu lat dyskutuje się w Wiedniu), podjąć negocjacje na temat tych czynników odpowiedzialności militarnej, które dotychczas nie są przedmiotem żadnych rozmów, w szczególności wyczerpie stosowania siły, porozumieć się co do tego, że państwa, które zbliżyły swe podpisy pod Aktem Końcowym KBWE, nie użyją jako niweczone przeciwko sobie broni nuklearnej.

Prócz tego, najobszerniej potraktowano problem, problemu rozbrojenia deklaracja sformułowała postulaty: potężna ostatecznego zresu kolonializmowi i jego nowym formom, pełnego poszanowania suwerenności, przestrzegania zasad równoprawności i nielingerencji w sprawy wewnętrzne. Przedstawia więc program takiej odnowy stosunków międzynarodowych,

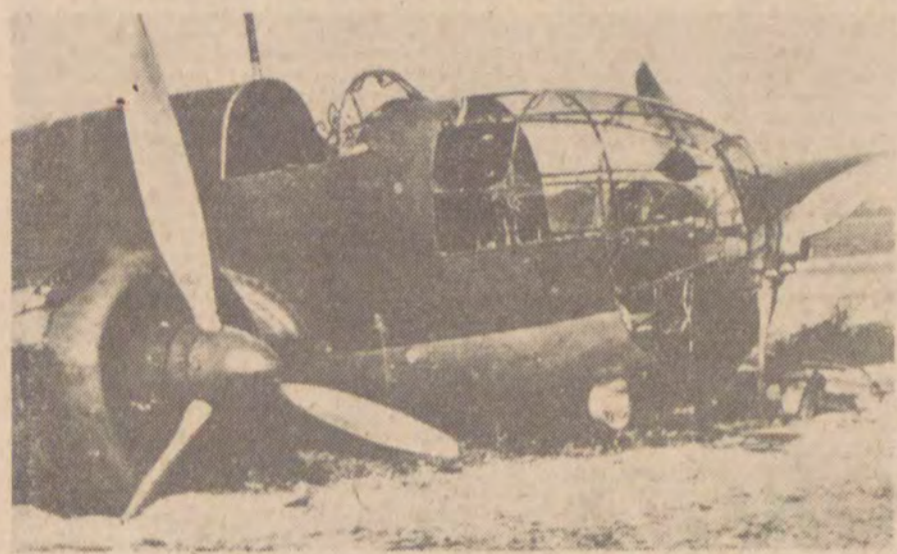
która nie pozostawi możliwości wybuchu nowej wojny i zreszli wysiłki w celu zapewnienia wszystkim narodom poczucia bezpieczeństwa.

Tendencje odprężeniowe zaczęły wywierać pozytywny wpływ na rozwój wielu wydarzeń międzynarodowych. Zasady Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie nie tylko analizy swe praktyczne odzwierciedlenie w licznych układach, umowach i porozumieniach, ale, co więcej, stały się zauważalne w postępowaniu wielu państw. Ale równocześnie dostrzegając możliwa zjawiska przeciwnie — hamowania procesu polepszenia stosunków międzynarodowych, a nawet odwracania go. Chodzi tutaj o próby nasilenia zbrojeń, przeciwdziałania się wywołaniem datemom krajów rozwijających się, czy też ingerencji państw imperialistycznych w wewnętrzne sprawy krajów socjalistycznych. Każdy taki fakt godzi w odprężenie.

Program państw socjalistycznych jest programem eliminacji i wyeliminowania, co ogranicza korzystne tendencje w świecie oraz podejmowania wysiłków budujących trwały pokój. Tak też odczytana została deklaracja moskiewskiej narady Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego.

W. ŚLAWSKI

OSTATNI LOT



4 września 1939 roku około godziny 14 mieszkańcy wsi Walewice zobaczyli nisko lecący samolot, do którego strzelały dwa niemieckie myśliwce. Samolot płonął. Zniknął za drzewami. Po chwili usłyszeli huk i ujrzeni słup dymu. Myśliwce odleciały. Na kartofliisku pozostały szczątki płonącej maszyny i troje ludzi. Czwarty zawiśł na gałęziach lasu. Taki był ostatni lot bombowca ŁOŚ jednego z dziewięciu 212 eskadry bombowej Pierwszego Pułku Lotniczego.

Tego dnia los jego podzieliły jeszcze trzy inne załogi. Dwóch tamnych lotników mieszkańcy wsi odwieźli do punktu opatrunkowego w Parznie. Niezwiązane pilota zdjęto z konarów drzew, strzelca pokładowego znaleziono w pobliżu maszyny rozrwanej wybuchem bomb, benzyny i amunicji. Ponieważ nie mieli żadnych dokumentów pochowano ich w połowie moście w majątku Wola Przylecka jako żołnierzy nieznanych. Minęła wojna i szczątki lotników przeniesiono na cmentarz w Wygiel-

zowie, ale mogła wciąż pozostawała bezimienna. Było wiadomo, że to lotnicy ze Polacy, ale kto? Przez 37 lat sprawa ta nie dawała spokoju ludziom, którzy podobnie jak ci ze straconego „Łosia” odcierali się o śmierć na wojennych polskich drogach. Jakże to? Polscy lotnicy na polskiej ziemi nie mogą odnaleźć swych imion...
Rozpoczęły się poszukiwania śladów. Bo ślad swój zostawia każdy — tego odnalezienie jest tylko kwestia czasu...

Członkowie koła ZBoWiD w Zelowie Józef Paprocki i Jerzy Skawiński opowiadali, że nad poszukiwaniami zaciążyła informacja, iż straconym samolotem był polski myśliwiec „Karas”. Dopiero licząc członków załogi, a było ich 4, wciągnięci do akcji członkowie sekcji historycznej Aeroklubu PRL doszli do wniosku, że maszyną ta musiał być bombowiec typu „Łoś”. Załoga „Łosia” składała się bowiem z dowódcy-obszernika (zarazem strzelca przedniego), pilota, radiotelegrafisty (zarazem strzelca dolnego) i strzelca tylnego. A jeśli był to „Łoś” to zapewne z 1 Pułku Lotniczego który 3 września przemieścił się ze swych polowych lądowisk w Uleżu i Podlotowie koło Deblina na lądowisko polowe koło Kucin (na zachód od Aleksandrowa).

Do takich wniosków dochodził inż. Jerzy Pawlak z Warszawy, który wspólnie z pilotem brgady bombowej Walerianem Nowakowskim pisze właśnie książkę pt. „Brygada bombowa — kurs bojowy”.

Wśród swych materiałów archiwalnych autorzy mają dziś odpis sprawozdania Komisji Likwidacyjnej Aktów Lotnictwa (L. 69 teka 3 sub.) sporządzonego na rozkaz dowódcy lotnictwa nr 1 z dnia 11 listopada 1939 r. wydany w Parznie. Z tego rzeczowego opisu ludzi, rzeczy i faktów wiemy, że 212 Eskadra Bombowa działająca od 31 sierpnia do 18 września 1939 roku liczyła 48 osób personelu bojowego, tj. oficerów-obszerników i pilotów, podoficerów-pilotów, strzelców pokładowych i radiotelegrafistów. Personel techniczny liczył 239 osób.

Eskadra wyposażona była w 9 samolotów typu „Łoś” i jeden samolot myśliwski „Fokker” F.VII.

Miała 10 samochodów półciężarowych „Polski Fiat”, 2 ciągniki, jednego „Obła” z rekwizycji i jeden „Jazik”. Eskadra działała w ramach 210 Dyonu Bombowego pod dowództwem ppłk. pilota Józefa Werakso.

LOT BOJOWY

4 września rano „Łosie” wystartowały na lotów zwiadowczych rozpoznając drogę w rejonie Kalisza, Radomska i Częstochowy, którymi ciągnął na Warszawę XVII korpus pancerny gen. Hoenera. W tym samym dniu eskadra wykonała wszystkimi samolotami bombardowanie zmotoryzowanych kolumn nieprzyjaciela na szosach w rejonie Wielunia.

Por. Szponarowicz podpisał pod raportem melduje: „Kolumny zmotoryzowane nieprzyjaciela z silną ołowianą naziemną. W powietrzu w rejonie kolumn ożywiona działalność myśliwców nieprzyjaciela, wskutek tego eskadra poniosła ciężkie straty: 4 samoloty nie powróciły z zadania, zaś reszta wróciła z licznymi przestrzeleniami. Wyprawa nie była osławiana przez własne lotnictwo myśliwskie. W dniu tym, w godzinach popołudniowych, eskadra zbombardowana została na lotnisku Kucin przez 2 wyprawy bombowe nieprzyjaciela. Dla uwypuklenia warunków pracy eskadry podam charakterystykę obsłuzi lotniska z którego działała. Lotnisko Kucin znajdowało się na trasie lotów wypraw nieprzyjaciela nad Łódź i Warszawę, co w dużej mierze mimo dobrego maskowania samolotów mogło się przyczynić do szybkiego rozpoznania lotniska. Lotnisko nie posiadało opl. (obrony przeciwlotniczej — orzyp. nasz). Teren lotniska nie nadawał się do pełnego wykorzystania tonażu samolotu „Łoś”. Ładowano max. 1.000 kg bomb (brzy zdolność udźwigu „Łosia” wynosiła 3.000 kg — przyp. nasz). Pluton wojskowy obsługujący dyon na tym lotnisku nie był wyposażony w sprzęt do podwieszania bomb, wskutek czego personel bojowy zmuszony był do podwieszania bomb ręcznie. Poza tym pluton ten nie posiadał odpowiedniego sprzętu do uzupełniania w paliwo samolotów „Łoś”, w następstwie tego uzupełnienie samolotów trwało bardzo długo i zmuszało do wykonywania zadań w miarę gotowości. Personel techniczny plutonu nie był zupełnie obznajomiony z obsługą samolotów „Łoś”.
4 samoloty nie powróciły z zadania a wśród nich „Łoś”, który szczęśliwie dla dwóch ludzi wylądował.

POD WALEWICAMI

Opowiadanie jedynego dziś żyjącego członka załogi por. Stanisława Wrzeszcza zanotowane w leśniczówce Horodnianka w Puszczy Knyszyńskiej jest krótkie: „Łoś”, którego dowódcą był por. obszernik Jan Lekczycki w samo południe 4 września trzykrotnie atakował bombami i bronią pokładową kolumnę zmotoryzowaną w rejonie Szczerzowa. Zgodnie z opisem raportu była ona silnie broniona zarówno z ziemi jak i z powietrza. „Łoś” otrzymał postrzał w prawy silnik który zaczął płońać. Maszyna ściszana przez początkowo 3, następnie 2 „Stukasy” (Ju-87) leciała w kierunku Łodzi.

Obsługiwałem dolny karabin maszynowy. To należało w boju do obowiązków radiotelegrafisty. Po kolewnym ataku myśliwców osunął się na mnie kapral Wojdat. Władek zajmował miejsce przy głównym tylnym karabinie maszynowym. Zawisł zaciśnięta dłoń na uchwycie karabi-



Konstanty Szymański i Jerzy Skawiński — członkowie koła ZBoWiD w Zelowie. Dzięki nim po 37 latach mogła na cmentarzu w Wygielzowie nie być już grobem żołnierzy nieznanych.

nu. Seria trafiła go prosto w czoło. To był jego pierwszy i ostatni lot bojowy. Maszyna dymiąc szła ślizgiem ku ziemi. Zrozumiałem, że pilot porucznik Michał Ostrowski chce lądować. Ale wtedy dowódca porucznik Lekczycki krzyknął, żebym skakał. Ani ja, ani Ostrowski nie słyszeliśmy tego dobrze, bo łączności wewnętrznej w „Łosiu” nie było, a ryk silników i huk powietrza zagłuszał wszystko. Lekczycki dawał nam znaki, żebym skakał, po czym odrzucił pokrywę kabiny i sam wyskoczył. Byliśmy tuż nad krawędzią lasu. Widziałem jak spadał ku ziemi. Jak nie utworzył mu się spadochron, jak opadł na drzewa. My wylądowaliśmy bez podwozia na kartofliisku. Natychmiast wyciągnąłem Wojdat. Nie dawał znaku życia. Potem ranego Ostrowskiego. Razem odbiegliśmy jak najszybciej od płonącego samolotu i wtedy nastąpił wybuch jednej z 2 bomb, które w nim zostały. Zaczęła rozrywać się amunicja, płonęła benzyna. Kiedy ogień przyszył, z ludźmi ze wsi podeszliśmy do szczątków maszyny. Koło kadłuba, tam gdzie je

doktor Krystyny Tempkiej-Cyrankiewiczowej, że rodzina porucznika opuściła już wtedy Lublin. O bezimiennym mogile nic nie wiedział aż do chwili gdy przez historyków i Aeroklubu PRL został zidentyfikowany jako „Wrzeszcz z załogi „Łosia” sood Walewicz”.

Inżynier Jerzy Popiel odszukał Wrzeszcza podczas zjazdu wychowanków bydgoskiej szkoły i opowiedział mi o poszukiwaniach prowadzonych przez Jerzego Skawińskiego z Zelowa. Wtedy natychmiast nawiazała łączność z zelowiskim ZBoWiD, opisał ów wypadek na 4 stronach podaniowego papiaru, przesłał nawet zdjęcia kolegów. Przyjechał na uroczystość do Zelowa już jako ostatni zwiaczny członek załogi.

KONIEC ESKADRY

Jakie były dalsze losy 212 eskadry? Tego samego tragicznego dnia, nich dnia po bombardowaniu lądowiska w Kucinach rozpoczęto ewakuację żołnierzy do lotu maszyn na lotniska



Stanisław Wrzeszcz od 26 lat pracuje jako leśniczy w Horodniance koło Białegostoku. Dwukrotnie wyróżniony odznaką „Zasłużony dla Białostoczczyzny”, „Złota Odznaka Zasłużonego Pracownika Lasów Państwowych” i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Obecnie żona pani Aniela. Mają 4 dzieci. Najstarszy syn po odbyciu służby w „Czerwonych Beretach” pracuje w Jastrzębiu jako górnik przydaw kopalni „Manifest Lipcowy”, dwie córki są nauczycielkami, najmłodszy syn uczy się w Technikum Samochodowym.

zostawiłem, leżało niekniecie wybuchem ciało kaprala Władysława Wojdęta. Samolot był rozrwany w strzępy. Gdzieś z boku leżała jeszcze jedna bomba... Podobno leży jeszcze do dziś w końcu rolika Ignacego Kedzierskiego.

Zaileł się nami ludzie ze wsi. Pan Lis dowiódł nas do wojskowego szpitala w Parznie, a stamtąd już sanitarka pojechała do Łodzi. Potem do Warszawy i do domu pod Lublin. Wojnę przesiedziałem w lesie jako powiadzmy, gałowcy. Tam nauczyłem się wiece zawodu który do dziś wykonuje: pilnuje lasu i zwyczajnych losi — kończy opowiadanie pan Stanisław.

DŁACZEGO MILCZAŁ 37 LAT?

Ale jest przecież pytanie, na które odpowiedzieć musi, i na które jest zresztą przyczyną: dlaczego tak się stało, że przez 37 lat mogła kolegów pozostała nieznaną? Dlaczego? Kiedyż zaraz po wojnie spotkali się z pilotem Michałem Ostrowskim, który latał w „Łocie” Wrzeszcz powiedział: „Słuchał, mam wzwruty sumienia. Nie zawiadomiliśmy rodzin Lekczyckiego i Wojdęta o ich śmierci. A porucznik Ostrowski: bądź spokojny. Już to dawno zrobili. Potem jeszcze szukał Wrzeszcz krewnych Lekczyckiego w Lublinie. Wiedział, że jego porucznik chodził tam do liceum, ale śladu nie znalazł. Dopiero podczas uroczystości odsłonięcia nagrobnej kamienia z imionami kolegów na bezimiennym tak długo grobie wiedział się od siostry swego dowódcy

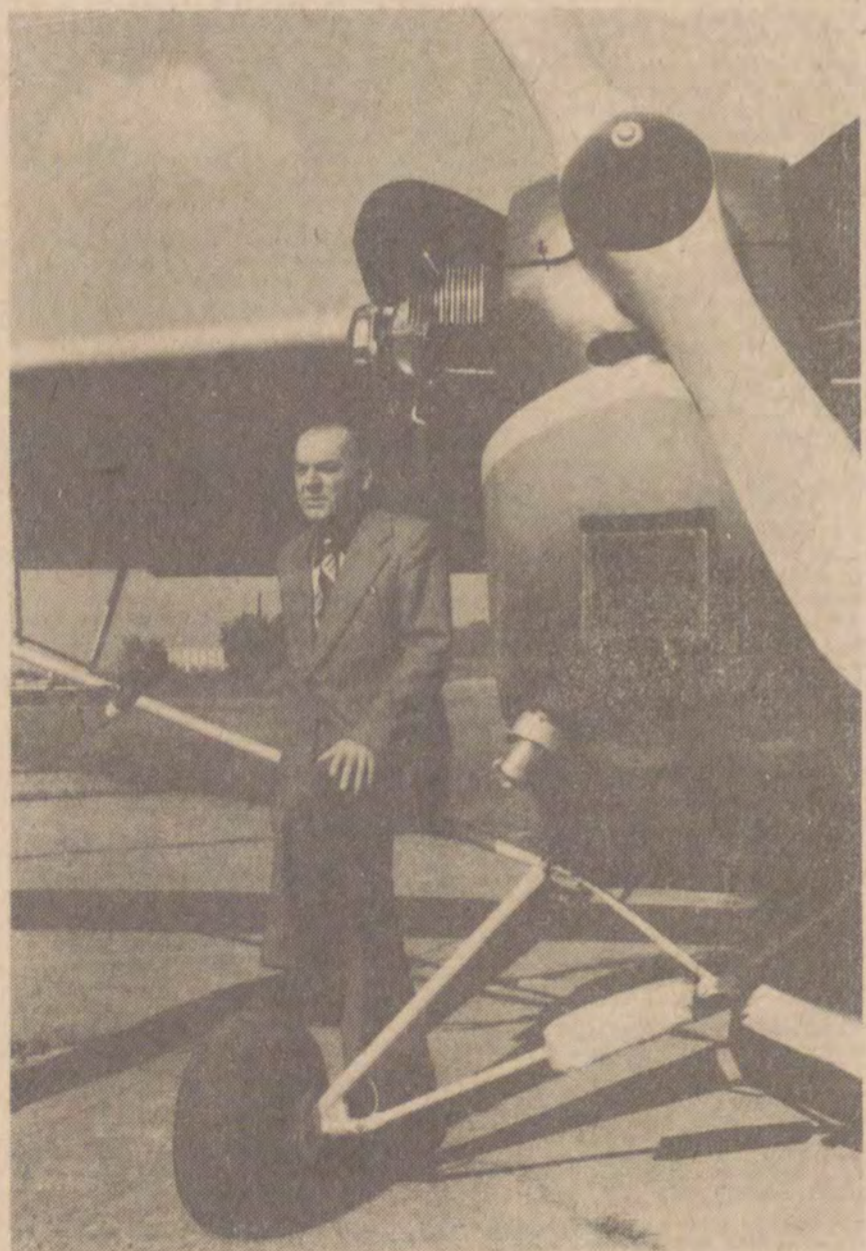
Grócie i Uleżu. Raport z 5 września: „W trakcie ewakuacji uzupełnionych w nocny samolotów — działanie 9 samolotów myśliwskich nieprzyjaciela spowodowało zestrzelenie samolotu „Fokker” F.VII i spalenie przymusowo lądującego na lotnisku samolotu „Łoś” z 211 eskadry bombowej z personellem 212 eskadry, który się uratował”.

A potem już pojedynczo starty na loty rozpoznawcze z lotnisk koło Włodzimierza, Wieliczka Gwoźdźca Starogo, aż do ostatniego startu wieczorem 17 września i lądowania w Czerniowcach w Rumunię gdzie wszystkie polskie samoloty zostały internowane.

W raporcie cytowanym przed chwilą jest jednak jeszcze jedno istotne uwagi miejsce: punkt „D”: „Podaję osoby które wyróżniły się podczas działań wojennych w myśliwcy podanych w Salon, przez ppłk obs. Jungera — niszczyciel Szponarowicz — właściwe wnioski o odznaczenia podać może dowódca dyonu znajdujący się na terenie Francji kpt. pilot Wolkowiński Stanisław”.

Wśród przedstawionych do odznaczeń znalazła się cała załoga „Łosia” zestrzelonego pod Walewicami.

Ale z formalnym, precyzyjnym wnioskiem nie miał już kto wystąpić. Stanisław Wrzeszcz twierdzi, iż kapitan Stanisław Wolkowiński do Francji nie dotarł, że zginął rozstrzelany w Warszawie. Ale — dodaje z zadumą leśniczy Wrzeszcz — może jest to wiadomość nieprawdziwa... Oby tak było! Bo nasz kapitan to był naprawdę wspaniały lotnik...
Foto: Autor i Archiwum.



Inż. Jerzy Pawlak, pracownik sektora lotniczego Ministerstwa Komunikacji, autor popularnych książek o historii lotnictwa przyznali się do ustalenia personaliów załogi lądującej pod Walewicami.

Prezentujemy Czytelnikom kilka fragmentów I części najnowszej powieści Wacława Bilińskiego pt. „Ikony”, która ukaże się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Utwór ten o dynamicznej strukturze fabularnej wydaje nam się wartościowym i atrakcyjnym ujęciem współczesnego tematu. Obyczajowo-psychologiczna warstwa zewnętrzna powieści, wątki o charakterze wręcz sensacyjnym, potoczny i jędrny język, to atuty prozy Bilińskiego, ważne także jako polityczne i moralne przesłanie autora wobec współczesności. (Red.)

Uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej nastąpiło punktualnie o godzinie jedenastej — zgodnie z pięknie wydrukowanymi na czernym papierze programami. Irena, chłopięca, w dzianach i kurtce marki Wrangler, wyglądająca młodziej niż zwykle, stała za plecami notabli, tych miejscowych i tych przybyłych do miasteczka z tej właśnie okazji. Uśmiechała się na siłę. Czując się zmęczona. Dotarli tu rano po nocnej, uciążliwej jeździe i mieli ledwie godzinę odpoczynku w mieszkaniu miejscowego lekarza, przyjaciela Stefana.

Na chwilę przestał padać deszcz, ale chmury wciąż napływały niską lawą z południa, zza rozciągającej w przysypanych światłem siniej pęgli bliskich gór. Było chłodno. Pożalowała, iż skórzana kurtkę zostawiła w samochodzie. Mężczyźni raz po raz z powątpiewaniem spoglądali w niebo. Jeszcze nie padało, ale parę kobiet w tłumie już skryły się pod parasolami.

Tylko ojciec, pomyślała cierpko Irena, tylko ten mój wspaniały ojciec, bohater dnia, stojący w pierwszym szeregu gości, na honorowym miejscu, i tuż obok niego zamarała z napęciła Halina, jego młoda żona, tylko oni nie zwracają uwagi na pogodę. Siva głowa Sławana i jasny kok Haliny górowały nad tłumem. Irena patrzyła na nich, uśmiechała się. Święto myślała i nawet odczuwała coś w rodzaju współzawziętości. Prawie dumy, Ranochał Rodzime święto. Beautyfikacja! Ależ im sprawili frajdel!

Znow zadrżała od chłodu. Spojrzała na zegarek. Plan wyliczył skrupulatnie co do minut, jak w gangsterkim filmie. W policzek pisańska kropka deszczu, zaraz następna słodka i chłodna padała na wargę. Zlizała ją. Zaczyna padać — pomyślała — to lepiej! Właściwie to świetnie! Nie czekając na koniec tej części uroczystości, która miała trwać jeszcze długo, ścieżką wysypaną zgrzytającym pod stopami szutrem, poszła starając się cicho stąpać i nie zwracać uwagi swym odesłaniem. Przez otwartą furtkę szkolną usłyszała na ulicę. Potem na lewo, wzdłuż przywidłych jesiennej grządek kwiatowych. Aż do najbliższego skrzyżowania.

Tuż za nim czekał Zyga w samochodzie.

Gdy się zbliżyła, opuścił szybę i uśmiechnął się samymi oczami. Otworzył drzwiczki wozu. Fiat 132 Stefana był szybszy od steranego wartburga Zygę. Gdy ich plan zaczął się układać w logiczną całość, właśnie ten wartburg budził pewne wątpliwości. Jak się zachowa na takich bezdrożach? Lecz wtedy wybuchła sprawa tych rocznicowych uroczystości. Stefan mówił o nich wydmując wargi. Halina natomiast od razu wyczuła, że to będzie jego triumf. Prawdziwy triumf. Ze Stefan przeżyje w tym miasteczku swój wielki dzień! Może go to odmłodzi, orzeźwi? Należy mu się przecież takie odprężające, optymistyczne przeżycie. Tak! Zastrzyk wiary we własne siły. Taki doping. W podtekście tych uwag, jakie padały tylko w rozmowach z Ireną (nigdy w obecności Stefana, a tym bardziej Zygę), zatem między nami kobietami, w cztery oczy, pobrzmiwała troska Haliny. Stefan miał ostatnio okres pasywności. Tak to nazywała, a Irena myślała, coś się między nimi zepsuło, dlaczego ona nie nazywa rzeczy po imieniu — klimakter. Męski klimakter? Stefan od paru miesięcy istotnie przegasił. Jego zwykła błyskotliwość zmatowiła. Halina kiwała znacząco głową: rozumiesz? Zmęczenie. Przeprocowanie. Te intrzygi. Te ruchy na szachownicy. Było to nie dopowie-

dziane, zdania urywały się w niedomówieniach, aluzjach. Używała wciąż tych samych zwrotów. Chyba sama to zauważyła? — lub — Wydaje mi się, że to takie niepokojące — albo — Nie powiniemyśmy przynajmniej na to oczekiwać. Irena z gorzką pólświatłową myślą: różnica wieku. Tęto jest dla ciebie za stary. Akurat teraz weszła w wiek wielkiej zapotrzebowania. A on teraz wżywa się w innych działaniach.

Potem zjawili się facet z telewizji. Stefan nagle nabral ochoty i zapadła decyzja podróży, mimo że miał jak zwykle tuż przed terminowymi narad i konferencjami. Zyga, przyszyty do raczej zgryźliwych uwag Ireny na

gówniarę, obserwowała, jak na niego urządziła polowania. Byłam cholernie zazdrośna. Matka jeszcze żyła. A Halina ostrzegła go dosłownie na moich oczach. Lubilam ich podglądać.

— Co ty właściwie masz do niego? — Czy ja wiem? Wydaje mi się nudna. — To klasa babka. — Moja matka była nieładna. I niezgrabna. Ciekawe, czy ojciec ożenił się z nią dla kariery? Czy dla forsy? Prosta, wymyta deszczem droga wśród lasów. Po obu jej stronach milczące i mroczny gąszcz. Zyga wysiadał z fiata sto czterdzieści kilometrów. Irena uchyliła boczną szybę, wciągnęła głęboko w płuca zapach ziemi, igliwia, butwiejących liści.

Pulsowała w niej cicha radość i jeszcze jakieś emocjonujące uczucie. Bliskość Zygę sprawiała jej radość. Lubiała, gdy prowadził, miała pełne zaufanie do jego sprawności. Lubiała ten ich szczególny, nigdy zresztą nie omawiany układ. Zyga podporządkował się jej w sferze spraw — jak to nazywała — intelektualnych. Była więc niejako mózgiem w tym ich dziwnym i do szczytu opłokowanym w jej środowisku małżeństwie. I tak było dobrze. Uśmiechała się do tej myśli. Wysockiej klasy mózg? I wysokiej klasy sprawności fizycznej! Każdy wpłaca do wspólnej puli swoje. Fifty-fifty.

Podkręcała szybę, bo zrobiło się bardzo chłodno. Przymknęła oczy pilnując się, by nie zasnąć.

— Ta noc dała mi w kość — powiedziałła.

— To był twój pomysł — przypo-

Było to w Dziekanówce, dokąd poszły całą paczką na wino.

— Jak już mnie przyparłeś do muru, to ci wygram — powiedziała spokojnie. — Szczerze, można? — Oczywiście — zachęcił nie prze-czuwając, co mu grozi. — Wal prosto z mostu.

— Na świadków powołałam Zulę i Małgośkę, bo one ciebie też dobrze znają. Więc primo: jesteście estętami, taki nasz zawód, prawda? A ty masz wyjątkowo brzydkie nogi. Nie tylko chude i krzywe. Ale w ogóle jakieś takie brzydkie. Stopy. Palce. Pięty. Aż odrażają. To jeszcze nie wszystko. Jesteś przy tym cherlak. Ta twoja klatka piersiowa. Te twoje mięśnie. To jeśli chodzi o stronę wizualną. Bo są i dalsze mankamenty.

— Dzwieczęta już zanosiły się od śmiechu, a Jacek nastrząsał się.

— Może być przestawa — powiedział.

— To dość obrzydliwe. Taka wiwisekcja.

— Sam mnie sprowokowałaś. Teraz już muszę ci wyjaśnić, dlaczego wzięłam takiego mięśniowca. Więc jeśli chodzi o dalsze twoje mankamenty. Kochasz się niezręcznie. Tak, tak. Twoja słynna ars amandi to w istocie reżym, manipulacja. Reszta taka sobie. Nie robi piorunującego wrażenia. Czyż nie tak, biedne dzwieczęta? Reszta nie imponująca. A w trakcie pozyciz się nadmierne. No i potem od razu zasypiasz. Chrapiesz. Wszystko to nieapetyczne. Nie, mój drogi, ty się nadasz do rozmów o sztuce. Do miłości woli swojego boksera. Jeśli mu tylko trener pozwala, to, porównując

Minęli rynek, barokowy kościółek. Mało ludzi. Dwupiętrowy, w niedzielę zamary dom kultury. Pogoda złą. Każdy siedzi w domu nad talerzem rosoli. Przed gospodą tuzin motocykli. Co najmniej tuzin pijaków. Przy skwerku parę taksówek.

— Teraz w lewo — powiedziała. — I nie tak ostro. Nie śpiesz się.

— Posłusznie zwinął.

— Popatrz tylko, taki sobie liczy-trup — powiedział w zamyszeniu. — A szmałem od niego aż kręci w nosie.

Za miasteczkiem droga w zygach pognęła ku bliskim górcom. Irena raz po raz sprawdzała na mapie nazwy mijanych wsi, coraz rzadszych, coraz uboższych w zabudowania. Wjechał w las. Mimo jesiennej szarówki buki i graby pięknie zółliły się, czerwień. Zadudnił nowy mostek z rzeczką na dnie parowu. Jeszcze jeden zakręt. Zyga ostro przyhamował, przez drogę przebiegła sarna.

— Uważaj — powiedziała spokojnie Irena, jak nauczycielka do ucznia przed tablicą. — Skracamy na polną drogę.

Zaraz miało się wszystko zadecydować. Bo jeśli droga okaże się zbyt gwałtowna, rozkłada. Tęto się obawiała. Ale przecież miała być kamienista. Trudna droga, lecz kamienista. Już ukazała się w wyrąbanym przekopie, odchodziła od szosy w bok pod ostrym kątem. Z obu stron na wysokich skarpach jakby płoki, kępy dzikiej róży. Fiat był silnym wozem, jakby stworzonym do takiej eskapady. Tylko czy nie za nisko zawieszony? Zyga ostrożnie skręcił, opony zadudniły na lichym, ułożonym z belek mostku, podrzuciło ich wysoko na wyboju i zaraz koła zaczęły szorować po kamieniach, rozrzucać je ze stukotem błotników.

— Nie jest dobrze — powiedział zaniepokojony Zyga.

Zwinął. Wjechał na otwartą przestępnię. Droga płytkim jarem biegła meandrami ku kolorowym lasom na baniastych, bliskich już wzgórzach.

— Nie jest źle, przejeździemy — uspokoiła go. I z zachwytem dodała: — Widzisz te koloryty? Wszystko w złamanym fiolecie.

Położyła rękę na ramieniu Zygę i zaraz szybkim gestem dotknęła jego policzka wierzchem dłoni.

— Spróbujemy przejechać, prawda?

— Na patata!

Spojrzała na zegarek. Uśmiechnęła się.

— Jedenasta czterdzieści — powiedziała.

— Wszystko gra.

Zyga dodał gazu. Czuli, jak wóz zarzuca na usypiskach gruzu. Jak raz po raz wpada w poślizgi na mokrej darni. Zgrzytały kamienie pod kołami.

— Najważniejsze, że nie ma koleśa — powiedziała Irena. — Zresztą już blisko. Zauważyłeś, jak Halina patrzy na tego faceta z telewizji?

— Wiesz, jak się w nocy męczyłem? Siniak nawalał raz za razem.

Stromy podjazd. Na grzbiecie wzniesła las zaciętny mgłą w przysypanych światłem brunatny i smutny. Chmury miały olowany kolor. Fiat pięknie się sprawiał. W połowie stromizny Irena obejrziała się. Za nimi droga, pola, cały ten krajobraz był wyludniony, pusty. Jakby zastępy w szarudzie. Rżyska wyglądały jak brudne, zabłocone plachty. Na szczęście, żadnych ludzi. Niedziela w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. W lecie byłoby trudniej — pomyślała Irena.

— Jesień, pora polować. Zatem polujemy. Na grubego zwierzca.

Był już na grzbiecie. Droga biegła brzegiem lasu.

— Stajemy — powiedziała.

Zyga zwinął, ostrożnie zawrócił. Zatrzymał wóz za zastaną krzaków dzikiej olechy. Irena poczuła napływ grozy. Boję się, naprawdę się boję, pomyślała zdziwiona. Lubiała emocjonujące przeżycia. Tak czuło się nudziła.

— Przyszła — powiedziała głosem.

— Swedzi cię, co? burknął.

Wszystki i przez minutę stali w milczeniu. Krajobraz był urzekający. Ciepkie i niskie chmury nadawały mu dramatyczny wyraz. Porwywały i zimny wiatr kołysał lasem. Irena sięgnęła po swoją skórzaną kurtkę. Zyga dobył z bagnetki torbę treningową. Zatrzasnął bagażnik, zamknął drzwiczki wozu.

— Biegłem — powiedział.

c.d.n.

Wacław Biliński



temat poczynam macochy, potem już w pracowni, słuchał z niedowierzaniem, że Halina miała taki świetny pomysł. Wiedział przecież niemal o utarczce Haliny z Ireną.

— Jedziemy — zadecydowała Irena. — Wystarczy spojrzeć na mapę, by zrozumieć, jak bardzo nam jest to na rękę.

— Może z tego wyjść wiesz jaki obciach... — martwił się na zapas. — Treningi... Zgrupowania...

— Wymyśl coś — nakazywała. — Musisz tym swoim wytumaczyć, że jest to uroczystość bezwzględnie zobowiązująca nas, rodzinę. Terminy muszą się dopasować.

Teraz szybko wsiadła do wozu i zatarasnęła drzwiczki.

— Szorujemy — pomyślała. — Teraz ostro, kochany! Wyspał się?

— Jak najbardziej.

Zyga był ogolony, miał na sobie welniane dresy i treningowe, stare trampki. Uśmiechał się do niej swymi dobrymi, poddańczymi oczami. Dotknęła jego policzka grzbietem dłoni. Gdy uczyniła ten gest, zachnął się jakby w obawie, że go uderzy.

— Uważaj, jak prowadzisz — powiedziała łagodnie. — Mój jaskiniowiec!

Takie miała pieszczotliwe zwroty i Zyga jakby to lubił. Wziął zakręt, prostą szeroką ulicą wyprowadził samochód spośród zabudowań. Irena ze schowka wyjęła mapę. Miała sporo kłopotów z jej zdobyciem. Nie była to współczesna mapa samochodowa, a stara, bardzo szczegółowa sztabówka, na której trasę wykreślili czerwonym ołówkiem.

— Ponad pięćdziesiąt kilometrów — przypomniała. — Tamci będą uprawiać detologię parę godzin. Część oficjalna. Przemówienia i te ps. Potem część artystyczna w szkole. Na wspólny obiad musimy być z powrotem. Zebny nas widziano. Razem z moim tatusiem. Mamy czasu równo dwie godziny.

— Na pewno zdążymy.

— Wiesz, jak studentki nazywały młodego ojca? Gregorzyk. Jak byłam

mniał Zyga. — Pamiętaj. Żadnych pretensji!

— Mój pomysł. Od początku do końca — przyznała z satysfakcją. — Nic się nie bój.

— Wiesz, jak Radeberger się wtrąpił? — Było to przeważnie bruchatego trenera! — Kiedy powiedziałem, że jęde. Taka eskapada! Teraz! Przed meczem?! Wreszcie, że zgubił kondycję.

— Nie zgubisz.

— Pewnie, że nie — przytaknął nabyt skwapliwie. I zaraz półgłosem, jakby to był ich sekret: — Teraz ten Grzywalski mi działa na nerwy.

— Nie tam się.

Znała Zyga. Uważała, że brak wyobraźni strzegł go przed uczuciem lekku.

— Mówią, że Ducił też jest dobry. Wyrobił sobie żelazny prawy prosty.

— A ty wiesz o tym. I on się ciebie boi. Już raz miałeś go przez trzy rundy. Robiłeś z nim, co chciał.

— Wtedy! On dopiero zaczynał. Dwa lata minęły.

— Co z tego? I ty zrobiłeś w tym czasie postępy. Wszyscy ci to mówią.

— I zastarałem się — zabrzmiało to jak pretensja.

— Jesteś głupi — uciąła dalszą dyskusję. — Nie zastarałeś się. Zmądrzałeś. Będiesz miał go na rozkładzie od pierwszej rundy. Będę ci bila brawo, aż mi ręce spuchną.

— O, rajul! — uśmiechnął się Zyga.

— O, rajul!

Irena wcisnęła głowę w oparcie, nie otwierając oczu, nawet to mdłe uczucie zmierzania stawało się przyjemne. Lubiała muzykę szybkiej jazdy, przyspieszenie opon na asfalcie i szum powietrza w wywietrzniku. Mój troglodyta, pomyślała. Mój lup. To dobrze, że robię w życiu, co chcę. I biorę, co chcę. Nie pozwolę nikomu narzucić sobie czegośkolwiek.

Jacek, asystent w Akademii, przyjaciel i kiedys — przez krótki okres — kochanek, długo dokuczał Irenie jej bokserem. Aż doprowadził ją do gniewu, choć potrafiła panować nad sobą.

z tobą, jest o klasę lepszy. Jestem obśluzona jak nalezy.

Dzwieczęta śmiały się już mniej szczerze. A Jacek pokaszliwał przecierając okulary.

— Zatem przedyskutowaliśmy radości alkowy — powiedziała Irena i wierzchem dłoni dotknęła pieszczotliwie policzka Jacka, tym swoim wystudiowanym gestem. — A jeśli chodzi o wymianę kulturalną, o spółkowanie intelektualne, to primo: ty jesteś na medal. Prócz ciebie mam wygodny fotel po babci. Lampe o przyjemnym świetle. Dobre książki. I was, dzwieczęta. Dzięki wam piore mógł tak często jak trzeba. Miana sana in corpore sano. Taki sobie ułożyłam jadłospis. A teraz, no? Czy chcecie mi jeszcze dokuczać moim bokserem?

Jacek nalożył okulary i przyglądał brode. Te gesty były u niego oznakami zakłopotania.

— Irka — powiedział. — Taką żyłętę jak ty, jeśliśby nie istniała, należałoby wymyślić!

Wszystcy się trochę jeszcze pośmiałi i ta rozmowa przeszła do legendy. A na najbliższym ubawie przyjaciółki Ireny usiadowali podrywać jej neandertalczyka. Patrzyła na to pobłażliwie, bez złośliwości, pewna swego.

Zyga należał do niej.

Rzuciła mu z ukosa spojrzenie, lubiła tę łagodną twarz, dziecięcą mimo blizn. Marzył się czło, myślał o czymś intensywnie.

— Doktor to jest fach! — powiedział. Forsa sama się pcha do kieszeni. No nie?

Był już w terenie podgórnym, fałistym, wzniesła wyrzuciła się i ogromniasty. Ostry podjazd. Serpentina za grzbietem i miasteczko w dolinie. Mignęła zółta tabliczka z jakąś nazwą. Irena sprawdziła na mapie.

— Za rynkiem w lewo — powiedziała.

Nie otynkował się, pudełkowate domki. Zyga skrzywił się.

— Ten doktorek to sobie pewexowska chatę wyręczył! — cmoknął z uznaniem. — Kosztowała go chyba z półtora miliona.



KLEPSYDRA

Powieść pod tym tytułem utalentowanego pisarza jugosłowiańskiego, Danila Kisa, krytyka porównuje często z pisarstwem Bruno Schulza.

Urodzony w 1905 roku w Subotnicy Kis, centralną postacią swoich opowiadań i powieści uczynił — podobnie, jak Schulz swojego ojca, przedstawiciela minionej epoki, świętości patriarchalnego kupiectwa, rzeczywistości, w którą tak brutalnie wdarła się wojna i okupacja hitlerowska.

Sugestywność oddziaływań utworu wzmacnia interesująca wielowarstwowa kompozycja „Klepsydry”. Składa się ona z 67 ponumerowanych, niejednakowej długości fragmentów, które autor podporządkowuje czterem głównym rozdziałom („Obrazy z podróży”, „Zapiski szaleńca”, „Śledztwo”, „Przesłuchanie świadka”) — z kulinarnym „Lissem” na końcu książki.

Jest to książka cenna, niezwykła i poruszająca — trochę dziwi, że nie ukazała się w serii „Biblioteka Jugosłowiańska” Wydawnictwa Łódzkiego.

Danilo Kis, „Klepsydra”, Wyd. Literackie, cena 45 zł.

TRONKA

Oles Honczar (ur. 1918) jest jednym z wybitniejszych współczesnych prozaików ukraińskich. Urodził się na Poltawczyźnie w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu szkoły dziennikarskiej w

Charkowie, wstąpił na wydział filologiczny, tamtejszego uniwersytetu. Będąc na trzecim roku studiów, jesienią 1941 r. poszedł, jako ochotnik do wojska. W jednej z gwardyjskich dywizji drugiego frontu ukraińskiego brał udział w wyzwoleniu Rumunii, Węgier, Czechosłowacji i Austrii. Po wojnie ukończył studia w Danierze strowsku.

Twórczość pisarza cieszy się dużą popularnością nie tylko w kraju, ale i za granicą. Na polskim rynku czytelnicy znają go z przekładów powieści: „Złota Praga” (1960), „Tauria” (1965), „Człowiek i brzo” (1963), „Sobór” (1971), „Cyklon” (1976). Nielekrotnie utwory jego odznaczane były wyróżnieniami i nagrodami, m. in. Nagrodą Państwową za trylogię „Cherzowicie”.

„Tronka” — powieść współczesna, wybitna pod względem artystycznym, w 1994 r. otrzymała Nagrodę Leninowską.

Oles Honczar, „Tronka”, Wyd. Lubelskie, cena 45 zł.

HUMANIZM W SZTUCE

Czy humanizm, rozumiany tradycyjnie, skończył się na polu sztuki wraz z renesansem? Jak powstrzymać dewaluację tego terminu — oto niektóre pytania, na jakie próbuje odpowiedzieć książka Antoniego Maślńskiego.

Konrad Górski stwierdził że pracę tę ocenić „dojrzała świadomość metodologiczna pozwalająca wyzyskać pojęcie humanizmu w zastosowaniu do możliwości wyrazowej sztuki plastycznej ze szczególnym naciskiem na przejawy antropomorfizacji w architekturze starożytnej, renesansowej i barokowej i na kontrast, jako najbardziej wymierne kryterium w sztuce przedstawieniowej.

Zarówno wiedza Autora, jak i jego opanowanie metod poznania sztuki plastycznej, pozwoliły mu na bardzo ścisłe wydobycie różnic między sztuką klasyczną, renesansową a sztuką „średniowieczną”.

Powstała zatem książka, w której autor stara się sprzeciwić i określić na nowo pojęcie humanizmu przez odniesienie do sztuk plastycznych i architektury. Maślński nadaje terminowi „humanizm” nieco inne znaczenie i skłania tym samym czytelnika do przemyślenia raz jeszcze kwestii, wydawałoby się, już rozstrzygniętych.

Antoni Maślński — „Humanizm w sztuce”, Wyd. Literackie, cena 45 zł.

REPORTAŻE SANIEWSKIEGO

Wiesław Saniewski — wrocławski reporter — początkowo związał się z miasteczkiem „Opole”, następnie rozpoczął współpracę z „Odra”. Jest jednym z najbardziej utalentowanych i dociekliwych reporterów polskich z połowy lat siedemdziesiątych. Nie lęka się tematów trudnych nie uprasza i nie ulega poruszonym sprawom w myśl utartych schematów. Rozpatruje problemy z kilku stron na raz, wnioszek ostateczny postawiając czytelnikom.

Terenem penetracji Saniewskiego są współczesne sprawy Polaków: bolączki tak dotkliwe, jak znieczulica, emwactwo karierrowości, myślenie i odczuwanie jedynie kategorią wąskich interesów przedsiębiorstw bez oglądania się na niewspółmiernie z doręcznymi zyskami straty społeczne wynikające z pochonych decyzji.

„Ale pisze Saniewski także o bezcznych przykładach odradzania się zjawisk tak pięknych, jak ambicje, mierzalna siła na zamiary, czy konstruktywne marzecielstwo — narodziny pięknych pań i upór w ich realizacji.

Saniewski zajmuje się również krytyką filmową, za działalność na tym polu otrzymał dwa lata temu Nagrodę im. K. Krzywickiego. Jest laureatem szeregu konkursów w renomata, opublikowanie scenariuszy filmowych. W Wydawnictwie Łódzkim ukazał się właśnie wybór najcenniejszych reportaży Wiesława Saniewskiego.

Wiesław Saniewski, „Pierwszy stopień do piekła”, Wyd. Łódzkie, cena 12 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

„U nas dole i niedole” Czytelnik, cena 27, Thomas Lodge, „Rozalinda”, Wyd. Literackie, cena 50 zł, Maria Konopnicka, „Linie i dźwięki” (Poezje M. Konopnickiej z rysunkami S. Wyspińskiego), Czytelnik, cena 48, Janusz Głowacki, „Opowiadania wybrane”, PIW, cena 40 zł, Andrzej Kaliszewski, „Galop”, Wyd. Literackie, cena 40, Henryk Tymon Jakubowski, „Teatr amatorski na wsi” LSW, cena 36, Michał Zieliński, „Serce w plecaku”, Wyd. MON, cena 35.

zdarzenia i zwierzania

Mineło niespełna półtora roku od wydania pierwszego tomu „Słownika współczesnych pisarzy polskich”, a już zakończono druk tomu następnego. Jest to tempo błyskawiczne. Paroosobowy zespół pod redakcją Jadwigi Czachowskiej rzeczywiście zrobił ogromną pracę.

Dokumentacja literacka zgromadzona na kartach „Słownika” jest imponująca. Często sami pisarze nie zdają sobie sprawy, w jakich czasopiśmiech i antologiach znajdują się recenzje czy przedruki ich twórczości. Często dopiero „Słownik” daje autorom tę dokumentację.

Drugi tom obejmuje biografie i bibliografie pisarzy, których nazwiska zaczynają się na litery od „L” do „T”. Tom trzeci doprowadzi rzecz do końca alfabety, a ponadto zawierać będzie aneks do bloku twórczości za lata 1971—1975. Autorzy „Słownika” korzystają w swej mrowczej pracy z kompendium bibliograficznego „Polskiej Bibliografii Literackiej” uwzględniającej zawartość około 500 czasopism polskich i zagranicznych.

SŁOWNNIK PISARZY POLSKICH

nych. Właśnie powiązanie z PBL gwarantuje ową pełnię literackiej dokumentacji dotyczącej poszczególnych pisarzy.

W jednym tylko wypadku redakcja „Słownika” dała pisarzom wolną rękę. Nie limitowano zatem objętości życiorysów, w przekonaniu, iż dla odbiorców publikacji wystarczająco świadczą o randze pisarza zestawienie twórczości i bibliografia przedmiotowa. Z tym oczywiście bywa różnie, bo na przykład zdarza się, że niezwykle piodny (ponad dwa-dzieścia powieści) i niezwykle popularny pisarz ma w „Słowniku” odnotowane zaledwie kilkanaście recenzji. Popularność bowiem nie zawsze idzie w parze z uznaniem krytyki literackiej. Tak więc ów bibliograficzny obraz twórczości jest trochę niepełny. No, ale na to już nie ma rady i autorzy „Słownika” nic tu zmienić nie mogą.

Jadwiga Czachowska pisze, że „gdy chodzi o fakty związane z twórczością literacką, informacje podane przez pisarzy traktowane były jedynie jako wskazówki ułatwiające weryfikację kompletności materiałów. Rzeczywiście, przy wielu pozycjach podawanych przez pisarzy, a niemożliwych do sprawdzenia (druk lokalnie,

okolicznościowe itp.) autorzy lojalnie dodają w nawiasie „informacja autora”.

Trochę inaczej jest z weryfikacją danych biograficznych. Rzecz prosta, redakcja „Słownika” nie wkracza w szczegóły życiorysów, nie jest bowiem w stanie sprawdzić prawdziwość danych. Ale myślę, że w niektórych wypadkach ingerencja byłaby konieczna. Pisze na przykład w jednym biografie, że „ukończył Wyższą Szkołę Dziennikarską w Łodzi w roku 1935”. Ani przed wojną, ani po wojnie nie było w Łodzi Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. W okresie międzywojennym zresztą nie było w Łodzi żadnej — poza namiastką w postaci Wolnej Wszechnicy — wyższej uczelni.

W innym znów biografie czytamy ze zdumieniem, że pisarz wyjechał z Łodzi w roku 1957, a jednocześnie w latach 1958—63 „należał do tygodnika „Odgłosy”. Mało tego — mieszkając w innym województwie był... ławnikiem w łódzkim sądzie i radnym WRN w Łodzi.

Oczywiście wszystko się zgadza oprócz dat. Pisarz wyjechał z Łodzi kilkanaście lat później. Są to, rzecz prosta, drobne błędy, które bardzo łatwo sprawdzić, a jeszcze łatwiej

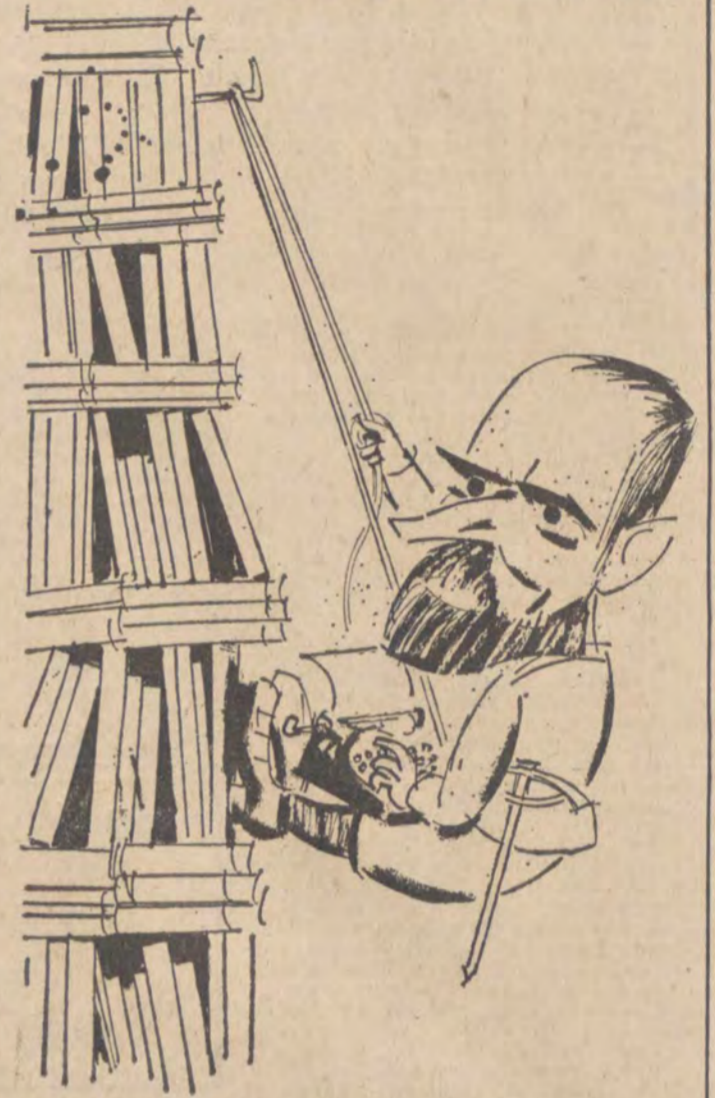
wydedukować. Szkoda, że te łatwe do uchwycenia, nielogiczności psują znakomity obraz „Słownika” sporządzonego z ogromnym pietyzmem i ogromnym nakładem pracy.

Druga seria „Słownika współczesnych pisarzy polskich” opracowana została pod kierunkiem Jadwigi Czachowskiej przez zespół w składzie: Maria Brykańska, Jadwiga Czachowska, Feliksa Lichodziejewska, Roman Loth, Barbara Winklowa oraz Ewa Głębińska i Allecia Szalagan, które włączyły się do prac kolejno w 1972 i 1973 roku. Przy zestawieniu listy haseł autorzy „Słownika” korzystali z uwag dr Janusza Maciejewskiego i nieżyjącego już dziś dr Zbigniewa Zabickiego.

Mniej więcej za półtora roku ukaże się trzeci — ostatni już — tom drugiej serii „Słownika współczesnych pisarzy polskich”. Łącznie z wydanymi latami sześćdziesiątych pierwszą serią stanowiącym on będzie nieocenioną bazę dokumentacyjną dla badaczy, krytyków, pisarzy — ludzi zajmujących się profesjonalnie literaturą współczesną.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH ANDRZEJ WILCZKOWSKI



Tak po kolegach mych patrę.
Sami wysokopiórscy wspinacze!

Rys.: Stanisław Ibs-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

proponycje

Powtarzanie prawd oczywistych nie należy do przyjemności. Zdarzają się jednak sytuacje, kiedy trzeba mówić o tym, o czym — mogłoby się wydawać — wszyscy i tak wiedzą. Teraz właśnie zdarzyła się taka sytuacja. Do naszej redakcji nadszedł list sygnowany 19 podpisami w imieniu 243 mieszkańców osiedla Zarzew. List ten porusza sprawę komunikacji miejskiej. I w tym miejscu trzeba powtórzyć prawdę ze wszelkim naciskiem, prawdę o znaczeniu komunikacji dla życia miasta. Myślę, że nikt tej prawdy nie powazy się podważyć. I jestem pewny, że właściwie rozumie ją roważę MPK.

Komunikacja miejska może ludziom życie ułatwić lub utrudnić. Dobrze funkcjonująca komunikacja życie ułatwia, źle funkcjonująca — utrudnia. Niedawno ktoś mnie spytał, gdzie widziałem dobrze funkcjonującą komunikację miejską. I zaraz dodał: poza Warszawą i Katowicami. Przyznam, że trudno było mi odpowiedzieć na to pytanie, tym bardziej, że miałem okazję dowiedzieć się z różnych notatek prasowych o zlikwidowaniu w Krakowie autobusów pośpiesznych z przyczyn od tamtejszego MPK niezależnych.

PRYZYSTANEK

W Łodzi pogarszający się stan komunikacji miejskiej też ma swoje obiektywne przyczyny. Wprawdzie nikt jeszcze nie myśli o likwidacji pośpiesznych linii autobusowych, jeśli nie brać pod uwagę rozlokowania linii „C” na dwie niezależne części: „A” i „C”, ale to stało się w powo- du wykopania wielkiej dziury w samym sercu śródmieścia, czyli na skrzyżowaniu ul. Piotrkowskiej z ul. Główną i al. T. Kościuszki z ul. A. Mickiewicza. Poza tym MPK cierpi na chroniczny brak części zamiennych, o czym zresztą pisała prasa codzienna. I powiem więcej — tych części nie ma nadal, z czego można wyciągnąć logiczny wniosek, że z komunikacją w mieście nie będzie lepiej. Te obiektywne przyczyny powodują bowiem to, że na trasy wyjeżdża mniej autobusów, mniej tramwaj, co odbija się ujemnie na ich regularnym zgodnym z rozkładem jazdy kursowaniu. Przychodzi więc nam czasem czekać na tramwaj czy autobus więcej niż długo, a to znów nie wpływa dobrze na nasze społeczne samopoczucie.

Mieszkańcy osiedla Zarzew nie mają jednak pretensji o to, że tramwaje nie dowożą ich do domu mniej więcej szybko, ale mają pretensję zupełnie o coś innego. Czują się w obowiązku tę pretensję zreferować. Otóż, jak wynika z listu, jak przy-

szedł do naszej redakcji, przy ul. Gustawa Morcinka był kiedyś przystanek, przy którym wyjeżdżało około 80 proc. mieszkańców tego osiedla. Przystanek ten zlikwidowano dlatego, że — jak to pisał mieszkaniec osiedla Zarzew w liście do redakcji — „zapomniano wybudować wysypkę dla pasażerów na przystanku przy ul. Gustawa Morcinka, a bez tej wysypki nie można przy tak ruchliwej trasie usytuować przystanku tramwajowego”. Tak miano odpowiedzieć na pretensje mieszkańców wspomnianego osiedla. A kto zapomniał zrobić tę wysypkę? Z listu wynika, że winowajcą jest Kombinat Robót Drogowych. Przez to zapomniano są teraz przystanki tramwajowe przy ul. Promińskiego i Tatrzalskiej, na ulicy S. Przybyszewskiego oczywiście, a inni muszą spory kawał dochodzić do swoich domów, jeśli nie mieszkają w rejonie ulicy Promińskiego czy ul. Tatrzalskiej.

Sprawa jest niby drobna. Z tych czy innych racji zlikwidowano przystanek tramwajowy. MPK nie ma takiej możliwości, aby każdego dowoziło na miejsce pracy czy do domu. Z tego też powodu jedni mieszkają bliżej szlaków komunikacyjnych, inni dalej. Jedni mają bliżej do przystanków tramwajowych, inni — dalej. I to jest sprawa oczywista. Ale w tej oczywistej sprawie jest też pewien drobiaz,

na który warto zwrócić uwagę. Otóż autorzy wspomnianego listu piszą, że owe decyzje zostały podjęte bez konsultacji z samorządem mieszkańców.

Swego czasu wiele pisało się o samorządzie mieszkańców, przypominając jego społeczne i polityczne znaczenie, wskazując na uprawnienia samorządu i jego rolę. Był to bowiem okres, kiedy trwała akcja „samorząd mieszkańców”, kiedy wybierano ludzi, którzy mieli w tym samorządzie działać. Taka akcja dawno skończyła się, a samorząd stoi przed codziennymi problemami. W jednych osiedlach daje sobie z tym radę, w innych — nie. Pewnie, że wiele zależy od ludzi, którzy w tym samorządzie działają. Ale też o roli i znaczeniu samorządu nie mogą zapominać instytucje, urzędy i przedsiębiorstwa, których działalność wiąże się z codziennymi sprawami mieszkańców miasta, jego poszczególnych dzielnic i osiedli. Dotyczy to również decyzji, jakie podejmuje się w sprawach komunikacji. Myślę, że w wielu sprawach byłoby mniej nerwowości, mniej niepotrzebnego gadania, gdyby spróbowano ludziom to i owo wytłumaczyć i gdyby posłuchano też ich racji. Nie podejmuję się rozstrzygać sprawy przystanku przy ul. G. Morcinka, ale mogę spokojnie stwierdzić: nie zapomnijmy o samorządzie!

MARCIN RODAK

sport

W poniedziałek spadł pierwszy śnieg. W niedzielę — 26 listopada 1978 roku — rozegrano ostatnie mecze piłkarskie. Było zimno, mokro i niezbyt przyjemnie. Grano jednak cackie. Bytomskie Szombierki dopiero rzutami karnymi zapewniły sobie zwycięstwo. W Gdańsku też niewiele brakowało, aby trzeba było zarządzić dogrywkę. Przez cały niemal mecz był remis. Krakowianie uzyskawszy prowadzenie spasowali i potem trzeba było robić wszystko, aby mecz mógł się skończyć we właściwym czasie. Udało się. Tym razem jeszcze się udało, ale często kończy się gorzej. Jest to dość typowy obrazek z naszych ligowych boisk, kiedy prowadząca drużyna pasuje, gra na czas, wstrzymuje tempo i później wystarczy drobny błąd, przypadek i cały mecz diabli biorą. Wszystko trzeba zaczynać od nowa.

Rozgrywki o Puchar Polski powoli nabierają rumieńców. Stają się imprezą coraz bardziej interesującą. Do półfinału zakwalifikowały się trzy drużyny z pierwszej ligi: krakowska Wisła, gdańska Arka i bytomskie Szombierki oraz jedna drużyna z II ligi — Zagłębie Lubin. Pokazany w tele-

NIE ŻEGNAJMY SIĘ Z PIŁKĄ

wizji mecz krakowskiej Wisły z gdańską Lechią nie należał do złych, choć zdecydowanie różnił się od wcześniej pokazanego meczu ligi angielskiej. Przeszły do boisk polskiej ligi zaczyna nam w telewizji procentować relacjami z meczów zagranicznych. „Studio Sport” obiecuje, że będzie w miarę możliwości, pokazywało spotkania z różnych krajów, co może tylko cieszyć kibiców. Po „ligowej miócce” na naszych boiskach zobaczymy będzie można, jak grają inni.

A chciałoby się. Chciałoby się na przykład zobaczyć choć jeden mecz drużyny, w której grają Włodzimierz Lubański czy Jan Tomaszewski. Jakoś tak się dziwnie złożyło, że kiedy wyjeżdżaliśmy nasi pierwsi „internacjonaliści”, to nikt nie pomyślał, aby pokazać ich pierwsze mecze. Debiut Kazimierza Deyny w drużynie Manchester City znalazł się wszelako na ekranie telewizorów i na dodatek Jan Ciszewski konieczne nakazywał nam kibicować drużynie, w której gra „nasz ulubieniec”. A ja tymczasem kibicowałam chłopakom z Ipswich Town i miałam rację. Ani Ciszewski i jego czysta miłość do 10 drużyny z tabeli w angielskiej lidze, czyli do Manchester City, ani debiut Kazimierza Deyny nie pomogły chłopakom z „angielskiej Łodzi” i dostali

od 18 drużyny angielskiej ligi. Mecz był wszakże dobry, walka ostra, było na co popatrzeć, choć Pan Kazimierz zbytnio nie błyszczał na boisku. Zgrzały był, kiedy schodził do szatni co niemiara, takim rzadko widziało się go na polskich boiskach. Ano u Anglików praca nie jest łatwa.

Miejmy więc nadzieję, że z obiecanego przez telewizję rajdu po zagranicznych boiskach dowiemy się może, jak grają Włodzimierz Lubański, Jan Tomaszewski, a może nawet dowiemy się co stało się z Robertem Gadochą, o którym — jak do tej pory — wszelki „słuch zaginął. Tak już jest los „internacjonalistów”. Albo się o nich mówi szeroko w piłkarskim świecie, albo cicho jest i spokojnie, bo i mówić nie ma o czym. Zdarza się przecież, że obiecujący „internacjonalista” grzeje ławę.

Wróćmy jednak do kraju. Nim obejrzymy ów zapowiadany rajd po zagranicznych boiskach, o ile dojdzie on do skutku, bo „Studio Sport” nie kryje się z trudnościami w tej dziedzinie, nim więc ja obietnicę się spełni, to możemy cieszyć się inną zapowiedzią. Oto „Głos Robotniczy” i Łódzki Klub Sportowy postanowili zorganizować mecz reprezentacji KRAKOWA i ŁODZI, z którego to meczu cały do-

chód przeznaczają się na odbudowę zabytków starego Krakowa. Jest to niezwykle cenna inicjatywa, a tym godniejsza podkreślenia, że wysłała ona od dziennikarzy sportowych i od działaczy ŁKS. Rozumiejąc powszechnie zainteresowanie sportem, a głównie piłką nożną „Głos Robotniczy” i ŁKS postanowiły wykorzystać to zainteresowanie i materialne skutki, jakie można z niego uzyskać dla poparcia niezwykle pożytecznego przedsięwzięcia zmierzającego do przywrócenia Krakowowi jego tradycyjnego, pierwotnego wyglądu, podtrzymaniu ogromnej wartości tej skarbnicy polskiej kultury.

Kibice już dziś cieszą się na to spotkanie, jako że dano możliwość zagrania na boisku obok siebie zawodnikom ŁKS i Widzewa i zmierzania się z drużyną, która powstanie w oparciu o szkielet krakowskiej Wisły. Tak się przynajmniej przypuszcza. Jak będzie — zobaczymy.

Rysuje się nam interesująca zima, tym bardziej że i śnieg nadal pada, a więc i dla sportowców zimowych nadzieje może lepsza pora i nie trzeba będzie w poszukiwaniu śniegu jeździć do krajów skandynawskich.

BOGDA MADEJ

KLIENT ZE ZNAKIEM JAKOŚCI

lewym
okłem

Najczęściej podnoszonym hasłem, pod jakim zakłady produkcyjne przystępują do kolejnych planów rocznych i kwartalnych, a także do coraz to wyszczynanych kampanii to znów rocznicowych — jest hasło: podnosimy jakość produkcji!

Handel wprawdzie niczego nie produkuje, nie wytwarza nowych dóbr materialnych, ale nie pozostaje w tyle za przemysłem i równie często jak on głosi hasło analogiczne: podnosimy jakość usług!

Niestety, hasła te wciąż mają walor haseł zasadniczych, a tak zwane szerokie rzesze nabywców i klientów wciąż sarkają i na wyroby przemysłu, i na usługi handlu. A może należałoby sprawę odwrócić? Może władzą do usunięcia jest właśnie ciągle niezadowolone klienty, a nie zła jakość świadczonych usług? Może należałoby rzucić hasło: podnosimy jakość klientów?

Zeby podnieść jakość klientom należałoby przede wszystkim normalizować rozmiarowzrosty pogłowia naszej ludności i zlikwidować nieznosną różnorodność tuszy, wzrostu, sylwetki. To nie do wytrzymania, żeby przemysł odzieżowy produkował odzież — jak twierdzi — w stukilkudziesięciu rozmiarowzrostach, a jeszcze małkonogoci krzyczą że mało i że nie mogą znaleźć nic dla siebie. Są przecież odpowiednie metody, nie jesteśmy bezradni. We francuskich tygodnikach od lat ogłasza się środek na przyspieszenie wzrostu. „Grandir” C'est possible! — zapewnia reklama. Mamy u nas wczasy dla ludzi, chcących stracić nadwagę, mamy też gwarantowane odżywki dla niemowląt, zapewniające prawidłowy rozwój u kostnienia i umięśnienia. Prawidłowy — czyli odpowiadający jakimś pożądanemu typowi, dający typową sylwetkę. Czytamy o krzesłach i tapczanach, sprząających obywateli w utrzymaniu prostej postawy — a tylko na człowieku o prostej postawie każdy garnitur leży dobrze i wygląda twa-

rzowo. Od nas więc zależy, czy odzież wisząca smutnymi szeregami na wieszakach tysięcy sklepów i salonów będzie pasować do nas czy nie. Będzie pasować — tylko musimy wyjść jej naprzeciw, przyłożyć się, dopasować do niej...

Zeby podnieść jakość klienta należałoby go uczulić lub odczulić na pewne zjawiska. Trudno znaleźć nieprzemakalny, ale naprawdę nieprzemakalny parasol? A czy szanowny klient pomyślał o tym, żeby samemu uodpornić się na deszcz? Pastlerce górscy w Południowej Ameryce całymi dniami potrafią bez zmużenia powiek tkwić na deszczu i ulewie i nic im to nie szkodzi, przeciwnie, żyją ponac bardzo długo. Należałoby podpatrzeć metody treningu, prowadząc do takiej odporności, zastosować ten trening do siebie i przestać narzekać na materiały i urządzenia, niedostatecznie chroniące od zwykłego, nieszkodliwego deszczu.

Klient dobry, taki ze znakiem jakości, stoi cierpliwie w każdej kolejce, nawet gdy sprzedawcy konferują właśnie na głębokim zapleczu sklepu. Takiej cierpliwości powinniśmy uczyć w szkołach wszystkich typów. Dobry klient nie sięga nigdy po książkę zażaleń, najlepiej żeby po prostu czuł wstręt do słowa pisanego. Może by znaleźć jakiś antabus, zaszyć coś pod skórę jak alkoholikowi, żeby klient prosząc o książkę zażaleń dostawał z miejsca zamiast takowej — czkawki z wysypką? Dobry klient uśmiecha się bez przerwy, przeprasza i dziękuje. Taki uśmiech można sobie zafundować w przychodni chirurga kosmetycznej, a słowne grzeszności nagrać na malutki magnetofon i nadawać bez przerwy z kieszonki kamizelki.

A więc są sposoby na złagodzenie niepotrzebnych napięć pomiędzy klientem, a handlem i przemysłem. Przestańmy narzekać. Podnosmy jakość klientów!

ĆWIEK